

Blokada! (Prohibicja)



Urodziłem się na pięknej ziemi białostockiej, gdzie szumią bory i puszcze: Białowieska, Augustowska, Knyszyńska. Setki jezior, rzek i strumyków nadaje Białostoczczyźnie piękny urok, opiewany w pieśniach i wierszach. Rzeki: Czarna "Małozna", Biebrza, Narew, Bug - tam leniwie toczą swe wody. Na ziemi tej rozsiadło się dziesiątki miast i miasteczek o sławnej przeszłości historycznej.

W wielkiej księdze historii tej ziemi zapisano wiele zdarzeń, które dawno temu miały tu miejsce. Cngis w zamierzonych czasach zamieszkiwał te ziemie lud dziki a bitny Jadzwingami zwany. Do dziś pozostały po tym tajemniczym ludzie kurhany mogił, legendy i dziwne nazwy jezior wsi i rzek. Gdy w wieku XIII osiedlił w popliżu drapieżny Zakon Krzyżacki, ziemia ta była często pustoszona ogniem i mieczem, bo przez północne jej krańce szły wyprawy zbójckie na Litwę. Kiecy Korona i Litwa związały się braterską unią, przez te ziemie wiodły główne szlaki łączące dwa narody ze sobą. Tu w ostępach puszczańskich polowali na dzikiego zwierza Gedymin i Księżę Witold, Jagiełłowie i wielu sławnych władców i wodzów owych czasów. Tędy, poprzez ziemię białostocką szły chorągwie litewskie i ruskie, pod dowództwem wielkiego Księcia Litewskiego Witolda, aby wespół z wojskiem Polskim - pod naczelnym dowództwem Władysława Jagiełły, Króla Polskiego, pobić na głowę Zakon Krzyżacki pod Grunwaldem w 1410 roku. Później, poprzez te ziemie, szły na wschód żelazne pułki Stefana Batorego, aby odepchnąć od naszych granic - na bezpieczną odległość nowe niebezpieczeństwo, rodzące się tam, na gruzach jarzma tatarskiego. To tędy, szły na wschód pułki pancerne Hetmanów Wielkich Koronnych: Jana Zamojskiego i Stanisława Żółkiewskiego. Na tej ziemi, w tych miasteczkach, osiedlano, zaściankach szlacheckich, w łopskich wioskach, czynili zacni do swego szeregów chorągwie litewskiego Komputu: Jana Karola Chodkiewicza, Wincentego Aleksandra Gosiewskiego, Krzysztofa Nikołaja Radziwiłła zwanego "Piorunem", Jana pawła Sapiehy. Po wspaniałych zwycięstwach, które sławę i moc Rzeczypospolitej ugruntowały, przyszły ciężkie chwile, ziemię tę zalał potop szwedzki,

wówczas tu walczył ze swymi Tatarami legendarny Knitic. Tu w zamku tykocińskim oblegano zdrajcę Janusza Radziwiłła, który podczas oblężenia przez wojska hetmana Sapięhy dokończył swego niechlubnego żywota. Ku czci i pamięci wielkiego Polaka - hetmana Stefana Czarnieckiego, który mawiał "jam nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli", a dla ojczyzny ratowania rzucił się przez morze, stanął pomnik na rynku tykocińskim.

Mijały lata i znów gdy znów nadeszły tragiczne chwile rozlorów i znów Białostoczczyzna stała się polem bitew i zmagañ - reprezentowanych przez najlepszych Jej synów. W 1794 roku kiedy Powstanie Kościuszkowskie, rozpoczęte pomyślnie w środku kraju i na Litwie, oparło się i o tę ziemię - tutaj pospolite ruszenie usocznione ochotnikami z Białostoczczyzny 9 lipca 1794 roku dokonało wypadu na teren ówczesnych Prus Wschodnich. Niestety słabe uzbrojenie, ogromna przewaga liczebna Prusaków nie pozwoliła odnieść oczekiwanego zwycięstwa. Powstanie Kościuszkowskie upadło. Runęła w gruzy Rzeczpospolita - rozbita przez trzech zaborców.

Później wojny napoleońskie przeszły przez te ziemie huraganem. Znów synowie Białostoczczyzny poszli do szeregów, aby pod polskimi znakami, u boku Cesarza Francuzów bronić sprawy polskiej. Ale zawałiła się epopeja napoleońska.

Przyszła rok 1830 znów zrywa się ta ziemia podobnie jak i cała Polska do powstania listopadowego. Przez te ziemie maszeruje na Litwę, po bitwie o Olszynkę Grochowską polska dywizja pod dowództwem gen. Giełguda zasilona przez synów tej ziemi oraz półtoratysięczny ochotniczy partyzancki, złożony z ochotników pod dowództwem Józefa Zaliwskiego, stacza zwycięski bój i zmusza dywizję rosyjską do opuszczenia Łomży. 29 maja 1831 roku dochodzi do boju między polską dywizją a rosyjską w miejscowości Męcze. Idąca w przedniej straży, grupa gen. Henryka Dębińskiego spycha Rosjan w kierunku Rajgrocu i tu dochodzi do wielkiej bitwy w której polska dywizja rozbija taranem rosyjską piechotę w drzazgi. Rosjanie nie wytrzymali polskiego ataku poszli w rozsypkę, tracąc ponad 800 zabitych i 1200 dostało się do niewoli. Partyzanci z Białostoczczyzny wchodzący w skład dywizji, uzbrojeni dotychczas niemal wyłącznie w kosy, otrzymali zdobyczne karabiny. Droga na Litwę dla gen. Giełguda i jego dywizji stała otworem, niestety nieudolność generała, ciągłe wahania, brak zdecydowania zaprzeczają ten wspaniały zryw żołnierski. 7 lipca 1831 roku dochodzi do nieszczęśliwego boju pod Szawłami. Dywizja zostaje rozbita, gen. Giełgud przegrywa bitwę. Kapitan Stefan Skulski, adiutant sławnego pułku piechoty lińiowej, podjeżdża konno cwałem do grupy sztabowców i zabija na miej-

scu gen. Giełguda wystrzałem z pistoletu.

Powstanie Listopadowe dogorywa i wkrótce upada we wszystkich rejonach kraju. Powstanie nie wykorzystanych szans, zaprzepaszczonych przez niektórych generałów jak np Giełgud, który za nieudolne dowodzenie zapłacił życiem.

I znów po 30 latach nadchodzi nowy zryw - Powstanie Styczniowe 1863 roku. I tym razem Białostoczczyzna zaczyna krwawić obficie. Synowie szlachty i chłopów kupują jakosy, osadzają je na długich kosiskach idą na ochotnika do szeregów partyzanckich. Znów te lasy, jeziora i błota stają się bazami w których rozwija się działalność powstańcza. Przewaga Rosjan jest miażdżąca. Ofiary straszliwe. Powstanie upada. Gina w walkach dowódcy wojskowi i kierownicy działań konspiracyjnych. Tym, którzy ocalili i nie wyginęli, wróg wykańczał na szubienicach. Na stokach Catadeli Warszawskiej w sposób celowo uroczysty 4 sierpnia 1864 roku zostają powieszoni: gen. Romuald Traugutt wraz z towarzyszami Nieco wcześniej powieszony został płk. Ignacy Jankowski - uczestnik i zwycięzca trzydziestu walk. Najpóźniej ginie ksiądz gen. Stanisław Brzózka, naczelny kapelan Powstania, nieustraszony i nieugięty, uchwycony dopiero w 1865 roku, powieszony w Sokołowie Podlaskim 24 maja tegoż roku.

Po upadku Powstania Styczniowego statystyki wykazały, że przez szeregi Powstania przeszło 300 000 Polaków. Dziś wielu pseudo historyków wmawia, że było to Powstanie tylko szlacheckie i wielkich rodów. To nie prawda w Powstaniu tym poległo 3 000 chłopów, około 2 000 rzemieślników, majstrów, czeladników i młodzieży robotniczej. Poległo 17 000 żołnierzy pochodzących ze szlachty i inteligencji. Razem zginęło w walkach lub zmarło od ran 22 000 ludzi, 700 osób rozstrzelano lub powieszono, 6 000 powstańców wzięto do niewoli, a 50 000 wywieziono na Sybir.

Mój przodek, pradziad Tomasz Grabowski był powstańcem i brał czynny udział w bitwach stoczonych w okolicach Tykocina. Podczas walki w Mężeninie, dawny powiat łomżyński, został ranny. Jego najbliższy sąsiad i krewny Chibowski Karol, został zabity w tymże boju. Synowa Chibowskiego, staruszka, która żyła 101 lat, zmarła w 1936 roku, często nam, młodym chłopcom opowiadała o Powstaniu Styczniowym. O tym jak mój pradziad wraz z jej, teściem znikali z domów i nie było ich po kilka dni, jak później wracali w postrzelanych kożuchach, aż w końcu Chibowski zginął, a Grabowskiego rannego przywieźli koledzy ze wsi Milewo.

Wieś Kapice Stare, Kapice Lipniki, Kapice Jasiowizna w której się urodziłem 1 lipca 1924 roku położone są na prawym brzegu rzeczki Śliny /dopływ Narwi/, której dolny bieg stanowi granicę Podlasia i Mazowsza. Dziś dorzecze Śliny budzi coraz większe zainteresowanie historyków i archeologów, a przyczyną tego jest nie wyjaśniona sprawa ojczyzny jednego z plemion jałowickich Złinców oraz liczne i niezbadane w tym rejonie grody i cmentarzyska.

Nazwa Kapice pochodzi od starego rodu szlacheckiego Kapiców. Znany archiwista województwa podlaskiego ur. w 1763 roku, zmarł 1817. Ignacy Wawrzyniec Kapica - Milewski, który pochodził z Kapic, w swoim Herbarzu podaje datę powstania wsi Kapice na XIV wiek. Po rodzie Kapiców wymienia jako najstarsze rody: Kulikowskich, Kropiewnickich i Milewskich. Przed wojną 1939 roku w Kapicach żyły cztery rodziny Kapiców: Kapica Faustyn, Kapica Ksawery, Kapica Kalisty i Kapica Marcel, do dziś pozostały pierwsze trzy rodziny, czwarta Kapicy Marcela z powodu braku synów zmieniła nazwisko na Roszkowscy.

Mój przodek Paweł Grabowski sprowadził się na Białostoczną w 1419 roku z Wyszogrodu i kupił majątek ziemski 40 włók w ziemi Łomżyńskiej. Z majątku tego powstały dwie wsie Grabowo Stare i Grabowo Nowe.

Mój pradziadek Tomasz Grabowski ożenił się w Kapicach Starych z panną Kalinowską, która braci nie miała, była dziedziczką gospodarstwa rolnego około 15 ha. Taki ożenek nazywano w przystępy.

Całe Kapice Stare, Lipniki i Jasiowizna służyły w parafii kobylińskiej i gminie ze swego pochodzenia szlacheckiego. Wszyscy prawie mieszkańcy legitymowali się herbami szlacheckimi. Herbem mojej rodziny był "Lubicz". Matka moja Bronisława z domu Targońska herbu "Ostoja", pochodziła ze wsi Targonie Wielkie, gm. Zawady, pow. Łomża.

Parafią naszą i Kościół w którym byłem ochrzczony jest Kobylin Borzyny. Na okoliczność nazwy Kobylin jest kilka legend. Wśród starych ludzi krąży ~~razem~~ między innymi taka legenda. Głosi ona, że na Ślinę leżały wioski Borzyny, Łatki, Pieniążki, ale nie miały jeszcze wspólnej nazwy Kobylina. Miejscowa ludność postanowiła wybudować kościół. Rozgorzał spór, w której wiosce ma on stać. Jedni chcieli budować we Wnorać, inni w Cieszymach, a jeszcze inni w Borzymacu. Do Cieszym zwieziono już nawet kamienie i drzewo na budowę. Kościół miał stać nad małym potoczkiem - strumykiem nie mającym nazwy, a wypływającym spod wsi Pogorzałki. W Cieszymach później na tym miejscu, gdzie miał stać kościół, wybudowano młyn wodny. Prowadząc zatarg z młynarzem jeden z gospodarzy rozebrał cielew i kamieniami, drzewem oraz ziemią zasypał źródło pod Pogorzałkami. Od tego czasu młyn nie miał już wody.

Spór o miejsce pod kościół przybrał na sile. Pewnego poranka w Borzymach w miejscu, na którym potem wybudowano kościół, znaleziono dwie kare kobyły /klacze/. Nikt nie wiedział czyje były i skąd się wzięły. Przyjęto hipotezę, że ukazały się tajemniczo. Tymi kobyłami zwieziono stare modrzewie z których budowano kościół. Kobyły jak tajemniczo się zjawiły tak też tajemniczo zniknęły, kiedy już nie były potrzebne. Od nich pochodzi więc nazwa Kobylin. Tak głosi legenda, natomiast prawda historyczna jest taka: w 1423 roku Jan z Pajewa w ciechanowskim sprzedał dziedzicowi Kobylina, leżącego również w ziemi Ciechanowskiej trzecią część Pajewa. Dziedzic Kobylina Gedethen - potomek emigranta jaćwieskiego, będąc w latach 1414 - 1425 właścicielem Kobylina i części Pajewa, otrzymał od księcia mazowieckiego nadanie 60 włók ziemi nad rzeką Śliną, rozciągającej się na południe od Tykocina i należącej do Podlasia. Zgodnie ze starym zwyczajem kolonistów Gedethen założył na darowanych mu terenach nowy Kobylin nad Śliną i nowe Pajewo nad Narwią. Prawdopodobnie książę mazowiecki za zasługi w bitwie pod Grunwaldem w 1410 roku, nadał Gedethenowi tych 60 włók ziemi. Takie obdarowywania zdarzały się w onych czasach. W dwa wieki później po potopie szwedzkim król Polski Jan Kazimierz za wybitne zasługi w wojnie obdarował hetmana Stefana Czarnieckiego w podobny sposób, dając mu 14 wsi w okolicy Tykocina. Hetman Czarniecki wydając za żonę swoją córkę za hetmana Branickiego, dał jej te wsie w postaci posagu. W 1414 roku dobra Kobylina graniczyły z Pajewem i Kurowem. W aktach ziemskich - Łomżyńskich jak podaje Kapica, w 1444 roku brat Gedethena Stephanus, figurował jako właściciel Pajewa. Pierwotny kobylin założony nad Śliną z biegiem czasu rozrósł się do kilku wiosek. Każdą z nich otrzymała dodatkową nazwę. Już w latach 1528, 1580-1581 było osiem Kobylinów, a w latach 1749-1777 było już piętnaście różnych nazw Kobylina. Oto one: Kobylin Borzyny, Cieszymy, Kościelny, Podświętny, Królewszczyna, Podsekowięta, Kruszewo, Kuleski, Kuleszki Zarzeczne, Kruszewo Zarzeczne, Latki, Makowo, Pieniążki, Pogorzałki i Ecclesiasticus. Macierzyste osady na Białostocczyźnie rozrastały się przybierając nazwy "Stary" i "Nowy" oraz pochodzące od założycieli i właścicieli. Kobylin Podsekowięta zmienił nazwę w 1530 dziedzic Podsekowiat sprzedał na wieczne czasy Olbrychtowi Gasztołdowi swoje dobra. Olbrycht Gasztołd w owym czasie był właścicielem dóbr Tykocina, wojewodą wileńskim i kanclerzem litewskim. Kobylin Podsekowięta zmienił nazwę na Królewszczynę gdy dobra Gasztołdów przeszły na własność króla i ta nazwa zachowała się do dziś. Słownik Geograficzny podaje, że w XIV i XV wieku przybyła na te tereny szlachta z Mazowsza o nazwisku Kobylińscy, posiadająca różne herby

jak: Abdunk, Pobóg, Slepowron, Prus, Lubicz, Ostoja, Łada i inne. W 1775 roku wszystkie Kobyliny miały 122 domy z czego 40 było proboszczowskich, a 112 należało do szlachty zaściankowej. W 1827 roku było 135 domów, jak z powyższego wynika w ciągu 52 lat przybyło tylko 13. Przyczyną tego słabego rozrostu było to, iż w 1882 roku w Kobylinie Borzynch Żydzi mieli sześć szynków i to doprowadziła do zubożenia ludności. Najbogatszą szlachta zamieszkiwała Kobylin Pogorzałki, gdzie nie było karczmy.

Na mapie miast i miasteczek handlowych Wielkiego Księstwa Litewskiego z XVI i pierwszej połowy XVII wieku, Kobylin figuruje jako miasteczko. Kobylin będąc miasteczkiem handlowym miał swoje dni targowe, które z reguły odbywały się raz w tygodniu.

Trudno jest dociec kiedy Kobylin utracił prawa miejskie. Z napisanej historii parafii, Kobylin w 1966 roku przez ks. mgr Antoniego Czajkowskiego, str. 9 - wynika, iż nastąpiło to w drugiej połowie XVII wieku. Stało się tak dlatego, że Kobylin za blisko leżał Tykocina. Dalej z tejże samej historii wynika, iż Parafia Kościelna w Kobylinie powstała w tym samym okresie co i sąsiednie parafie: Sokóły - 1471 r., Płonka - 1502 r., Waniewo - 1511 r.. Dokładnej daty erekcji Parafii Kobylin ks. mgr Czajkowski nie podaje, jedynie na podstawie porównania różnych źródeł i zestawienia dat powstania sąsiednich parafii oraz ustnej tradycji, podaje za pewną datę lata 1471 - 1493. Potwierdzeniem daty zawartej w pracy ks. mgr Czajkowskiego są dokumenty Kapicy.

Kapica w swoim Herbarzu cytuje oryginalne dokumenty dotyczące Parafii Kobylińskiej i zbudowanie tam pierwszego kościoła. Kapica jak już pisałem pochodził z Kapicy, ochrzczony w Kobylinie i związany od dzieciństwa z parafią. Uczył się w Łomży u Jezuitów. Do śmierci utrzymywał kontakt z rodziną zamieszkałą w Kapicacu. Na ten temat dużo napisał znany historyk, dziedzic majątku w Jezewie - Zygmunt Glogier/1845-1910/. W swojej przedmowie do herbarza Kapicy, Glogier mówi, iż Kapica nie zostawił po sobie żadnego majątku "bo i fortunę jaką posiadał we wsi Kapice za młodu odstąpił rodzeństwu". Według dokumentów zebranych przez ks. mgr Antoniego Czajkowskiego, kościół w Kobylinie "kaplica murowana" został wybudowany wraz z powstaniem Kobylina jako jedyny w tej części Podlasia. Kościół murowany wg danych historycznych nazywany był kaplicą krzyżacką i ta nazwa istniała aż do chwili rozebrania go tj do roku 1899. Nasuwa się pytanie, skąd pochodzi nazwa "krzyżacka". Na tą okoliczność istnieje kilka hipotez. Jedna głosi, że tę kaplicę zbudowali Krzyżacy, inna, że kaplica była zbudowana w formie krzyża, a jeszcze inną, że do niej były przywiązane odpusty krzyżowe. Co do Zakonu Krzyżackiego, więc Krzyżacy zapuszczali swe załogi daleko w głąb

Białostoczczyzny. Zburzyli zamek w Złotoryi nad Narwią odległy 15 km od Kobyлина. Drugi zamek w Opuchowie 8 km od Kobyлина. Najprawdopodobnie kaplica krzyżacka jak ją nazywają kościół w Kobylinie zbudowany został przez potomka jaćwieskiego Gedethena.

Przy rozbieraniu kaplicy krzyżackiej szukano daty jej założenia, ale nic nie znaleziono. Pod podłogą wykryto grób i dobrze zachowane zwłoki kilkuletniej dziewczynki. Dziewczynka ubrana była w jedwabną chustkę i suknię. Z tego ubioru wynikało, że była z bogatej rodziny. Po zetknięciu się z powietrzem i poruszeniu zwłoki się rozpadły. Możliwe, że bogaty ojciec na grobie córki wybudował kaplicę, a może pochowana została pod podłogą istniejącej już kaplicy.

W 1899 roku stare zabytki nie podlegały ochronie. Rosji carskiej pod której zaborem była Białostoczczyzna, nie zależało na zachowaniu zabytków narodu polskiego. Wręcz przeciwnie, przez cały okres przeszło stu letniej niewoli, starała się zniszczyć wszystko co mogło Polakom przypominać polskość i jej historię. Zrusyfikować szlachty białostockiej nigdy się nie udało Moskałom. Pomimo syzyfowej ich pracy w rusyfikowaniu od czasu do czasu coś innego im się udało. I tym razem wydając zezwolenie na budowę nowego kościoła w Kobylinie kazali rozebrać starą zabytkową kaplicę, a w jej miejscu wybudować nowy murowany kościół. Księża kobylińscy zgodzili się. Jedynie protestował Zygmunt Clogier, człowiek światły i wielki patrijota Polak. On dokładnie znał wartość historyczną krzyżackiej kaplicy. Po gniewał się na znak protestu z proboszczem kobylińskim ks. Bolesławem Gumowskim i przez dłuższy czas nie wstępował na plebanie w Kobylinie.

Najbliżej położony kościół od Kobyлина jest kościół i parafia w Zawadach za Eliną. Odległość od Kobyлина 8 km. Od mojej rodzinnej wsi Kapic - 2 km. Z zachowanych dokumentów wynika, iż w 1693 r. podczas wizytacji parafii przez biskupa z Płocka, spisano sprawozdanie w którym czytamy : stary kościół w Zawadach został zbudowany z drewna w 1584 r. i stał 159 lat. Drugi kościół zbudowano w 1743 r., konsekrowano go w 1786 r. Kościół ten stoi do dziś, jako zabytek , jeden z wielu zabytków historycznych na Ziemi Białostockiej. Jest tu na tej Ziemi jeszcze dużo prawie zapomnianych miasteczek i osad, którym cofnięto prawa miejskie nadane przed wiekami. Postarałem się choć częściowo opisać historię mojej rodzinnej wsi Kapic oraz parafię Kobylin i wspominałem o okolicznych parafiach i miasteczkach, które były zawsze nawszkroś polskie, które słynęły i słyną z ogromnego patriotyzmu Polaków urodzonych tu i wychowanych. Zawsze gdy Ojczyzna była zagrożona, od zarania polskości spieszących Jej z pomocą.

Dziś na ten temat mało się mówi, jest on nie na czasie i nie na rękę obecnym władzom. W przyszłości, kiedy mam nadzieję, sprawy te będą poruszone, zubożać mogą o pewne bardzo ważne fakty, zabrane do grobu przez bezpośrednich świadków tych zdarzeń.

Obecnie wiele napisano w kraju na temat ostatniego stulecia i trzech wojen - dwóch światowych i trzeciej z 1920 r. Jednak wiele wydarzeń zostało pominiętych, zwłaszcza z ostatniej wojny, podczas której Białostoczczyzna i moje rodzinne strony ogromnie krwawiły.

Moja nieudolna próba spisania tych wydarzeń niech służy dobrej sprawie. Postaram się streścić chociaż, jeśli nie skomentować to, co przeżyłem i zapamiętałem z okresu największej z dotychczasowych wojen świata, która przewalała się kilkakrotnie przez moje rodzinne strony i Ziemię Białostocką.

Wybuch wojny 1914 r. między zaborcami Polski przyniósł Polakom nadzieję na rychłe wyzwolenie. Rewolucja w Rosji przyspieszyła moment na który Polacy czekali.

Na Białostoczczyźnie Polacy organizowali się do walki ostatecznej. Powstała organizacja wojskowa, której komórka zawiązała się w mojej rodzinnej wsi Kapicach. Nosiła ona nazwę POW - Polska Organizacja Wojskowa. W jej szeregi z Kapic wstąpili: Piotr Świątkowski, Stefan Kapica, Paweł Czajkowski, Ambroży Nieciecki, i jego brat Stanisław Michał Roszkowski i mój ojciec Jakub Grabowski. Ci wówczas młodzi synowie szlachty kapickiej, stanęli pierwsi do walki z okupantami Polski. Michał Roszkowski i Piotr Świątkowski brali czynny udział przy rozbrajaniu Niemców na terenie Warszawy. Pozostali uczestniczyli w walkach i rozbrajaniu okupanta w okolicach Kapic.

Po odzyskaniu upragnionej niepodległości przez Polskę 11 listopada 1918 r. wszyscy powiacy z Kapic znaleźli się automatycznie w szeregach nowcpowstałego wojska polskiego. Gdy na rutieżach wschodnich Polski zaczęły się gromadzić czarne chmury, kiedy potrzeba było użyć siły do wydarcia okupantowi części ziem polskich na wschodzie. 10 czerwca 1919 r. ogłoszono mobilizację z Kapic ruszyli ponownie powiacy i inni. Mój ojciec Jakub Grabowski, /mój stryj/ Wacław Grabowski, /mój wuj/ Jan Grocki, Franciszek Kapica, Józef Kapica, Paweł Zalewski, Gustaw Nieciecki, Ambroży Nieciecki, Antoni Sikorski, Stefan Kapica, Stanisław Nieciecki, Piotr Zalewski, Aleksander Zdrojewski i Eugeniusz Zalewski. Czternastu synów szlachty kapickiej znalazło się po mobilizacji w szeregach wojska polskiego. Oni swym męstwem i miłością wolnej Ojczyzny poszli wyznaczać wschodnie granice niepodległej Polski. Ojciec mój pojechał do swego Czwartego Pułku Legionów w Kielcach. Dowódcą pułku wówczas był stary legionista pułkownik Smorawiński, który w dwadzieścia lat później, już jako

generał, znajdzie się wśród pomordowanych oficerów w Katyniu. Dowódcą kompanii do której przydzielono ojca, był porucznik Klaj. W listopadzie 1919 r. drugi batalion zapasowy Czwartego Pułku Legionów wyruszył z Kielc na front wschodni i dołączył do swego pułku. Do siódmego lipca 1920 r. Czwarty Pułk Legionów toczył ciężkie walki z bolszewikami. Ojciec mój cały ten czas był na pierwszej linii frontu w okopach nad rzeką Berezyną, później Orszą. Tu bolszewicy swoją ogromną przewagą liczebną przerwali front. Podczas odwrotu Czwartacy dostali się w okrążenie. Osaczyła ich wielokrotnie przeważająca siła bolszewików pod dowództwem Budionnego. Pułk został rozbity, większość Polaków zginęła lub odniosła rany. Zaledwie 1/4 tego dzielnego pułku zdołała uratować się od zagłady. Przyjechał do pułku sam Naczelnik Państwa Polskiego Józef Piłsudski. Podczas przeglądu tego co pozostało z pułku Wódz Naczelny miał kłopoty w oczach. Kłopoty Piłsudskiego zrobiły wielkie wrażenie na moim ojcu. Dziś gdy to wspomina jest bardzo wzruszony. W czasie dalszego odwrotu, podczas farsownych marszów i ciągłych walk i potyczek, mój ojciec pobierał do krwi nogi w niewygodnych butach. Został również lekko ranny /przestrzelony palec u ręki/. Dowódca odesłał ojca do szpitala polowego koło Mińska na Białorusi. W szpitalu zrobiono ojcu opatrunki. Ponieważ rany wymagały dalszego leczenia, wydano urlop zdrowotny. Ojciec trafił do pościgu jadącego do Białegostoku i w ten sposób znalazł się w domu.

Został dom opuszczony, gospodarstwo zaniedbane, będące na opiece sąsiadów. Kiedy Wacław i Jakub wyruszyli na wojnę, mój dziadek Piotr Grabowski, pozostawiony bez opieki synów, zmarł na skutek silnego przeziębienia i zapalenia płuc. Pogrzeb odbył się bez udziału synów. Nie było dziadkowi dane aby starym zwyczajem, oczy ojcu po śmierci zamknęły dzieci. Dziadek miał pięciu synów, trzech: Adam, Feliks i Józef przed wybuchem wojny w 1914 r. wyjechali do Ameryki Północnej. Uciekli przed poborem do carskiej armii oraz przed zniechęconymi rządami okupanta rosyjskiego. Najmłodszy synowie Wacław i Jakub byli na froncie do których telegramy o śmierci ojca nie dotarły. Gdyby nawet dotarły to wówczas Ojczyzna znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie. Okrutny zniechęcony wróg sięgał do gardła młodzieńczej Polsce, która jeszcze nie zdążyła się otrząsnąć po 120 latach niewoli i ta sprawa była ważniejsza od śmierci własnego ojca.

Ojciec mój pomógł wyleczyć nogi i zajął się opuszczonym gospodarstwem. Bolszewicy szybko zajęli Białostoczczyznę i parli dalej na Warszawę. W Białymstoku powstał rząd bolszewicki z Marchlewskim i Dzierżyńskim na czele. Znowu okropne niebezpieczeństwo zawisło nad naszym narodem, który dopiero co zdołał przywrócić sobie upragnioną wolność. Ten sam wróg i okupant ze wschodu, tylko w czerwonej szacie zalał znowu rdzenną stronę

polskie, bolszewicy oblicywali sobie i nam, że niedługo zabiją i Warszawę. Większość mieszkańców naszych stron żyła jednak nadzieją, iż niepowodzenia polskiej armii na froncie są chwilowe i nie pomylili się.

15 sierpnia 1920 r. - święto Matki Boskiej Zielnej. Wszystkie kościoły w całej Polsce tego dnia przepełnione były wiernymi. Moja Matka uczestniczyła w Zawadach w nabożeństwie poświęconym intencji zwycięstwa. Pomimo, że wróg wszędzie był, że nie było radia i telewizji, jednak nawet ściśle tajne wiadomości wcześniej dotarły w te strony. Białostoczczyna wiedziała, że tego dnia ważyć się będą losy narodu polskiego, że rozegra się na froncie bój na śmierć i życie - armia polska rozpoczynała manewr zaczepny - ofensywę, sześć dywizji polskiego wojska ruszało do ataku nad rzekę Wieprz. W zawadzkim kościele wszyscy wierni wznosili ręce do Boga i powtarzali za księdzem Kuleszą: "Matko Boska, Królowo Korony Polskiej, dziś musisz wysłuchać nas i okryć płaszczem miłosierdzia swego, synów Polski, którzy w tej chwili idą do ataku, którzy bronią nie tylko swej Ojczyzny, ale całej Europy przed zalewem bolszewickim. Spraw, aby nasza ojczyzna w dalszym ciągu mogła być przedmurzem chrześcijaństwa". Do kościoła weszło kilku żołnierzy bolszewickich, usłyszeli ogólny płacz i wołanie do Boga. Wystraszeni pytali, co oznacza ten płacz i szloch, ktoś im wytłumaczył, że wierni proszą Boga o pokój. Kilkanaście godzin później wrogowie na własnej skórze przekonali się, o co lud błagał swego Boga. Radosna wiadomość lotem błyskawicy rozprzestrzeniła się po kraju. Wszyscy Polacy wiedzieli już o Cudzie nad Wisłą, o tym jak ksiądz Skorupko z Krzyżem prowadził do ataku polskich żołnierzy i atak się udał. Front bolszewicki został przerwany. Teraz bolszewicy zaczęli uciekać, jak szczury z tonącego okrętu.

Kiedy mój ojciec dowiedział się, że bolszewicy dostali tęgie lanie pod Warszawą, szybko wy dostał z ukrycia karabin i amunicję, z powrotem przywdział swój mundur i okrągłą ~~czapkę~~ czapkę wojskową z orzełkiem. Już wcześniej nawiązał kontakty z kolegami, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji i czekali tylko na odpowiedni moment. Ze wsi Milewo Zabielskie przyjechał kolega ojca, też żołnierz - kawalerzysta Dominik Lupiński w mundurze, z karabinem, na ładnym koniu i razem z ojcem zaczęli szybko organizować oddziałek partyzancki. Z Kapic dołączył Ambroży Nieciecki - brat Stanisława, który należał do POW, Stanisław Chibowski który niedawno wrócił z niewoli niemieckiej, gdzie dostał się w 1915 r. z carskiej armii, Józef Kulikowski oraz trzech żołnierzy z 36-go pułku piechoty, którzy podczas odwrotu po rozbiciu ich pułku nie mogli dołączyć do swoich i zmuszeni byli do pozostania na tyłach frontu. Ci trzej żołnierze ukrywali się w Kapicach. Teraz ta wósemka postanowiła rozpocząć dywersję na tyłach wroga, wycofującego się i rabującego okoliczne wsie.

Do Zawad przemaszerowało kilka tysięcy bolszewickiego wojska, aresztowali kilku mężczyzn, wśród których znalazł się i proboszcz miejscowej parafii - ksiądz Kulesza. Księdza trzymali zamkniętego w chlewie wraz z Maliszewskim z Zawad. Kiedy te wiadomości dotarły do Kapic i do mego ojca, postanowił on wraz z małą garstką nowoorganizowanych przepędzić zgraję grasującą w Zawadach. Około południa oddziałek w pełnym rynsztunku bojowym wyruszył z Kapic, większość była w mundurach, prowadził Dominik Łupiński na koniu. Doszli do mostu nad Bliną - dopływem Narwi. W tym miejscu przebiega szosa ze Strenkowa Góry do Jezewa i dalej na Białystok. Szosa ma wysoki nasyp, tym samym most jest wysoko usytuowany i widoczny z daleka. Oddziałek zajął stanowiska bojowe w rowach szosy. Dominik Łupiński na swym rumaku wjechał na most, przegalopował po nim, zatrzymał się na środku i zaczął lornetować Zawady. Most był dobrze widoczny z Zawad, odległy od pierwszych Zawadzkich zabudowań o około 300 metrów. Bolszewicy zauważyli polskiego ułana na moście, po chwili przy użyciu ukazało się trzech piechurów, zakręcili się i cofnęli do rowu. Wśród bolszewików w Zawadach powstało zamieszanie, wydzielili patrol złożony z kilkudziesięciu bojów, który ostrożnie zaczął się zbliżać do mostu. Łupiński zjechał do rowu, po krótkiej naradzie partyzanci postanowili patrolowi zbliżyć się na odległość umożliwiającą celnym strzałem położenia kilku wrogów. Uzgodnili, że strzelać będą salwami, aby bolszewicy nie mogli się zorientować z jaką siłą mają do czynienia. Kości zostały rzucone. Chłopcy zaciskali w dłoniach karabiny ręczne /maszynowe/ nie mieli wrog zbliżać się krok po kroku, każdy ze śmiałej ósemki już miał na celowniku upatrzonego napastnika. Ta garstka ludzi była już dobrze ostrzelana w okopach nad Berezyną, nie robił na nich wielkiego wrażenia gwizd kul. Ojciec mówił, iż nierzadko jedna kompania IV Pułku Legionów brała do niewoli całą dywizję sowiecką. Za chwilę z ośmiu straceńców na rozpocząć bój z kilkoma tysiącami wrogów. Gdy zwiad bolszewicki zbliżył się na dogodną odległość, gruchnęła salwa z ośmiu karabinów, potem druga, trzecia, czwarta, piąta. Chłopcy ponownie naładowali magazynki, ale bolszewicy już uciekali i kryli się w zabudowaniach zostawiając na polu zabitych i rannych. Partyzanci nadal strzelali salwami, bolszewicy szybko wystawili kilka karabinów maszynowych i zaczęli gęstym ogniem strzelać po stanowiskach oddziałku, po lesie olszynowym, zwanym przez nas Chrapami i po Kapicach, gdzie w młynie zwanym Parpką do dziś pozostały ślady kul. Gdy bolszewicy przerwali ogień, oddziałek wznowił swoje salwy. Po kilunastu minutach kanonady ku ogromnemu zdziwieniu partyzantów, gościnnie prowadzący z Zawad do wsi Opuchowo zapchany został różnymi formacjami uciekającymi bolszewików, którzy zrozumieli, że szosa prowadząca do Białegostoku została przecięta przez armię polską i w ten sposób są oni prawie zamknięci w kotle. Bolszewicy uciekali przez wieś Opuchowo do Tykocina.

Upojony sukcesem oddziałek ścigał ich aż do wsi Sierki pod Tykocinem. W Tykocinie sowieci przeprawili się przez Narwę i poszli na Knyszyn. Oddziałek zawrócił w kierunku Zawad. W Zawadach okazało się, że bolszewicy uciekając zapomnieli w popłochu o zamkniętym w chlewie księdzu. Pozostawili dużo krów i świń zrabowanych miejscowym gospodarzom. Oddziałek nie poprzestał na dotychczasowych, nie małych przecież czynach i ruszył dalej po wsiach, gdzie nie brakowało bolszewików, poróżnionego sowieckiego wojska. W Targoniach rozbroili kilkunastu ruskich. W gospodarstwie Wądołowskich mój ojciec ze Stanisławem Chibowskim dopadli sześciu kacapów i wszystkich rozbroili. Reszta na widok polskiego wojska uciekła w pław przez rzekę, do wieczora Targonie oczyszczone były z sowieców.

Podczas tej akcji, mojego ojca spotkała miła niespodzianka. Po rozbrojeniu wrogów mieszkańcy Targoni wylegli na ulice oglądać i podziwiać polskich bohaterów. Było wiele młodych dziewcząt, jedna z nich szczególnie "wpadła w oko" memu ojcu, później właśnie ona została jego żoną, a moją matką. Na zew oddziałku, który odniósł tak wspaniały sukces wypędzając masę wrogów z okolicy, do podobnych akcji zaczęli się przyłączać inni odważni mężczyźni z okolicznych wsi. Mieczysław Zajkowski i Józef Kobyliański z Targoni mieli ukryte karabiny, następnego dnia wydobyli je i zrobili zasadzkę na szosie koło wsi Rudniki na Łysej Górze. Szosą w dalszym ciągu uciekali sowieci na wschód. Podczas tej akcji kilku sowieckich żołnierzy zostało zabitych, a kilku rozbrojonych.

Dominik Łupiański po akcji zawadzkiej dokonał zasadzki wraz z kilkoma cywilami na szosie Warszawa - Białystok. Podczas jednej z tych akcji zabrał bolszewikom kilkanaście sztuk zrabowanego bydła. Dopiero w kilka dni po tych wypadkach nadszła w nasze strony regularna armia polska.

Mój ojciec zgłosił się do wojska i został ponownie skierowany do Kielc. W pierwszych dniach października 1920r. znów znalazł się na froncie w swoim IV Pułku Legionów, walczył na froncie do końca wojny.

Po zakończeniu działań wojennych z Rosją sowiecką pułk ojca został skierowany wraz z dywizją gen. Żeligowskiego na Litwę. Pułk w czasie walk z Litwinami wziął do niewoli dwa pułki wojska litweskiego, pomógł gen. Żeligowskiemu odebrać Litwinom Wilno, które zostało przyłączone do Polski.

To już był koniec wojny i zamęt Polski na Wschodzie. Nastąpiła demobilizacja armii polskiej. Głównym zadaniem do cywila memu ojcu za poniesione zasługi dowództwo pułku ofiarowywało dwudziestohektarowe gospodarstwo rolne na Wołyniu. Ojciec jednak podziękował za wyróżnienie i oświadczył, iż spieszy się do własnego gospodarstwa pozostawionego pięćdziesiąt kilometrów.

Powrócił także do domu stryj Wacław, przez cały czas trwania wojny pełnił na froncie funkcję sanitariusza, jego służba była nie mniej niebezpieczna niż ojca. Nie wróciło z wojny dwóch Kapiczków: polegli Antoni Sikorski i Paweł Żalewski.

Przybyli i powiacy. Piotr Świątkowski w stopniu plutonowego z Krzyżem Walecznych na piersi /dziś jest staruszkim, ale nie zapomina przypiąć krzyża do klapy garnituru, przy każdej bardziej uroczystej okazji/. Józef Kapica otrzymał także Krzyż Walecznych, Franciszek Kapica - stopień plutonowego, Michał Roszkowski - kaprala. Kilku pozostałych, w tym mój ojciec, dosłużyło się stopnia starszego szeregowego. Aleksander Zdrojewski służył przez cały okres wojny w marynarce wojennej, kiedy wrócił, już w czasie pokoju, zastąpił w okolicy jako świetny akordeonista. Dominik Łupifski wrócił także cały i zdrowy, ale za swoje śmiałe wyczyny zapłacił drogo. Gdy Polska ponownie znalazła się pod okupacją sowiecką w 1940 r. został aresztowany przez bolszewików i wszelki ślad po nim zginął. Jego żona wraz z dwoma synami została wywieziona na Syberię w 1941 r. powróciła latem 1946 r.

Wróć nieco wstecz, gdyż pominąłem przykry dla mieszkańców naszej wsi wypadek, który zaszedł podczas wycofywania się wojsk polskich ze Wschodu. Po ustąpieniu armii polskiej bolszewicy przypędzili kilkudziesięciu polskich żołnierzy wziętych do niewoli i zajęli kwatery w gospodarstwie Stefana Kapicy. Mieszkańcy naszej wsi nieśli artykuły żywnościowe, karmili i polili, czym mogli, naszych maltretowanych żołnierzy. Bolszewicy odpędzali dobroczyńców, ale nie odważyli się strzelać do kobiet i dzieci: w rezultacie żołnierze zostali nakarmieni i zaopatrzeni na dłuższą niewolę. Po noclegu w zabudowaniach bolszewicy wygonili jeńców na zbiórkę i policzyli ich. Stan się nie zgadzał. Zarządzili rewizję, przetrzasali zabudowania, kłuli bagnietami słomę złożoną w stodołach, tak natrafili na chłopaka, który ukrył się w składowanym zbożu, mając nadzieję ująć dalszej niewoli. Ukrył się zbyt płytko - bagniet przebił mu nogę. Bolszewicy wyciągnęli biedaka na podwórko i rozstrzelali na oczach wszystkich. Był to dla Kapiczków straszny i wstrząsający widok, długo go jeszcze wspominali, litując się nad młodym Polakiem, który nie doczekał upragnionej wolności.

Życie w wolnej i niepodległej Ojczyźnie zaczęło powoli wracać do normy. Młodzi po powrocie z wojny żenili się młode pokolenie polskie miało być wychowane

W duchu wielkiego patriotyzmu, przez rodziców, sąsiadów i nauczycieli.

Do pierwszej i drugiej klasy szkoły podstawowej chodziłem we wsi Targonie Wielkie w latach 1931 - 1932. Rodzice oddali mnie do szkoły w Targoniach z uwagi na to, że w Kapicach szkoły nie było. Dzieci z Kapic chodziły do szkoły w Jezewie Nowym, odległym od Kapic ponad 2 km. Chodząc do szkoły w Targoniach mieszkalem u swoich dziadków - rodziców mojej matki - Alberta i Marianny Targońskich. Rodzina moich dziadków była starą rodziną szlachecką i do przesady katolicką. Gospodarstwo rolne mieli nieduże około 20 ha gruntów. Była to już resztówka po dużym niegdyś majątku. W 1515 r. majątek przedków mojej matki składał się z 20 włók ziemi. Przez wieki dzielone przechodziło z dziada pradziada z ojca na syna.

Nauczycielami moimi w szkole targońskiej byli państwo Szubartowie. Szkoła była sześcioklasowa. Pierwszy raz mnie, siedmioletniego ucznia zaprowadziła do szkoły moja babcia. Przed wyjściem byłem nauczony przez babcię i dziadka, że zawsze przechodząc obok dorosłych mam mówić "pochwalonego", czapkę zdjąć i wypowiedzieć "nieca będzie pochwalony Jezus Chrystus". Dalej po zaprowadzeniu mnie do szkoły, przy zapoznaniu się z nauczycielami, mam obojga ich przywitać - nisko ukłonić się, poczym podejść i pocałować w rękę Panią i Pana. Tak jak mnie nauczono, tak postąpiłem. Po kilku zadanych mi pytaniach pan Szubart wziął mnie za rękę i zaprowadził do klasy w której już siedziało około czterdziścioro dzieciaków. Wracałem do domu już sam bez babci, ale po drodze każdego spotykałem każdemu mówiłem pochwalonego. Na drugi dzień zaraz po przyjsciu do szkoły, gdy zobaczyłem panią Szubartową szybko podbiegłem i pocałowałem w rękę, pana Szubarta też. Na następny dzień tak samo. Po paru dniach takiego witania pani Szubartowa odwołała mnie na bok i powiedziała, słuchaj Lutek ty nie musisz codziennie witać się z nami, to jest zbyt ciężkie, a czy tobie babcia każe każdego dnia witać nas? Zarumieniłem się i odpowiedziałem, że babcia kazała mi się przywitać pierwszy raz, a ja myślałem, że dalej tak należy czynić, roześmiała się i pogłaskała po głowie, a ja zawstydzony odszedłem. Wracając tego dnia ze szkoły do domu przy drodze orał ziemię Wacław Sikorski z Targoni i tu mi się pomieszało zapomniałem co mam powiedzieć. Pamiętałem, że babcia uczyła mnie coś innego, że mam mówić gdy spotkam kogoś przy pracy "Panie Boże dopomóż", ale nie byłem pewny więc zawahałem się i powiedziałem "pochwalonego".

Pan Sikorski konie zatrzymał, obejrzał się, odpowiedział mi "na wieki wieków amen" i zaczął mnie wypytywać czy ja jestem. Gdy mu odpowiedziałem, że jestem z Kapic Grabowski, wówczas zastanowił się i powiedział, ach to ty syneczku jesteś wnukiem pani Kowalczykowej, wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem, że pan się myli, jestem wnukiem Targońskich.

Roześniał się i powiedział, że Tarłońscy mają taki szlachecki przydomek Kowalczyki i to nie jest obrażające. Za parę dni o wszystkim opowiedział moim dziadkom, inni ludzie też coś musieli do babci mówić, bo do tańca pochwałę w postaci mocnych uścisków. W prawie każdej niedzielę babcia ubierała mnie odświętnie i jechaliśmy do kościoła w Zawadach. Nauczony już byłem dłuższego pacierza i umiałem odmawiać różaniec. Babcia była tercjarka, należała do zakonu Franciszkańskiego. Ówczesny proboszcz parafii zawadzkiej ks. Władysław Komarowski stawiał zawsze babcię za wzór matki - Polki katolickiej. Po nabożeństwie, często wstępowała wraz ze mną na plebanie do księdza na pogadankę, podczas której przyjmowana była herbatką. Pamiętam, iż raz jednego musiałem popisać się swoimi umiejętnościami modlenia się. Po czym ksiądz wyprzął dość suto cukierkami, a babcia była w niebowzięta. Gdy byłem 14 - sto letnim chłopcem w kościele w Zawadach, podczas odpustu Przemienienia Pańskiego z jakichś tam powodów poproszono mnie do niesienia baldachimu podczas procesji. Znalazłem się w ten sposób wyróżniony, poniosłem baldachim w towarzystwie trzech zacnych obywateli parafii zawadzkiej. W pewnym momencie zobaczyłem moją babcię ogromnie wpatrzoną we mnie z pełnymi oczyma łez. Po paru minutach był koniec procesji i nabożeństwa. Za chwilę już ktoś mnie od tyłu targał za plecy, obejrzałem się, była to moja babcia, która serdecznie mnie ucałowała, poczym wyjęła z portmonetki całą przedwojenną złotówkę i wcisnęła mi ją do ręki. Podczas tych dwóch lat uczęszczania do szkoły w Tarłoniach, nauczyłem się w szkole pisać i czytać, a w babci domu nauczyłem się śpiewać zawsze rano godzinki, wieczorem - "Dobranoc kwiecie różany", w piątki zawsze śpiewano "Wici na krzyżu", w wielkim poście - gorzkie żale, w Święta Bożego Narodzenia - koledy, w Święta wielkanocne - Alleluja.

Na parę lat przed wybuchem II wojny światowej mój dziadek jadąc szosą znalazł portfel z dużą ilością pieniędzy, około 300 zł. Przywiózł te pieniądze do ks. Komarowskiego w Zawadach i ksiądz przez trzy niedziele ogłaszał z ambony, aż zgłosił się właściciel, któremu pieniądze zostały zwrócone.

Później gdy zmarł w 1936 r. na pogrzeb zjechała się ludność okolicznych wsi i z Tarłoni. Ksiądz podczas mowy przy trumnie żegnając zebranych w imieniu zmarłego, donośnym głosem wołał "Tarłonie oddodzi od was wasze słońce".

W 1933 roku rodzice przenieśli mnie do szkoły w Jeżewie Nowym. Moimi wychowawcami w szkole Jeżewskiej byli kierownik szkoły Aleksander Grochowski - Polak z krwi i kości, patriota, wspaniały pedagog i wychowawca, który całe swe życie poświęcił wychowaniu młodzieży: pokierował dla dobra ojczyzny. Jego koledzy Władysław Pawłowski,

Stanisława Jabłońska, Wacław Kacperk, Stanisław Zaryba i jego żona Helena oraz Jadwiga Bojarska, byli również dobrymi wychowawcami, pokazywali nam swoją wiedzę ogólną i patriotyczną, uczyli nas wiary w Boga i miłości Ojczyzny. Szkoła w Jezewie była sześcioklasowa, wszystkie dzieci należały do uczniów, starsze do harcerstwa. Każde z dzieci ubrane w mundurk harcerski, czapkę, krawati pas. Częste wycieczki do Tykocina, tam zwiedzanie: pomnik Stefana Czarnieckiego, ruiny zamku Radziwiłłów, stary klasztor, okopy szwedzkie. Pielęgowaliśmy stare orientacje wojskowe z 1863 r. i z 1920 r. Zawsze wychowawcy nasi przypominali nam i wpajali słusność sprawy za którą oddali życie Polacy, których mogli i opiekowaliśmy się. Pamiętam maj 1935 r. Śmierć naszego wodza Józefa Piłsudskiego. Kierownik naszej szkoły pan Aleksander Grochowski kazał zebrać dzieci ze wszystkich klas do jednego gmachu. Przybyli również wszyscy nauczyciele. Pan Grochowski wystąpił z zamiarem wygłoszenia mowy, po kilku wypowiedzianych zdaniach, że nasz Marszałek Józef Piłsudski nie żyje, rozplakali się i już po chwili łkały wszystkie dzieci. Tego dnia poszliśmy wcześniej niż zwykle do domów, gdzie panowała żałoba, dzielona chyba z całą Polską.

Następnego dnia ubrani odświętnie w mundurki harcerskie, każde dziecko z czarną opaską na ramieniu, ustawieni w czwórki ze szkolnym sztandarem owiniętym kirem, pomaszzerowaliśmy do pobliskiego kościoła w Zawadach. Tam wśród tłumu ludzi dorosłych, oraz dzieci ze szkół w Zawadach i Targoniach uczestniczyliśmy w nabożeństwie żałobnym z. spokojduszy ś. p. Józefa Piłsudskiego.

W 1936 r. odszedł z naszej szkoły w Jezewie nasz kierownik pan Grochowski a na jego miejsce przyszedł nowy pan Wikołajczyk /imię zapomniałem/. Był to człowiek bardzo energiczny, legionista z czasów wojny, porucznik rezerwy wojska polskiego, wielki patriota - Polak. Zorganizował zaraz po przybyciu na teren wsi Jezewo Nowe i Stare oddział Strzelca. Przyjmował do tej organizacji chłopców od piętnastego roku życia, którzy ukończyli szkołę podstawową. Szeregi Strzelca szybko powiększały się. W 1937 r. uzbroił oddział, ponad 150 chłopców. Karabiny do łwaczeń dostał czyli wszystkim z czasem większość umundurował w mundury strzeleckie i czapki okrągłe z orzełkami. W każdą niedzielę moi starsi koledzy maszerowali ze śpiewem "Hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały..." do lasu na ćwiczenia. Na oczekaniu znaleźli się podoficerowie rezerwy jako instruktorzy. Ogromnie mnie to wojsko podobało, ale narazie nie mogłem do niego wstąpić, byłem jeszcze za młody, a odzikiem dopiero do piątej klasy szkoły podstawowej. Musiałem cierpliwie czekać na ukończenie szkoły i na tyle zewnętrznie lat. Pomiędzy tym czasem do czasu w niedziele wrywałem się z domu i biegłem do lasu gdzie ćwiczyli strzelcy. Tam czę-

Idziem, idziem w wir powodzi
 Niechaj przemoc wroga drży
 Już zwycięstwa dzień nadchodzi
 Wielkiej Polski moc to my.

Znałem cały szereg innych piosenek śpiewanych przez narodowców, ale niestety po tylu latach uleciały mi z pamięci. Dominik Sikorski wznosił hasła: Precz z żydo - komuną! Precz z sanacją! Śmierć zdrajcom ojczyzny! Cały pochód jednym głosem huczał - precz, niech żyje wielka Polaka!. Policja granatowa, przy każdej czwórce policjant, pasek pod brodą, maszerowała obok nas cały czas aż do Placu Wyzwolenia. Białystok wówczas był miastem zażydżonym 70% mieszkańców stanowili Żydzi, którzy tego dnia pochowali się po różnych zakamarkach, wyglądali z balkonów i okien. Widzieliśmy, że policja granatowa goniła tego dnia Żydów z chodników i ulic, widocznie bała się aby nie spowodowali jakiejś draki.

Na Placu Wyzwolenia czekały ogromne masy członków SN w galowych strojach i po cywilnemu z mieczykami Chrobrego u klap marynarek. Tu rozpoczął się wiec. Pierwszy przemawiał jakiś pułkownik rezerwy w mundurze. Po nim cywil, mówiono, że z Warszawy delegat SN, mówił tak wspaniale, tak donośnie i przekonująco. Poraz pierwszy w życiu widziałem człowieka o tak wielkim talencie mówcy. Na zakończenie wiecu długo przemawiał ksiądz. Następnie ustawiono nas wszystkich w czwórki i ogromny pochód ruszył ulicami w stronę kościoła Św. Rocha. O dziwo znów cały pochód prowadził Dominik Sikorski, za nim w pierwszej czwórce niósł rozwinięty proporzec naszej parafii Ignacy Babiński. Kapicaki maszerowali na czele pochodu, ja siedłem w trzeciej czwórce od przodu. Słyszałem odgłosy Białostocczaków z chodników, jak mówili: "patrzcie, patrzcie jacy młodzi chłopcy maszerują na czele pochodu..." Obok mnie maszerował mój kolega z Kapic Mieczysław Zalewski, który starszy odemnie był tylko o dwa lata. Maszerując znów wznoszono te same okrzyki i hasła. Tak doszliśmy na miejsce do kościoła Św. Rocha. Tu uczestniczyliśmy w uroczystym nabożeństwie celebrowanym przez znanego wówczas Narodowca ks. Kanonika Abramowicza - proboszcza parafii Św. Rocha.

Po wieczór wróciliśmy do miejsca postoju naszych wozów. Tu przydarzył się incydent z policją. Mieliśmy całe pliki różnych ulotek, które rozdawaliśmy na lewo i prawo ludności. Jak się okazało jedna z tych ulotek nie miała wydrukowanego miejsca swego pochodzenia tj. podanej drukarni w której była drukowana. Porucznik policji w asyście kilkunastu policjantów zaczął robić dochodzenie i chciał zarekwirować pozostałe jeszcze ulotki. Zaczęła się dość ostra wymiana zdań między policją a narodowcami, poczym Ignacy Babiński wyskoczył do owego porucznika i dość ostro go zaatakował, zapytał czy po oddaniu owych ulotek za cywilę nie zechce on aby mu oddać proporzec, który trzymał w rękach. Porucznik zmieszał się

sto udało mi się choć potrzynać karabin, a kilka razy pan Mikołajczyk podczas ćwiczeń strzelania zawołał mnie, kazał dać mi karabin i po krótkim objaśnieniu jak się należy obchodzić z karabinem i jak należy celować do tarczy, pozwolił mi strzelać. O dziwo pierwszy raz w życiu wpa-
liłem do tarczy z karabna i popadłem prawie w dziesiątkę, drugi strzał w to samo miejsce, trzeci ciut niżej. Pan Mikołajczyk był zaskoczony moim strzelaniem, pochwalił mnie i pozwolił przycodzić na strzelnicę. Innym razem strzelałem z KBK-su co było łatwiejsze więc waliłem bez pudła.

W latach 1936 - 1939 w naszej kobylińskiej parafii i okolicy rozwinął się ruch narodowy - Stronnictwo Narodowe. Kapice podzieliły się na dwa przeciwstawne obozy polityczne. Większość mieszkańców należała do Stronnictwa Narodowego, kilku do BBWR /Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem/, tych ostatnich nazywano sanacją. Członkami Stronnictwa Narodowego z Kapic byli mój ojciec i stryj, Czesław Kropiewnicki, Stanisław Kropiewnicki, Czesław Zalewski, Józef Zalewski, Eugeniusz Zalewski, Wacław Ożarowski, Jan Chibowski, Jan Grodzki, Jakub Truskolawski, Edmund Targoński, Franciszek Kapica, Aleksander Kapica, Władysław Babiński jego syn Stanisław i córki Jadwiga i Helena, Józef Cassowski jego synowie Adolf i Piotr oraz córka Aniela, Józef Kapica, Michał Roszkowski, Aleksander Zdrojewski, Julian Milewski, Stanisław Szafrankowski, Mieczysław Szafrankowski, Michał Szafrankowski, Sylwester Szafrankowski, Kazimierz Szafrankowski, Czesław Szafrankowski, Walenty Masłowski, Czesław Puchalski Józef Zalewski i jego córki Fema i Kunegunda, Jan Nieciecki, Stanisław Nieciecki, Mieczysław Nieciecki, Dominik Sikorski i Józef Zajkowski. Komendantem SN na gminie Kobylin był Dominik Sikorski, jego zastępcą Józef Kapica. Szybki rozwój SN na terenie całej Białostoczczyzny należy przypisać bardzo radykalnym hasłom, bojkotowi Żydów, dobrym organizatorom. W naszych stronach pionierami SN byli Józef Pogorzelski ze wsi Bionaki gm. Sokoły, ożeniony w Kapicach Jasiowizna z córką Józefa Zalewskiego - Femą. Tadeusz Kupliński ze wsi Sierki gm. Tykocin, Tyborowski z Tykocina, Adolf Cassowski z Kapic oraz Włodzimierz Zdrodowski ze wsi Kobylin Cieszyński. Na siedni powiat Łomża od dawna słynął z częstego przebywania tam Wodza Naczelnego SN Romana Dmowskiego, który zmarł w 1938 r. w drozdowie pod Łomżą w majątku swoich krewnych. Śmierć Romana Dmowskiego tego wielkiego Polaka i polityka okryła nasze strony podobną żałobą jak śmierć Piłsudskiego. Członkowie SN z Kapic uczestniczyli w pogrzebie swego wodza w Drozdowie i w Warszawie na cmentarzu Bródnowskim. Z Kapic Adolf Cassowski będąc absolwentem gimnazjum w Sejnach, występował podczas wyborów do sejmu w 1930 r. zbyt ostro przeciw głosowaniu na kandydatów BBWR, wspólnie z Włodzimierzem Zdrodowskim, za co w rok po wyborach zostali aresztowani i skazani. Do wybuchu wojny tj do

września 1939 r. siedzieli obaj w więzieniu. Gąssowski przed aresztowaniem wstąpił do seminarium duchownego w Wilnie, czym uczynił zadość woli swoich rodziców od początku widzących w nim księdza. Marzenia Gąssowskich nie ziściły się, gdyż policja odnalazła młodego Narodowca i zdjęła z niego sutannę.

Działalność SN w tym czasie przybierała żywiołowy charakter na obszarze całej Białostoczczyzny. Zebrania, zjazdy, wiece, patriotyczne hasła "Polska dla Polaków", "Precz z żydo-komuną", "Niech żyje wielka Polska". Mieczyk Chrobrego, znak przynależności do SN widziało się w klapie marynarki prawie każdego mężczyzny, nosiło także wiele kobiet. Galowym strojem organizacji była bluza koloru jasnoszarego, pas oficerski z koalicją i czarny beret. Na powitanie mówiono "czołem" i unoszono prawą dłoń w górę. Wielkim świętem był dzień 15 sierpnia, rocznica "Cudu nad Wisłą". Rokrocznie w dniu tym odbywały się zjazdy i wiece połączone z nabożeństwami i pochodami.

W 1938 r. odbył się zjazd członków SN w Białymstoku. Byłem wówczas dużym już chłopcem, miałem czternaście lat, byłem szczupły ale wysoki. Udało mi się rodziców uprosić, aby pozwolili mi pojechać wraz z moim stryjem i Kapicakami na ten zjazd do Białegostoku. Jechało z Kapic dwudziestu pięciu narodowców, pięcioma wozami parokonnymi, ubrani galowo w bluzy, berety i pasy, ja też uorałem się w taki sam strój, który pożyczyłem od Czesława Kropiewnickiego. Z innych wsi dołączyło do nas kilkanaście furmanek. Jechaliśmy z proporcem parafii kobylińskiej, który został ufundowany ze składek członków SN naszej parafii i przed rokiem wyświęcony w Kobylinie. Podczas wyświęcania odbyła się wielka manifestacja, połączona z wiecem przy udziale kilkuset narodowców i okolicznych księży. Do noszenia proporca wybrany został Piotr Gąssowski - brat Adolfa, który w tym czasie został powołany do czynnej służby wojskowej do Wilna. Proporzec nosić przypadło w zastępstwie Ignacemu Babińskiemu ze wsi Plebanki. Był to ogromnie energiczny i oddany członek SN w parafii zawadzkiej. Teraz on na czele kolumny wozów jechał ze sztandarem na zjazd. Wyjechaliśmy 14 sierpnia przed wieczorem, do Białegostoku od Kapic było 31 km., więc zarządzono nocleg we wsi Złotoryja. Wieś duża, większość mieszkańców członkowie SN, przyjęli nas gościnnie. Spanie odbyło się w stodołach na sianie. Rano 15 sierpnia dołączyło do kolumny jeszcze kilkanaście wozów z okolicznych wsi oraz grupa cyklistów i kilkudziesięciu konnych ułanów. Ze Złotoryji ruszyliśmy około godz. 8⁰⁰, kawaleria na czele zania cykliści, a następnie kolumna wozów. Do Białegostoku /około 13 km/ szybko przyjechaliśmy. Całość zatrzymała się na szosie Żółtkowskiej. Na kilku dużych dziedzińcach fabrycznych pozostawiono wozy, konie i rowery. Uformowaliśmy się w czwórki, rozwinięto proporce i transparenty.

Dominik Sikorski objął komendę nad całością po czym wydał rozkaz naprzód marsz i pochód ruszył w kierunku dworca kolejowego, dalej ulicą w kierunku Placu Wyzwolenia. Tam był punkt główny - zborny. Maszerując przez Białystok śpiewaliśmy pieśni:

To nic, że kraty, więzienne mury,
 że nas przygniata sanacji dłoń
 My z naszą wiarą rozpędzimy chmury,
 A z niej wykujem silną broń.

I przyjdzie dla nas szczęśliwa dola
 Zawita dla nas jaśniejszy dzień
 Z więzień wyjdziemy na nasze pola
 Sanacja zniknie jakby cień.

Z mieczem Chrobrego ruszmy na wroga
 W pył skruszmy więzienne kraty i mury
 W walce nam nigdy ustąpić nie wolno
 Aż wieiką Polskę ujrzemy znów.

Druga pieśń którą narodowcy śpiewali:

Tam na Polesiu wśród bagien bezdennych
 Gdzie tylko ponury wiatr wiał
 Żagnał serc dużo promiennych
 Bez duszy okrutny zły kat.

Za to, że kraj swój tak szczerze kochali
 A Żydów chcieli wygnać precz
 Miłość Ojczyźnie w ofierze składali
 Twardo trzymali swój miecz.

Lecz nie załamał ich trud i niedole.

A tylko wyrobił w nich hart
 Śmiało stawiajmy wrogom swe czoła
 Hasło nas niesie hen w świat.

Precz z naszej Polski żydowska zaraza
 Precz złe przekupstwa i brud
 Nas nie zastraszą Kartuską Berezą
 Pracą nad słoń i trud.

Hymn SN

Złoty słońca blask dokoła
 Biały Orzeł wzlata w zwyz
 W górę wzniesmy dumne czoła
 Patrzmy w polski znak i krzyż.

Polsce niesiem odrodzenie
 Depczem podłość, fałsz i brud
 W nas mocarnej wiosny tchnienie
 W nas jest przyszłość z nami Bóg.

a po chwili odpowiedział, iż proporzec jest legalny, a ulotki nielegalne i on je skonfiskuje. Ignacy na to nazwał go żydowskim Wojtkiem. Porucznik poczuł się tym obrażony i cnciał teraz aresztować Ignacego Babińskiego. Zrobił się ogromny szum, ktoś krzyknął - aresztują, za chwilę zaczęli przybywać narodowcy z innych podwórek z kamieniami, cegłami i kłonicami w rękach. Policjanci pobledli, wpadł komisarz policji, natychmiast zabrał porucznika i jego obstawę. Nawet przeprosił za za ieszanie. Ignacy Babiński szybko się przebrał w cywilne ubranie, ponieważ zachodziła obawa, że policja może guzić w powrotnej drodze, gdy będzie nas mniejsza siła przestąpić i aresztować Ignacego.

Około godziny siedemnastej nasza grupa na wozach i rowerach wyjechała z Białegostoku do Kopic. Koło wsi Rzędziany nadjechały od strony Białegostoku trzy samochody ciężarowe pełne policji. Minęły nas bez zatrzymywania się i pojechały dalej.

Przypominam sobie była to chyba wiosna 1937 roku rząd senacyjny zawiesił działalność SN na naszym terenie. Rozpoczęły się aresztowania działaczy SN na Białostocczyźnie. Wówczas został aresztowany Józef Pogorzelski i jego brat Jan Pogorzelski, Tadeusz Kupliński ze wsi Sierki i Tyborowski z Tykocina. Dominik Sikorski nie dał się ująć, uciekł i przez pewien czas ukrywał się. Aresztowanych narodowców osadzono w Berezie Kartuskiej. W kwietniu tegoż roku, policja granatowa z powiatu Wysokie Mazowieckie przyjechała do Kobylina zabrać proporzec SN. Wówczas ksiądz Czarnowski, oświadczył policji, iż proporzec nie wyda " że ma polecenie wydawać tylko tej ręce, która go tu w kościele parafialnym położyła ". Jednak policja kategorycznie żądała wydania, wówczas ksiądz pociechu wysłał gońca do Kopic, aby zawiadomił Dominika Sikorskiego. Ten pomimo, iż się ukrywał to postanowił interweniować siłą. Natychmiast rozesłał gońców do sąsiednich wsi. W niespełna dwie godziny, a już ze wsi Opuchnowa, Plebanki, Zawady, narodowcy jechali na koniach i rowerach do Kopic. Tu Sikorski na swojej pięknej klaczy w stroju galowym stał na czele trzydziestu kawalerzystów i z niecierpliwością czekał na posiłki z innych wsi. Za chwilę ujrzeliśmy tumany kurzu na drodze wiodącej od Zawad do Kopic. To Ignacy Babiński galopował na czele znów około trzydziestki kawalerzystów. Całość galopem ruszyła drogą z Kopic do Kobylina. W Cieszymach dołączyła jeszcze kilkunastu jeźdźców. Po paru minutach około setka narodowców galopem jechała przez Kobylin - Latki, Pieniążki, aż wpadła na rynek pod kościół i posterunek policji. Policja ogromnie przestraszyła się poczym zabarykadowali wejście na posterunek. Dominik Sikorski podjechał na swojej klaczy pod okno posterunku. Wywołał do okna miejscowego komendanta i zakomunikował mu, że proporzec zostaje zabarty

z kościoła przez tych, którzy go tu złożyli i narazie będzie przebywał wśród tych, którzy go ufundowali i którym służy za symbol ich walki. To było nieprawdą, gdyż proporzec pozostał nadal w kościele. Po czym narodowcy wznieśli kilka okrzyków na cześć Polski i spokojnie odjechali do swoich domów. Ja jako młody chłopiec, chciałem wówczas też pojechać na koniu do Kobylina bronić proporca. Stryj mój pojechał na klaczy i zabrał siodło, w stajni pozostał drugi koń, ale nie było siodła ani strzemion, więc gdy się rozpoczął ten ruch, szybko złapałem koc, nałożyłem go na grzbiet wałacha, zamiast popręgu przywiązałem ten koc mocno linką, zerzębą z drugiej takiej samej zrobiłem strzemiona, kantar na łeb, uzda w rękę i zanim rodzice zorientowali się ja już byłam na drodze. Ponieważ byłem spóźniony parę minut, szykowaniem tej uprzęży, więc chcąc dopędzić oddział wypuściłem się na przełaj przez pola i las. W lesie przylałem wałachowi parę różeg, a ten szatan zamiast przyspieszyć to zaczął ogromnie stawać dęba, później łeb pochylił do przodu i począł zadem wierzcąc w górę, do tego stopnia, aż mnie zrzucił w błoto. Sam gdy się uwolnił odemnie pogalopował do domu aż się za nim zakurzyło. Wyprawa mi się nie powiodła. Narodowcy wrócili z Kobylina, akcja można powiedzieć udała się. Policja była przekonana, że proporzec zabrano z kościoła i gdzieś go ukryto.

Za parę dni podobna rzecz miała miejsce w Tykocinie, policja również i tu chciała zabrać proporzec oraz aresztować księdza gdy nie chciał go wydać. Ksiądz był umówiony z narodowcami z Tykocina i okolicznych wiosek, że na wypadek czegoś takiego będą biły wszystkie dzwony w kościele. Gdy policja zjawiła się po proporzec, tykocińskie dzwony zaczęły bić na alarm. Po godzinie takiego alarmu z Tykocina i ze wszystkich stron biegli i nadjeżdżali narodowcy. Rozpoczął się więc na rynku tykocińskim. Proporca i tu nie oddano policji. Dominik Sikorski nadal ukrywał się przed policją. Jednej niedzieli, gdy się troszkę uspokoiło poszedł do kościoła w Zawadach. W Zawadach posterunku policji nie było, ale ktoś doniósł do Rutek - Kossak o tym, że Sikorski jest w kościele. Przyjechało z Rutek trzech policjantów i złapali Sikorskiego gdy wyszedł z kościoła. Dominik Sikorski był silnym i sprytnym mężczyzną, na rynku zaczęło się ciągnięcie i przepychanie. Policjanci podarli na nim garnitur, a ten poprzewracał ich i sam uciekł. Za kilka dni dopadli Sikorskiego w jego domu i tu powtórzyło się to samo. Powyrzucał policjantów z mieszkania, po czym wyskoczył przez okno i uciekł do lasu. W następną niedzielę przyszedł do kościoła w Zawadach Ignacy Babiński w towarzystwie kilkunastu narodowców ubranych w stroje galowy. Ignacy Babiński też w tym czasie był prześladowany przez policję i ukrywał się. Wójtem w gminie zawadzkiej był wówczas Piotr Targoński, poseł na sejm PR, człowiek pro sanacyjny. Narodowców nie nawidził, a z

Babińskim miał ciągły zatarg, Ignacy często mu wytykał różne machlojki, niedociągnięcia itp. Targoński chciał koniecznie pozbyć się swego przeciwnika politycznego. W ową niedzielę trafiła się Targońskiemu okazja. Gdy zobaczył Babińskiego szybko zatelefonował na policję w Rutkach. Policja nauczona już niepowodzeniem jakie ją spotkało z Dominikiem Sikorskim, wezwała pomoc z Łomży. Podczas nabożeństwa na którym był Babiński w kościele, do Zawad przyjechały dwa samochody policji z Łomży, obstawili kościół, lecz do kościoła nie wchodzili. Tego nbe wolno było im czynić. Tej niedzieli wyjątkowo dużo było ludzi w kościele i narodowców. Po nabożeństwie, wierni wyszli z kościoła na przyległy rynek i jak zwykle zaczęły się spotkania i rozmowy. Zauważono patrole policji, kręcące się wokół parkanu bkałającego kościół. Babiński był już ostrzeżony i poza obręb kościoła nie wyszedł. Stał tuż za bramą wejściową na cmentarz z kilkoma kolegami i bacznie obserwował gliny, którzy znów zauważyli go, lecz nie mieli odwagi brać go z terenu kościoła. Wreszcie podszedł ówczesny komendant posterunku w Rutkach pan Chowański do bramy i zaczął wołać Babińskiego bliżej do siebie, ten odsunął się parę kroków pod kościół i zapytał Chowańskiego czego chce od niego. Rozpoczęła się dość ostra wymiana zdań. Po czym Babiński zaproponował Chowańskiemu "aby przyszedł do kościoła i pomodlił się, to może Duch Święty raczy w niego wstąpić, a wówczas przestanie ścigać Polaków". Cała gromada ludzi stała na rynku i wsłuchiwała się tej rozmowie. Teraz powstał ogólny głośny śmiech. Chowański zabrał myszkujejących policjantów i udał się z nimi do gminy. Babiński natomiast wyszedł na rynek i wzniosł swoim donośnym głosem okrzyk na cześć Polski "Niech żyje wielka Polska Narodowa"! Cały tłum jakby wielkim głosem wzniosł okrzyk niech żyje!, niech żyje!. Z gmachu gminy wypadła gromada policji, wszyscy z bronią gotową do strzału z Chowańskim i porucznikiem z Łomży na czele, policja przybiegła pod kościół. Tłum ludzi stał na swoich miejscach, tylko Ignacy Babiński cofnął się na teren kościelny, rozpiął płaszcz i odsłonił pierś przybraną w bluzę, pas i koalicijkę i tak stał. Policja kazała rozejść się stojącym na rynku. Parę starszych kobiet odeszło, natomiast mężczyźni stali i nie ruszyli się ani o krok. Przez tłum przebiegł szmer, narodowcy zaczęli się rozglądać po terenie i zbierać kamienie i cegły. Oficer policji zauważył, za chwilę może tu być bardzo gorąco, że jego policjanci w sile około czterdziestki mogą zostać rozbrojeni na oczekaniu, a przy okazji oberwać po głowach. W porę dał rozkaz i wycofał swoich podwładnych. Babiński okrężną drogą przez Kapice wycofał się do swojej kryjówki

W tym samym czasie podobne wydarzenie miało miejsce w Sokołach. Tam również policja chciała aresztować narodowca Zagórskiego. W obronie którego stanęła ludność i koledzy. Poszły w ruch kamienie, cegły i kłonicie. Zagórski uciekając przed policją skierował się do kościoła,

policja za nim strzelała i kula śmiertelnie trafiła go w wielkich drzwiach kościelnych. Został zabity niewinny człowiek, Polak, który zginął z rąk rodaka, tylko za to, że miał inne poglądy. Zagórskiego zabił polski policjant o nazwisku Kijowski. Ogromny był wstrząs w parafii sokołowskiej po tym morderstwie. Wielką manifestacją był pogrzeb zabitego narodowca. Ułożono nawet pieśń ku czci zabitego:

Pewnej niedzieli tak się zdarzyło,
 Że coś okropnego w Sokołach było
 Polska policja w kościół strzelała
 I na świątynię wcale nie zważała
 Byli tam Niemcy, byli i Moskale
 Lecz do kościołów nie strzelali wcale
 Oj biada, biada czy to tak będzie
 To po całym świecie rozniesione będącie.
 Chamie Kijowski czy ci nie wstyd tego
 Dla miłości Żyda zabić brata swego
 Za kbeliszek wódki za kawałek chały
 Zabiłeś Zagórskiego wie o tym świat cały.
 A, że to było w niedzielę rano,
 Że wszystek naród w gromadki zebrano
 Naród się módził i wołał w skrusze
 Zdrowaś Maryia za Zagórskiego duszę.

Pomimo represji ze strony rządu, ruch narodowy zataczał w naszych stronach coraz szersze kręgi. Czym więcej sanacja pchała narodowców do więzień i obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej tym bardziej wzmagali się opór. Chłopi i robotnicy masowo wstępowali w szeregi SN. Prawie całe duchowieństwo współpracowało ze Stronnictwem Narodowym. Księża pozdrawiali z ambon Ruch Wielkiej Polski. Obóz w Berezie Kartuskiej zorganizowany na rozkaz sanacji przez ówczesnego wojewodę Kostka Biernackiego na wzór hitlerowski. Przyniósł on rządowi smutne rezultaty w postaci wstydu i hańby. Naród Polski bogaty w tradycje humanitarne niejednokrotnie w swej historii był przykładem dla innych narodów. Za przykład może służyć Konstytucja 3 - go Maja z 1791 roku. Była to najbardziej demokratyczna konstytucja na świecie. Rząd sanacyjny chcąc zdławić opozycję popadł w skrajność i tym profanował najszlachetniejsze ideały Narodu Polskiego.

W następnych wyborach do sejmu Rzeczypospolitej niewątpliwie narodowcy odnieśli na terenie Białostoczczyzny zwycięstwo. Wszystkie miasta i miasteczka na Białostoczczyźnie były całkowicie zażydzone. Sam Białystok to 70% ludności stanowili Żydzi. Do 1935 r. Żydzi zamieszkiwali i po większych wsiach. Rozpoczęty bojkot przez narodowców

w latach 1935 - 1939 spowodował ucieczkę Żydów ze wsi i mniejszych miasteczek do większych miast. Podczas dni targowych w różnych miasteczkach takich jak Tykocin, Sokoły, Kutki, Knyszyn, Jedwabne, Choroszeźni inne, narodowcy wystawiali swoje warty przy sklepach żydowskich i nie wpuszczali Polaków do tych sklepów. Polacy zakładali swoje sklepy, piwiarnie, restauracje, które coraz lepiej prosperowały. Stragany żydowskie na odpustach, targach i jarmarkach wywracano. Często zdarzały się wypadki wybijania w sklepach żydowskich okien wystawowych. Handlarzy żydowskich, którzy jeździli po wsiach i skupywali bydło, konie, drób, a nawet szmaciarzy przepędzano. Tym bojkotem przeważnie zajmowaliśmy się młodzi chłopcy. Gdy Żyd przyjechał do wsi to już mieliśmy pełne ręce roboty, kamienie, cegły i kije szły w ruch. Zdarzało się, że goniliśmy aż do następnej wsi, tam znów inni przepędzali.

Mijały lata, przyszedł rok 1939, kończyłem szkołę podstawową w Jeżewie. Na dalszą naukę nie zanosilo się rodzice szykowali mnie na gospodarza. To tylko tak się mówiło, bo na dalsze kształcenie pieniędzy nie było. Nauka w gimnazjum drogo kosztowała. Najbliższe gimnazja były w Łomży, Wysokim Mazowieckim, Białymstoku i Sejnach. Chcąc oddać syna do dalszego kształcenia, trzeba było płacić za szkołę i utrzymanie około sześćdziesiąt zł., a metr żyta wówczas kosztował 12 zł, metr pszenicy-16 zł, krowa-150 zł, kół 200 - 300 zł, kilogram żywca-1zł, jajko-5groszy, kura-1zł. Buty kosztowały 12-15 zł, ubranie 50 do 100 zł, czapka -2zł, koszula 4-5 zł, pudełko zapałek-8 gr, kilogram cukru-1 zł, soli-32 gr, 1 l nafty-40 gr. Rodzice ze swego 13 hektarowego gospodarstwa uzyskiwali rocznie około 100 metrów zboża, mogli wynodować do sprzedania jednego konia, jedną krowę, dwa wieprze po 150 kg, 50 szt kur i to byłowszystko. Z tego tego trzeba było utrzymać sześćcio osobową rodzinę. Z Kapic niektórzy bardziej zamożni gospodarze, kosztem wyrzeczenia się całej rodziny kształcili swoje dzieci w gimnazjach. Adolf Cassowski, Wacław Kossakowski, Jan Milewski i Lucyna Czajkowska położyli matury. Stanisław Szafrankowski, Mieczysław Szafrankowski, Stanisław Sikorski, Paweł Sikorski, Eugeniusz Kropiewnicki, Irena Córka uczyli się w różnych gimnazjach i niektórzy ukończyli, niektórym wojna przerwała naukę. Ogromnie mało młodzieży uczyło się rzemiosła. Wszyscy szewcy, krawcy, kowale itp, przeważnie byli pochodzenia żydowskiego. Synowie szlachty uważali, że zawód szewca lub krawca jest poniżający. Dopiero jak rozpoczął się bojkot Żydów, zaczęto myśleć o rzemiosle i handlu. Do tej pory trzymano się zasad, że "szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Moje cięgotydo wstąpienia w szeregi strzelca, który w dalszym ciągu działał na terenie Jeżewa spaliły na panewce. Między organizatorami "Strzelca" a narodowcami wywiązały się antagonizmy. Jedni drugich ostro

zwalczali. Często dochodziło do kłótni i wymyślań nawzajem. Strzelców nazywano Wojtkami sanacji i żydowskimi, narodowców natomiast endekami i rozrabiakami.

W Kapicach wytworzyły się dwa przeciwstawne obozy. Oprócz ww, którzy należeli do SN, kilka rodzin należało do sympatyków sanacji: rodzina Wojciecha Sikorskiego, byłego wójta gm. Kobylin, Stefan Kapica były peowiak, Lucjan Górski, Paweł Czajkowski, Piotr Świątkowski i Lucjan Brzozowski. Najczęściej dochodziło do polemik przechodzących w kłótnie między Dominikiem Sikorskim i jego teściem Wojciechem Sikorskim oraz Wojciecha synami Janem i Pawłem. Szwagrowie ścierali się w sposób kulturalny lecz dosadny. Podczas jednej z zabaw urządzonej przez zwolenników rządu, przybyło kilku gości nieproszonych z pośród narodowców, wśród których rej wodził Dominik Sikorski. Wodzirejem zabawy był Jan Sikorski. Ten ostatni zwrócił uwagę szwagrowi, iż nietaktownie się zachowuje przychodząc na zabawę bez zaproszenia. Dominik począł wykrzykiwać, iż panowanie sanacji już niedługo skończy. Jan odpowiedział, że fortuna kołem się toczy skończy się i endecji. Od tego wywiązała się kłótnia. Zabawę przerwano, goście rozeszli się i rozjechali. Narodowcy często urządzali zabawy składkowe, panie znosiły różne produkty i przyrządzały zakąski, panowie składali pieniądze na wódkę i orkiestrę. Zapraszano księży z Kobylina i Zawad, tańczono, śpiewano, deklamowano wiersze i wygłaszano mowy do białości dnia. Kapice słynęły w okolicy z tego rodzaju zabaw. Orkiestrą zawsze dyrygował Aleksander Zdrojewski, wspaniały akordeonista, on zawsze dobierał do siebie dwóch lub trzech muzykantów, którzy wspomagali jego akordeon innymi instrumentami muzycznymi.

Wiosna 1939 r. nad Polską zaczęły znów się gromadzić czarne chmury. Niemcy hitlerowskie wyciągały swe zaborcze łapy coraz dalej. Nie pominęli Polski. W sercach Polaków narastał niepokój. Po wcieleniu Austrii do Niemiec w 1938 r. zajęta została Czechosłowacja i podporządkowana Rzeszy w sposób nieodwracalny pogarszało sytuację Polski. Na początku trzeciej dekady marca ówczesny minister spraw zagranicznych Niemiec Ribbentrop kategorycznie zażądał przyłączenia Gdańska do Rzeszy i przeprowadzenia przez polskie Pomorze eksterytorialnej autostrady. 26 marca rząd polski odrzucił żądania niemieckie. Ekspansja Niemiec zmusiły rządy Francji i Anglii do pewnej, niezbyt jednak energicznej i skutecznej reorientacji politycznej. 31 marca premier angielski Chamberlain złożył w Izbie Gmin oświadczenie w sprawie gwarancji brytyjskich dla Polski. W parę dni później podczas wizyty w Londynie naszego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, ogłoszony został komunikat polsko-angielski, który przejął się jednostronną gwarancją dla Polski w gwarancje dwustronne oraz zapowiedział zawarcie układu trwałego i dwustronnego. 28 kwietnia Hitler wypowiedział

polsko - niemiecki pakt o nie stosowaniu przemocy w stosunkach wzajemnych z 1934 r. Posłużył się tu pretekstem, że Polska zawarła pakt rękomo wymierzony przeciwko Rzeszy. W odpowiedzi Beck na posiedzeniu sejmku w dniu 5 maja, odrzucił ponownie żądania Hitlera, a nawiązując do frazeologii pokojowej Hitlera oświadczył że: "Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja skrwawiona w wojnach, napewno na pokój zasługuje. Ale pokój jak prawie wszystkie sprawy tego świata ma cenę wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pokoju za wszwską cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor".

Trafne i twarde te słowa dały każdemu Polakowi do zrozumienia, że zawiśła nad Polską ogromne niebezpieczeństwo. Czas było skończyć z różnymi waśniami między sobą. Różnice polityczne trzeba było zatrzeć. Rząd Polski zaczął czynić przygotowania do obrony. Nad Narwią i Biebrzą zaczęto budować linie obronne i schrony żelbetowe. Rozpisano pożyczkę na rozwój sił polskich. Narodowcy czy BBWR - owcy stawali ramię przy ramieniu w obliczu niebezpieczeństwa. Każdy niósł to co miał najdroższego i ofiarowywał, chcąc przyczynić się do podniesienia potęgi i obronności Ojczyzny. Jedni dawali pieniądze inni zdejmowali obrączki i pierścionki z palców. Rolnicy własnymi rękami i narzędziami sypali szafce pod Wizną i Łomżą, nikt nie myślał o zapłacie.

W czerwcu 1939 r. zaczęła się wrywkowa mobilizacja pojedynczych mężczyzn, zwłaszcza oficerów i podoficerów rezerwy. Każdy szedł ciężko, żegnany przez blizkich starym polskim powiedzeniem "idź z Bogiem i mocno bij wroga". Niektórzy jak plutonowy rezerwy Józef Zajkowski i kapral p. chor. Jan Milewski już nigdy nie wrócili.

Około 20 sierpnia wstaliśmy jak zwykle rano do pracy w polu i zauważyliśmy, że lasek zwany Choinką, przylegający do naszej wsi wypełnił się polskimi mundurami. Dla mnie i mego brata Piotrka była to nie lada okazja, zawsze bardzo lubiliśmy przebywać między żołnierzami. Żadne manewry w okolicy nie odbyły się bez nas, znikaliśmy w tym czasie z domu i nawet rodzice nie umieli nas odszukać. Jedliśmy specjały z żołnierskiej kuchni, spaliśmy w stodole na sianie wraz z uwielbianymi żołnierzami. Oficerowie urządzali nam zawody sportowe w skokach, biegach i gry w piłkę. Pamiętam jak podczas takich zawodów zdobyłem pierwsze miejsce w biegu na 500 m i otrzymałem z rąk majora nagrodę w postaci dużej czekolady i karkowca, mój kolega Janek Roszkowski o mały włos nie wyrwał mi zwycięstwa o krok na mecie był drugi, protestował, że rękomo zaleciałem mu drogę. O mało nie doszło między nami do bójki. Oficerowie w porę rozstrzygnęli spór. Janek za drugie miejsce dostał też czekoladę.

Tym razem wojsko, które przybyło w nocy do "Choinki" było jakieś inne. Oficerowie przyjęli nas poważnie, prawie bez uśmiechu. Żołnierze w hełmach, zmęczeni, niewyspani, zamyśleni. Nie byłem już małym chłopcem i rozumiałem co znaczyła ta powaga u naszych zawsze uśmiechniętych wojaków. Mój brat, o dwa lata młodszy ode mnie, czuł się pewnie w roli wścibskiego chłopaczka, dzięki czemu szybciej dogadał się z żołnierzami i doniósł mi, że są głodni i spragnieni, pytają o mleko. Jak mógł najszybciej pobięć do domu, a kiedy wrócił, poprowadziliśmy do naszej chaty kilku żołnierzy, podoficerów i jednego porucznika. Matka ugościła ich zsiadłym mlekiem, jajkami i zupą. Goście jedli, pili, chcieli płacić, lecz matka życzyła im tylko, aby im było na zdrowie i zapraszała na obiad. O zapłacie nie chciała słyszeć. Podczas posiłku mama dyskretnie zapytała gości, gdzie Bóg ich prowadzi? wspomniała pogłoski o wojnie. Wówczas porucznik odpowiedział "mamusia proście Boga o zwycięstwo, wojna jest nieunikniona". Jeden z żołnierzy odpiął ładownicę i pokazał ostrą amunicję. Zrozumieliśmy, że to nie manewry, lecz ostre pogotowie, a nasi goście z 42 pułku piechoty z Białegostoku podążają na północną rubież Polski, aby zająć wyznaczony im odcinek frontu. Wieczorem przybysze odmaszerowali do miejsca swego przeznaczenia.

Budowa umocnień pod Wizną rozpoczęta wiosną 1939 r. nie została ukończona. Cały sierpień w pośpiechu kopano okopy, wznoszono zapory przeciwczołgowe, wzmacniano punkty obronne. Lato było piękne tego roku. Urodzaj na polach zapowiadał się obfity, ale nie cieszyło to nas. Ludzie wsłuchani w ponure odgłosy wydarzeń, czekali i pytali z niepokojem co dalej? Mobilizacja spodziewana lada dzień nadeszła 21 sierpnia. Do sołtysa w Kapicach przywiózł goniec z Kobylina zawiadomienie o mobilizacji t.zw. alarmowej. Kto miał kartę mobilizacyjną koloru zielonego szybko pakował walizkę i ruszał w pole, lecz tym razem bez kosy osadzonej na sztorc, jak niegdyś jego przodkowie na powstanie, szedł po karabin z którym za parę dni przypadło mu się zmagać z czołgami wroga. Cała wieś wybiegła na ulicę, aby pożegnać ze łzami w oczach i modlitwą na ustach, swoich ojców, mężów, braci i sąsiadów. Szli razem ci ze Stronnictwa Narodowego i ci z BDWR-u. Poszedł: Jan Sikorski, Czesław Kropiewnicki, Kazimierz Kropiewnicki, Wacław Gzlarowski, Eugeniusz Zalewski, mój stryj Wacław Grabowski, Piotr Gąssowski, Józef Kapica, Julian Milewski, Gustaw Nieciecki, Walenty Masłowski, Stanisław Babiński i Mieczysław Nieciecki.

1 września 1939 r. krytyczny moment w życiu naszego narodu, rozłoczał i zamknął pewien okres historii.

Rano usłyszeliśmy obcy nam szum samolotów na niebie. Radio podało wiadomość o wojnie. 2 września rozpoczęto mobilizację koni

wozów i uprzęży. Każdy prowadził zwierzęta i wozy do lasu Stelmachowskiego pod Tykocin. Tu odbywał się przegląd. Z gminy kobylińskiej przyjętych zostało około 300 koni i kilkadziesiąt wozów. Sam odprowadziłem naszego konia do 10 pułku ułanów stacjonującego w Białymstoku. Otrzymałem w zamian kwit na 500 zł oraz 2 zł na powrót do domu. Właściciele koni stali z nim jeszcze następnego dnia w lesie przyległym do koszar 10 pułku ułanów. Było to 3 września. W dniu tym Białystok przeżył dwa naloty. Niemcy bombardowali stację kolejową i koszarę 42 pułku piechoty. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie widać polskich samolotów. Gdy zapytałem porucznika, dlaczego nasi lotnicy nie leją szkopów, odpowiedział, że nie mają czasu, ponieważ bombardują Berlin i Królewiec. To uzasadnienie nie bardzo trafiło mi do przekonania, ale nie było czasu na analizę. Wszyscy zgadzali się twierdząc, że Niemcy dostaną tęgię łanie. Rozeszła się tego dnia radosna nowina o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję. Po przekazaniu koni postanowiłem wraz z kolegami zgłosić się na ochotnika do wojska i z tą myślą zaczęliśmy szukać w Białymstoku komisji poborowej. Szybko ostudził nasz zapał pewien opasły sierżant, który poprostu kazał nas wygonić w dodatku stwierdził, że darmozjadów wojsko ma dosyć. Nie było innego wyjścia, wróciliśmy do domów.

Następnego dnia sołtys wyznaczył kilku chłopców, między innymi i mnie, do specjalnie powołanej warty mającej za zadanie pilnowanie mostów i linii telefonicznej przy szosie przebiegającej obok naszej wsi z Wizny do Białegostoku oraz obserwowanie ludzi przechodzących lub przejeżdżających. W razie zauważenia kogoś podejrzanego, należało natychmiast meldować policji lub wojsku. 5 września szosa zapełniła się ludźmi, wozami i dobytkiem. To mieszkańcy terenów nadgranicznych uciekali przed frontem, który zbliżał się do Narwi i Biebrzy. Masy uciekinierów zatarasowały wszystkie drogi prowadzące na wschód.

6 września, stałem z moim serdecznym kolegą "aciawem Górskim na szosie przy moście. Późnym popołudniem usłyszeliśmy głośnie wybuchy bomb i ujrzeliliśmy olbrzymie słupy dymu na szosie warszawskiej, przebiegającej półtora kilometra z drugiej strony Kapic. Po chwili szum silników samolotowych stał się ogłuszający. Olbrzymie bombowce z czarnymi krzyżami zeszły na wysokość 10 - 15 metrów i sypnęły serie bomb na linię telefoniczną biegnącą boki szosy, była to linia łącząca z umocnieniami nad Narwią i Biebrzą, gdzie tego dnia stanął front. Najbliższa bomba spadła w odległości 8 metrów od nas. Całe szczęście, że zdążyliśmy się skryć za stare grube wierzby, którymi wysadzona była szosa. Zasypało nas tylko piaskiem i długo słyszeliśmy szum w uszach. Wskoczyłem na rower aby zawiadomić wojsko o zerwaniu linii telefonicznej. Po drodze spotkałem żołnierzy jadących w naszym kierunku. Po godzinie telefony były naprawione.

7 września - przez cały dzień grzmiały armaty pod Wizną. Kapitan Raginis z garstką żołnierzy broni zaciekle swej reduty. Siedmiuset żołnierzy pod jego komendą stawiało czoła korpusowi pancernemu niemieckiego generała Guderiana. Czterdziesto tysięczna armia niemiecka przez trzy dni nie zdołała posunąć się ani kroku naprzód. Bohaterski kpt. Raginis, dowódca odcinka frontu Wizna podczas nawały ognia niemieckiego nie otrzymał z nikąd ani pomocy ani rozkazów. W najbardziej krytycznym momencie ~~złożył ojczyźnie ślubowanie~~ kpt. Raginis i jego zastępca por. Brykałski d-ca dwóch baterii artylerii, które wspierały ~~zmagania~~ garstkę bohaterskich obrońców, złożyli ojczyźnie ślubowanie "że" powierzonej pozycji Wizna, żywi nie odejdą".

8 września - obrońcy odcinka Wizna przeżywali istne piekło. Podczas ciężkiego nalotu bombowców niemieckich, pierwszy swego ślubowania wiernie dotrzymał por. Brykałski, zginął od bomb, a wraz z nim rozbita została artyleria, która wspierała i dodawała otuchy żołnierzom siedzącym w okopach i schronach.

Poza w artylerią obrońcy Wizny posiadali 28 cekaemów, 18 erkaemów i kilkakaset karabinów. Z napisanej po wojnie książki przez niemieckiego generała Guderiana p.t. "Wspomnienia żołnierza" wynika iż " w pierwszych dniach września 1939 r. XIX korpus pancerny pod jego dowództwem przełamawszy obronę polskiego korytarza, przybył do Prus Wsch. Ponieważ dotychczasowe siły niemieckie nie potrafiły przełamać polskiej obrony nad Narwią, Hitler przerzuca im na pomoc korpus Guderiana. Dnia 9 września, odciały pancerne tego korpusu przełamały front na odcinku Wizna. Próba rozbicia polskiej obrony na odcinku Łomża we wstępnym boju natknęła się na mężną obronę Polaków, a także z powodu niedostatecznego doświadczenia bojowego niemieckich żołnierzy, XIX korpus utknął na północnym brzegu Narwi... Kilkaset czołgów, zmotoryzowanych dział i kilkadziesiąt tysięcy piechoty kilkakrotnie ruszało do natarcia. Guderian osobiście kieruje atakami na ten odcinek. Garstka obrońców z kpt. Władysławem Raginisem walczy do ostatka. Niemcy nacierają, trwa nawała artyleryjskiego ognia. Nęka lotnictwo. Polacy jeszcze się bronią.

9 września padają punkty oporu. W rejonie Wizny pozostają jeszcze dwa bunkry. Następnego dnia Guderian przypuszcza ostateczny szturm. Czołgi i działa strzelają na wprost do bunkrów. Zalewa je fala niemieckiego żołdactwa. Pozostaje już tylko jeden bunkier w którym kpt. Raginis z resztką załogi broni się. Już nie ma amunicji. Załoga nie ma czym strzelać. Niemcy wysadzają trotylem drzwi do bunkra. Bohaterski dowódca jest ranny w oczy, przykładą do piersi ostatni granat, wyszarpuje zawleczkę. Ślubowanie wobec ojczyzny dotrzymane. Kapitan Władysław Raginis

pochodził z Wileńszczyzny, był synem rolnika, miał jedną siostrę - lekarza medycyny. Po latach poznałem jego stryjecznego brata Zdzisława Staniawicza Raginisa, lekarza weterynarii, który mieszka i pracuje w Warszawie. Często odwiedzał grób swego brata pod Wizną. W Wiznie społeczeństwo po wojnie ufundowało swemu obrońcy ładny pomnik.

Po zdobyciu pozycji pod Wizną, zagony Guderiana wdzierają się głęboko w Ziemię Białostocką. Bronił się nadal odcinek Łomży i Nowogrodu.

A oto relacje naocznego świadka porucznika Henryka Szczepanowskiego, który walczył nad Narwią: " Mój 33 pułk piechoty w Łomży w którym służyłem w stopniu porucznika, dowodził nim pułkownik Lucjan Stanek, wiosną 1939 r. został wcielony do Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Narew". Rozpoczęliśmy budowę umocnień nad Narwią. Wyznaczono nam pozycje obronne na czterdziesto kilometrowym odcinku od Wizny po Nowogród. Część pozycji obsadziliśmy już w maju. Nasze przednie strażnice wysunęliśmy w rejon Kolna i Stawisk pod granice Prus Wsch. Przeprowadzona mobilizacja wzmocniła pułk do sześciu tysięcy ludzi. Broń naszą stanowiły tylko przestarzałe działa, cekaemy, erkaemy i karabiny. Mieliśmy za zadanie za wszelką cenę utrzymać wyznaczony nam odcinek. Tędy bowiem prowadziła droga nie tylko w głąb Białostoczczyzny, ale i do serca Polski Warszawy.

Dzień 1 września 1939 r. Fale niemieckich bombowców suną nad Łomżę i na reduty obronne nad Narwią. Na miasto sypie się grad bomb. Całe ulice legły w gruzach. Bombarduje się forty obronne koło Piątnicy i pozycje 33 pułku piechoty. Niemieckie natarcie zbliża się do polskich linii obronnych. Ciężka artyleria ostrzeliwuje miasta i kładzie ogień po umocnieniach i okopach. Pierwsze potyczki odbyły się na przedpolu, czyli w rejonie Kolna - Stawisk. Ogień artyleryjski i naloty trwały nieprzerwanie. Pozycje pod Łomżą - Piątnica, zaatakowali Niemcy chyba 4 września. Atak wyszedł od strony lasów Jeziorko. Uczestniczyły w nim czołgi wsparte artylerią i piechotą. Biliśmy do nich z fortów. Atak załamał się. Niemcy pozostawili wielu zabitych i rannych oraz kilka rozbitych czołgów. W tym samym dniu Niemcy przeprowadzili silne natarcie w rejonie Wizny, Nowogrodu i Szabiaka. I tam nieprzyjaciel poniósł ciężkie straty i został odrzucony.

Szczególne dotkliwie odczuwaliśmy brak dział przeciwpancernych oraz dobrej łączności. Sparaliżowano ją nam w pierwszym dniu walk. Grupy niemieckich dywersantów przecinały kable tak, że nie sposób było utrzymać stałą łączność. Niemiecka dywersja i szpiegostwo przybrały wręcz masowy charakter. Dowódcą obrony Szabiaka był porucznik Edward Tarczałowicz - mówi Henryk Szczepanowski - Rejon ten był słabo umocniony. Niemcy pr wa-

dzili tam jedno natarcie za drugim. Ale reduta walczyła. Tarczałowicz pod ogniem nieprzyjaciela, chodził przed pierwszą linią i zagrzewał żołnierzy do walki. Dochodziło tam do walki wręcz. Ogniem cekaemów i bagneta mi spychano Niemców za Narew. 10 września Niemcy uderzyli zmasowanym ogniem artylerii i lotnictwa. Siedemnaście niemieckich samolotów z niskiego lotu bombami i bronią pokładową dosłownie zmiotło wieś Szablak z powierzchni ziemi. Porucznik Tarczałowicz w bezsilnej wściekłości wyskoczył ze schronu z erkaemem i walił seriami do samolotów. Bomba rozniosła go na strzępy. Piechota niemiecka na amfibiach, wsparta czołgami, po pięciu nieudanych atakach sforsowała rzekę. Garstka naszych obrońców poszła do walki wręcz. Cóż bagneta mógł zrobić przeciwko pancernej nawałę? Zginęło wielu. Niemcy opanowali redutę pod Szablakiem. Łomża i Nowogród broniły się dalej."

Niemcy 10 września skoncentrowali swoje natarcie na Nowogród. Czołgi i artyleria podeszły blisko rzeki i rozpoczął się szturm. Po kilkanaście dział waliło w jedno miejsce. Poległ dowódca tego odcinka major Sikora. Pomimo piekielnego ognia, piechota polska trwała wytrwale. Nie bacząc na olbrzymie straty Niemcy zajęli lewy brzeg Narwi i Nowogród. Broniło się tylko kilka bunkrów.

W bunkrze przy tak zwanym górnym moście bronił się z trzydziesto osobową załogą porucznik Mieczysław Jarzyna. Był to jeden z głównych punktów oporu pod Nowogrodem. Niemcy osaczyli go ze wszystkich stron. Zginęła część załogi, reszta ogniem powstrzymała Niemców przed wdarciem się do bunkrów. Niestety kończyła się już amunicja. Niemcy wysadzili drzwi pancerne i sunęli do środka. Porucznik Jarzyna wraz z kilkoma rannymi żołnierzami rzuca się na Niemców z bagnetami. Walka jest zaciekle, krótka, ostatnia. Zginęli wszyscy w obronie ojczyzny.

" Padła wizna i Nowogród - kończy Szczepanowski, a my na pozycjach pod Łomżą trwaliśmy. Guderian nie mógł zdobyć tego odcinka, chociaż zaciekle ataki następowały jeden za drugim. Jego czołgi docierały do Puszczy Białowieskiej, a reduta pod Łomżą broniła się. Dopiero wzięcie Nowogrodu zagroziło nam okrążeniem. Dostaliśmy rozkaz odwrotu. Z żalem i goryczą opuszczaliśmy naszą redutę, której wróg tyle dni nie mógł zdobyć. 11 września droga do Łomży stała przed Niemcami otworem. Pułk nasz poniósł olbrzymie straty. Zginęło kilkudziesięciu oficerów i 60% stanu pułku. To dużo ! Ale Niemcy, nacierając tak zaciekle na nasze pozycje, stracili napewno dziesięciokrotnie więcej. Gdyby nie ich przewaga techniczna... Rozbitki naszego pułku brały jeszcze udział w walkach w Czerwonym Borze. Znowu wielu poległo. Tam był kres naszej działalności bojowej. Stamtąd droga prowadziła już tylko do niewoli."

Po nalocie 8 września i bombardowaniu szosy przebiega-

34
jącej obok Kapicy, podczas którego o mały włos nie oberwaliśmy obaj z Wackiem Górskim, przy pełnieniu warty. Wróciłem do domu nieco podniecony, uważałem się prawie za żołnierza ostrzelanego, obok którego rwały się bomby i włos z głowy mu nie spadł.

W domu panowało przygnębienie, ojciec zaczynał wróżyć złe wieści. Zwracał uwagę na bezkarnie buszowanie lotnictwa niemieckiego, podczas gdy naszych samolotów nie było widać. Matka zapatrywała się bardziej optymistycznie, mówiła, że przecież nie jesteśmy w tej wojnie osamotnieni. Mamy Anglię i Francję, która dopomoże nam zwyciężyć. Mamy gwarancje tych mocarstw, które już wypowiedziały wojnę Niemcom. Napewno armia francuska rozpoczęła już ofensywę na Zachodzie. Lada dzień spodziewaliśmy się przyjscia z pomocą lotnictwa francuskiego i angielskiego, które szybko wymiotą niemiecką luftwaffe z polskiego nieba.

W sobotę - 9 września od strony Wizny ucichła kanonada. Po obiedzie ujrzelismy mały oddziałek polski wycofujący się spod wsi Kołodziejce. Żołnierze byli przemęczeni, dosłownie czarni od dymu z zaczerwienionymi oczami, co drugi był ranny. Od nich dowiedzieliśmy się że front pod Wizną dogorywa. Lada moment droga na Białystok stanie dla najeźdźcy otworem. Ta okropna wiadomość spadła na nas jak grom z czystego nieba. Wierzyliśmy w naszą siłę i liczyliśmy na pomoc sprzymierzeńców. Nasza propaganda przekonywała nas, że czołgi niemieckie nie są w stanie nam zagrozić, mieliśmy świetną broń przeciwpancerną. Mówiono, że mamy najlepsze działka przeciwpancerne na świecie.

Teraz zapanowała panika. Sąsiedzi pakowali się na wozy i uciekali w stronę Białegostoku. Towarzyszyły temu krzyki, płacz i nawoływania. Mój ojciec nie pozwolił nam nigdzie się ruszać. Mówił, że jeżeli mamy zginąć, niech spotka to nas w domu. Tłumaczył, że drogi są zatłoczone, samoloty hulają bezkarnie strzelając z karabinów maszynowych nawet do pasterzy. Masy zbiegów uniemożliwiają poruszanie się wojska. Argumenty ojca trafiły mi do przekonania, zostałem w domu, choć niektórzy koledzy usilnie namawiali abym uciekał wraz z nimi na Wschód.

Noc minęła spokojnie. Na drugi dzień rano wypędziłem krowy na pastwisko niedaleko szosy, koło lasu olszynowego, nazywanego przez nas Chrapami. Około godziny ósmej usłyszałem szum silników i szczęk gaśienic, za chwilę posypały się serie z maszynowych karabinów po lesie olszynowym. Początkowo leżałem na trawie, ukryty między pniami drzew, lecz ciekawość zwyciężyła, gdy tylko ucichły serie. Podniosłem się i zobaczyłem dwa czołgi z krzyżami. Ruszyły powoli z miejsca, przejechały przez most na rzece Slinie, skręciły, przejechały przez Kapice i dalej pojednały w stronę Kobyłina. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że owe dwa czołgi zostały rozbite na Sokołami przez grupę polskich żołnierzy. Wszyscy żyliśmy

Jeszcze nadzieją, że to tylko chwilowe niepowodzenie, które minie. Ciągłe słuchaliśmy w radio komunikatów z frontu, które nic pocieszającego nie przynosiły. Radio mieliśmy kryształkowe na słuchawki. Komunikaty były dla nas nie zrozumiałe, słyszeliśmy ciągle " halo, halo nadchodzi". Nadal wyglądaliśmy pomocy sojuszniczych armii. W nocy zauważyliśmy przesuwające się szosą niezidentyfikowane pojazdy bez świateł. Ktoś przyniósł wiadomość, że są to wojska francuskie, które przysły z pomocą pod Wizną. Nie umieliśmy tylko dać odpowiedzi na pytanie, dlaczego posuwają się w kierunku Białegostoku.

Północna granica Polski na odcinku od granicy litewskiej na północ do miejscowości Chorzele na zachodzie, tj w ponad dwustu kilometrowym pasie od Prus Wsch.- broniła była przez Samodzielną Grupę Operacyjną "Narew". W marcu 1939 r. marszałek Rydz - Śmigły powołał na dowódcę tej grupy dotychczasowego dowódcę 18 dywizji piechoty, generała bryg. Czesława Młota - Fijałkowskiego. W skład SGO "Narew" wchodziły dwie dywizje piechoty osiemnasta i trzydziesta trzecia, dwie brygady kawalerii - podlaska i suwalska, jednostki pozadywizyjne oraz lotnictwo w sile trzech eskadr - rozpoznawczej, myśliwskiej i obserwacyjnej. Jak się później okazało przeznaczone siły do obrony tak długiego pasa granicy przekraczały zdecydowanie możliwości SGO "Narew". Mimo, że teren stwarzał korzystne warunki do obrony. Zgodnie z obowiązującymi wówczas regulaminami walki, dywizja piechoty miała bronić odcinka o szerokości 8 - 10 km. Gdy weźmie się pod uwagę posiadane siły, to wystarczyły one w najlepszym wypadku na zabezpieczenie około czterdziestokilometrowego odcinka frontu. Jak z powyższego wynika od pierwszej chwili gen. Młot Fijałkowski postawiony został w niezwykle trudnej sytuacji. Podzielił pas obrony na pięć odcinków: Augustów, Osowiec, Wizna, Łomża - Nowogród i Ostrołęka.

Odcinek Wizna został obsadzony najsłabiej przez dowódcę SGO "Narew". Jego doniosłe znaczenie strategiczne zeszło z pola uwagi odpowiedzialnych za niego wyższych dowódców, a spadło na barki dowódcy pozycji kpt. Raginisa i oddanej mu garstki żołnierzy w postaci zaledwie dwu kompanii ze słabym wsparciem artylerii przeciw ogromnej przewadze wroga. Ta nieuwaga, brak rozeznania na odcinku Wizna spowodowały ogromne klęski na całej długości obrony SGO "Narew". Korpus pancerny Guderiana wpakował się w głąb Białostoczczyzny i narobił straszliwego zamieszania na tyłach SGO "Narew".

Ranek 11 września był mglisty, śnił drobny kapusniaczek, na szosie poprzez mgłę widac było samochody i czołgi zmierzające w kierunku Jazowa Jezewa. Staliśmy małą grupką i ostrożnie wyglądaliśmy z za stodołę na szosę. W pewnym momencie kolumna zatrzymała się z samochodów wysiedli żołnierze w blyszczących gumowych praszcach i rozsiedli się w rowach. Gdy zauważyli nas, poczeli wołać "kom, kom". Ogarnął nas strach, ale poma-

mału szliśmy w stronę szosy z duszą na ramieniu. Szła ze mną Irena Gór-
ska jej brat Wacław Górski, Józef Michalski, Józef Nieciecki. Za chwilę
byliśmy przy nich, znaleźli tłumacza, który zaczął od pytań: czy i kiedy
przechodziło tędy wojsko polskie?, w jakiej sile?, w którym kierunku ode-
szły polskie oddziały?, kim my jesteśmy?, po ile mamy lat? i.t.d.
Częstują nas papierosami i czekoladą, przyjmujemy to ze strachem, bo os-
trzegano nas, że Niemcy zrzucają z samolotów zatrute smakołyki. W między-
czasie nadleciał samolot, który Niemcy złomowali, porozumieli się międz-
sobą, wsiedli do samochodów i odjechali machając nam rękami. Dopiero teraz
pękł mit o francuskim wojsku, które ~~mało~~ rzekomo miało przyjść z pomocą.
Wieczorem wieś pełna już była wojska niemieckiego. Każde podwórko zostało
zapchnane samochodami, wozami konnymi i piechotą. To był koniec naszych
marzeń o szybkim zwycięstwie. Każdy z nas chodził jak struty, kobiety pra-
kały po cichu, to co się stało, było dla nas ogromnym zaskoczeniem. Jesz-
cze tydzień temu ukamieniwanooby każdego, kto ośmieliłby się wywróżyć obec-
ną rzeczywistość. Czas płynął powoli nie przynosząc nic nowego. Nie docie-
rały do nas już żadne wiadomości. Okupanci natychmiast po przyjściu skon-
fiskowali wszystkie radiocdbiorniki, pozrywali anteny. Około 15 września
wieś była przepełniona Niemcami w porudnie zrobił się jakiś ruch. Ofice-
rowie wydawali rozkazy, wojsko stało w deuszeręgu na ulicy, dowódcy prze-
mawiali do żołnierzy. Następnie podjechały samochody na które ładowano
skrzynki z amunicją, cekaemy i inny sprzęt bojowy, załadowali się również
żołnierze i cała kolumna w pośpiechu ruszyła w kierunku Warszawy. Konne
wozy z częścią żołnierzy pozostaly. Na naszym podwórku był starszy Niemiec
w stopniu sierżanta, on nam powiedział, że samochody z piechotą odjechały
pod Warszawę, gdzie toczy się decydujący bój. Szkop nieźle mówił po polsku
dalej mówił, że Polacy zwariowali przyjmując gwarancje Anglii i Francji,
że winę ponosi Beck, który kierował polityką Polski i dopuścił do wojny
z Niemcami, naśmiewał się z Rydza - Śmigłego, który przed samą wojną
mówił, iż nie damy nawet guzika. Żałował Piłsudskiego, który gdyby żył
oddałby Niemcom Gdańsk i ten korytarz. Podczas tej dyskusji powiedziałem,
że nam mówiono, iż Berlin też dostaje porządne lanie od samolotów angiel-
skich i francuskich, a czołgi francuskie już przekroczyły Ren. Niemiec
wyśmiał mnie, a później pogroził abym tego rodzaju plotek nie słuchał.
Następnie oświadczył: "My ino daliśma już w d... Polsce, teraz damy Francji
a schwytany jeszcze i Anglie za gardło obacyta wy durnie". Skończył swoją
mowę i wyszedł na podwórko. Uklękliśmy całą rodziną przed obrazem Matki
Boskiej Częstochowskiej - Królowej Korony Polskiej i gorąco modliliśmy
się o zwycięstwo pod Warszawą. Następnego dnia znów napchnało się do wsi
nowego żołdactwa, które zaczęło robić, co im się tylko pocobało. Rabowali
kury, świnie i krowy, jedli, pili i bawili się nie żałując sobie niczego.

Od tej pory zacząłem ukrywać się. Siedziałem w lesie, pilnowałem krów i koni. Ojciec bał się, że Niemcy zabiorą cały inwentarz, gdyż niektórym rolnikom już zabrali. Niemcy zaczęli łapać młodych chłopców i wywozić na roboty do Niemiec. W tym dniu zrapali mego kolegę Wacława Górskiego i wywieźli na roboty pod Królewiec. Uciekł dopiero po roku. Doszły do nas przykre wiadomości z Rutek i Mężeniną, tam Niemcy zamordowali siedem osób. Jeździli czołgami po nic nie winnych cywilnych Polakach.

W ten sposób zaczynał "rycerski wermacht" swą okupację na Białostoczczyźnie. Oto inny przykład wybrany z setek innych zbrodni o których dowiedziałem się nieco później od naocznych świadków. Kiedy przełamano polską obronę pod Wizną, Łomżą i Nowogrodem, po ciężkim boju padł Zambrów i dostał się w ręce Niemców. Na dawny plac ćwiczeń spędzono dużo polskich jeńców oraz wielu cywili z Zambrowa i okolic. Wszystkich trzymano pod gołym niebem, na ziemi, bez żywności, bez opieki nad rannymi, pod lufami karabinów maszynowych. 13 września liczba jeńców spędzonych na plac dochodzi do trzech tysięcy. Wokół placu rozstawiono reflektory. Poza kordonem strażnicy ustawiono zdobyczne wozy z kołmi polskiego taboru. Z chwilą zapadnięcia zmroku wszyscy spędzeni dostali rozkaz ułożenia się na ziemi. Kto będzie próbował w nocy wstać ma być z miejsca zastrzelony. Około północy Niemcy wpędzili w tę masę ludzi parę koni zaprzęzonych do wozu, konie spłoszone z kwikiem poczęły tratować nieszczęśników. Żo nierze nasi aby uniknąć stratowania zaczęli wstawać i usuwać się na boki. Wtedy ogniem bluznęły cekaemy. Strzelano do bezbronnych jeńców parę minut. W ten sposób zamordowano około dwustu polskich żołnierzy, a więcej jak drugie tyle było rannych.

Okropnych doczekaliśmy się czasów, ale znów błysnął promyk nadziei. Dotarły do nas wiadomości, że Warszawa się broni, że skrwawione dywizje polskie cofają się do Puszczy Białowieskiej i dalej na wschodzie odtwarzany jest front, że czołgi niemieckie nie pojedą przez błota poleskie.

Około 17 września Niemcy opuścili naszą wieś i poczęli wycofywać się w kierunku zachodnim. Za Jezewem na szosie została zbombardowana niemiecka kolumna samochodowa przez polskie samoloty. Nad wieczór zobaczyliśmy dwóch cyklistów - żołnierzy polskich w pełnym rynsztunku bojowym jadących przez Kapice. Od nich dowiedzieliśmy się radosnej nowiny. Żołnierze powiedzieli nam, że Związek Radziecki idzie nam z pomocą, że Armia Czerwona już przekroczyła polsko - sowiecką granicę i pędzi Niemców. Po 20 września Niemcy faktycznie wycofali się z naszych stron. Ale ku wielkiemu naszemu zdziwieniu i przerażeniu do Kapic przyjechał z Tykocina trzech Żydów uzbrojonych w karabiny z czerwonymi opaskami na rękach.

wach. Na powitanie już nie mówili "dzień dobry" lecz "zdrastujcie". Kiedy przyjrzałem i m się z bliska, rozpoznałem jednego, był to Fiśka - szmaciarza syn. Ojciec jego często przyjeżdżał do Kapic, aby kupować szmaty. Podczas bojkotu Żydów przez Stronnictwo Narodowe nieraz przeganialiśmy go kamieniami z naszej wsi. Teraz gdy go zobaczyłem, jako władzę, zaczęła mnie strasznie ręka swędzieć. Miałem ochotę przyrznąć mu kamieniem. Mój brat Piotrek również uczestnik dawnych bojkotów podszeptował mi to samo, lecz ojciec w porę zorientował się w naszych zamiarach i zabronił nam. Żydziugi w rozmowie obiecywali, że teraz my Polacy przy nich jakoś będziemy żyć, natomiast narodowcom pokażą gdzie pieprz rośnie. Ten będzie żyć kto im się podporządkuje. Wychwałali rząd sowiecki i ustroj komunistyczny, który wraz z nimi oswobodzi Polaków od panów, kula-ków i wyzyskiwaczy.

Po paru dniach przyszli do naszej wsi na kwatery krasnoarmiejcy, Boże kochany! co to było za wojsko, brudne, obszarpane i cuchnące. Zaczęli opowiadać jak bili nasze wojsko, po ilu każdy z nich zabija i wzięli do niewoli. Zaraz po zakwaterowaniu we wsi zaczęli szukać tani /łaźni/ i od-wszalni, a ponieważ takowych nie znaleźli, dziwili się "kakoj eto nie-kulturnyj narod, te Polaki".

Wkrótce zjechały cywilne władze, zaczęto zakładać siel-sowiety /gminy/ wyznaczając prezydentów /sołtysów/ oraz organizować kooperatywy /sklepy/. Jednocześnie NKWD rozpoczęło aresztowania wśród Polaków, którzy przed wojną pracowali jako funkcjonariusze policji gra-natowej, wywiadu /dwójka/, oficerów i podoficerów zawodowych, nauczy-cieli, leśników, nadleśniczych. Najbardziej prześladowano służbę leśną, członków organizacji politycznych SN, a przeważnie wszystkich dowódców do zastępcy komendanta włącznie. Zorganizowano milicję, składającą się w pięćdziesięciu procentach z Żydów. Żydzi garneli się do nowej władzy masowo. Mówili, że Rosja Sowiecka to jest ich Mesjasz, który dopiero teraz im się narodził. Poza aresztowaniami zaczęły się wywózki całych ro-zdzin na Sybir. Z naszej wsi wywieziono: rodzinę Dominika Sikorskiego - żonę Henrykę Sikorską, dwie córki Krystynę i Wandę, ojca Jakuba i matkę Bronisławę. Dominik zdołał uciec za granicę do Warszawy.

Rodzinę Józefa Zalewskiego /w Kapicach było dwóch Józefów Zalewskich/ z Kapic Jasiowizny, wywieźli jego córkę Kunegundę i dwie siostry Alek-sandrę i Czesławę. Druga córka Fema Pogorzelska i jej mąż Józef Pogorzel-ski uciekli do Warszawy. Natomiast Józef Zalewski wcześniej został are-sztowany i osadzony w więzieniu skąd nigdy nie wrócił.

Józef Kapica z-ca komendanta SN na gminę Kobylin nie dał się aresztować uciekł dosłownie z rąk NKWD. Od chwili przyścia Sowietów ukrywał się u swojej siostry Leokadii Zajkowskiej, która mieszkała na kolonii wsi

Milewo Zabelne. Pewnego dnia wyszedł z ukrycia na podwórko i pomagał siostrze poić krowy, w tym czasie przejeżdżał drogą od Kobyłina, odległą o jakieś 250 metrów od zabudowań Zajkowskich - Jan Mucharski z Kapic Lipnik. Był to zwykły pijaczyna i awanturnik głośny z bijatyk i nożownictwa przed wojną. Za awantury kilka razy siedział w więzieniu, teraz jak się okazało był informatorem NKWD i milicji. Często widywano go pijanego w mundurze sowieckim z karabinem, jak jeździł wraz z NKWD i wskazywał kryjówki Polaków. Ten osobnik rozpoznał Józefa Kapicę i następnej nocy naprowadził całą zgrają NKWD na dom Zajkowskich, który został otoczony. Enkawudziści zastukali do drzwi które były zamknięte, wówczas Zajkowska zapytała kto tam?, a gdy usłyszała adkryj, poczęła powoli odsuwać rygiel, drzwi otwarły się. Kapica stał obok Zajkowskiej i wsunął się za otwarte drzwi, Zajkowska zasłoniła go sobą. Enkawudziści oświetlili ją latarkami poczym trzech z bronią wycelowaną weszło do kuchni, jeden z nich pozostał w drzwiach, a inni stali przy oknach. Kapica mocno pchnął stojącego w drzwiach enkawudzistę, który przewrócił się na schody i upadł w śnieg. Kapica przeskoczył go i wpadł w las przylegający do zabudowań. Tam stały konie enkawudzistów, ominął je i uciekł. Enkawudziści oddali kilkanaście niecelnych strzałów i zaniechali pościgu. Natomiast wywieźli na Sybir żonę Kapicy - Helenę i dwie córki Mieczysławę i Eugenię. Chcieli wywieźć rodzinę byłego wójta Wojciecha Sikorskiego, on sam miał się od początku na baczności i ukrywał się, natomiast dwaj synowie Jan i Józef z żoną pilnowali dość dużego gospodarstwa rolnego /76 móre/. Krytycznej nocy gdy przyjechało NKWD wywozić Kapicaków, zastali tę trójkę w domu. Podczas pakowania rzeczy na daleką drogę, żona Józefa Sikorskiego skorzystała z nieuwagi warty i uciekła oknem do sąsiada Łapińskiego, który szybko ją ukrył do stodoły w słome. Podczas rewizji nie udało się jej odnaleźć. Wraz z innymi rodzinami ~~wy~~ zabrano tylko Jana i Józefa Sikorskich. Po załadowaniu wszystkich do bydłych wagonów w Białymstoku, cały transport wyruszył na Wschód. W jednym z wagonów jechały rodziny z Kapic. Sikorski Jakub ojciec Dominika raz już był wywieziony do Rosji, podczas okupacji carskiej, człowiek starszy i doświadczony, żegnając raz na zawsze swoje rodzinne strony /więcej już nie wrócił, zmarł wraz z żoną Bronisławą na Syberii/, zabrał ze sobą piłę do drzewa, dwie siekiery, młotek, dłuto, wiadra, garnki, trochę gwoździ i łom. Wieziono tych biednych tułaczy w pozamykanych na kiódkki wagonach. Straże rozsiadły się w przednim i tylnym wagonie. Nocą za Białymstokiem, gdy zaczęły się lasy, Jan i Józef Sikorscy po zorientowaniu się iż Jakub Sikorski wiezie ze sobą odpowiednie narzędzia, przystąpili do przygotowania ucieczki. Wyrąbali kilka desek w wagonie i przez zrobiony w ten sposób otwór, pierwszy wyskoczył Józef za nim Jan. Józef okaleczył

twarz, a Jan tylko lekko się potłukł, obaj na drugi dzień przywędrowali do swojej siostry Jadwigi Brzozowskiej, która była za mężem w Kapicach. Ukrywali się wśród znajomych i krewnych przez cały okres okupacji sowieckiej. Jan Sikorski latem 1941 r. ukrywał się we wsi Łopianka u rodziny Łapińskich. Na parę dni przed wybuchem wojny sowiecko - niemieckiej NKWD otoczyło zabudowania. Jan akurat z właścicielem gospodarstwa Łapińskim pędził wódkę w piwnicy. Sowieci złapali Jana i zawieźli go do więzienia. Całe szczęście, że za kilka dni wybuchła wojna. Jan został ocalony z więzienia wrócił do Kapic.

Józef Sikorski, podczas ukrywania się mocno przeziębził się i zapadł na gruźlicę, po paru latach zmarł. Jan przeżył te okropne czasy. Trzeci brat Edward Sikorski, którego w tym krytycznym dniu w domu nie było, ukrywał się również przez cały czas i spotkał go ten sam los co i Józefa. Przeziębził się i po długim leczeniu zmarł w 1947 r. Oprócz wymienionych było jeszcze dwóch braci Paweł i Stanisław. Stanisław służył przed wojną w KCP i przedarł się do Anglii i tam walczył. Wojnę przeżył. Paweł od wybuchu wojny do końca okupacji sowieckiej przebywał w Warszawie.

Senior, Wojciech Sikorski i jego synowa żona Józefa, ukrywając się też przeżyli wojnę. Z wywiezionych na Sybir Kapicaków zmarli poza Bronisławą i Jakubem Sikorskimi, Czesława i Aleksandra Zalewskie oraz ich brat Józef Zalewski, który został aresztowany i nigdy nie powrócił. Pozostali zesłańcy powrócili do Kapic w 1946 r. Po wywiezieniu w rodzinne gospodarstwa tych ludzi zostały przejęte przez Sowietów, którzy zorganizowali sowchozy. Ziemię zaorano traktorami i prawie na całość zasiano słonecznik.

Takie były początki ponurej okupacji sowieckiej na Białostocczyźnie. Cała ludność polska została sterrotyzowana przez okupanta i miejscowych Żydów. Samozwańczy wyzwolicieli dawali się coraz bardziej we znaki. Znaleźli nawet kilku swoich popleczników w naszej wsi z których zrobili szpicli. Cała rodzina Mucharskich i Bagnowskich. Władysław Mucharski, prosty chłopski parobek, został mianowany sołtysem, jego brat Jan już pisałem funkcjonariuszem NKWD. Bagnowski przed wojną był człowiekiem spokojnym i na ogół szanowanym przez sąsiadów. Był właścicielem kilkunasto hektarowego gospodarstwa i spokojnie gospodarzył. Sowieci zrobili go sekretarzem gminnym. Po objęciu tego urzędu poprostu zwariował, stał się gorliwym wykonawcą poleceń swoich pracodawców. Uwierzył w wygłaszane mowy Sowietów, że Polska zginęła na zawsze. Zaczął odbierać bogatszym gospodarzom część ziemi i przydzielać wg swego uznania sobie i Mucharskim. Kazał wycinać lasy tych, których rozegnano i wywieziono na Sybir. Pewnego razu gdy troszkę sobie podchmielił z Rosjanami do zebranych sąsiadów powiedział, że "niedługo otrzyma taką władzę, iż drzewa będą mu się kłaniały". Ta wypowiedź rozśmieszyła zebranych i jednocześnie dała

dane o poziomie Bagnowskiego. Nawet obecny na tym zebraniu Rosjanin Saluś, który pełnił funkcję starosty, nazwał Bagnowskiego "durak".

Przymusowe zebrania odbywały się często, przyjeżdżali na nie politycy sowieccy, Żydzi i nierzadko jakiś sprzedawczyk pochodzenia polskiego. Siedzieliśmy niemo, z obrzydzeniem i z zaciśniętymi pięściami słuchaliśmy paszkwili i bredni. Temat wygłaszanych referatów politycznych był zawsze podobny. Najpierw mówiono o oswobodzeniu nas, potem o potędze radzieckiej i bardzo wychwalano sprzymierzeńców niemieckich. Mówcy zachłystywali się zwycięstwami odnoszonymi przez Hitlera. Obiecywali że niedługo zostanie oswobodzona Francja i Anglia, pokażą także Ameryce. Polska miała już nigdy nie podnieść się, przepadła na zawsze.

Zimą 1940 r. zaczęli powracać z niewoli rosyjskiej nasi żołnierze, zmobilizowani w sierpniu, tuż przed wybuchem wojny. Wrócił m.in. mój stryj Waław Grabowski, wzięty jako jeńiec 18 września koło Równego. Opowiadał o kampanii wrześniowej, o tym jak masy wojska polskiego odstępowały na wschód. Tam miały się przegrupować i dalej walczyć na śmierć i życie z najeźdźcą niemieckim.

Nieoczekiwanie powstał nowy front to 17 września Armia Czerwona zadała okrutny cios w plecy. Armia Polska próbowała walczyć na dwa fronty, ale rezultat tego był wiadomy.

Stryj po wzięciu jego formacji przez Sowietów do niewoli, został wywieziony do obozu pod Jaźne. Tam odbyła się segregacja. Oficerów odłączono i wywieziono do Katynia i Kozielska. Niektórym oficerom udało się w przebraniu za zwykłych żołnierzy pozostać wśród szeregowców. Stryj przywdrował do domu w czapce i mundurze porucznika, który otrzymał z takiego przebrania. Mówił, że kilkakrotnie był badany przez NKWD i przenoszony z obozu dla oficerów do obozu dla szeregowych i odwrotnie. Teraz szeregowych zwolniono do domu. Podczas powrotu ludność rosyjska wycodziła na stacje i żyliwie odnosiła się do polskich żołnierzy. Podawano chleb, jarzyny i owoce powracającym z niewoli, prosili o polskie monety na pamiątkę. W ukradkiem rzucanych zdaniach zdradzali, że zawsze spodziewali się oswobodzenia z rąk Polaków, że nikt z nich nie myślał, iż sytuacja wytworzy się odwrotna. Okupacja tej Rosji Sowieckiej, która jednostronnie zerwała traktat o nieagresji z Polską w najkrytyczniejszej chwili rzuciła się jak szakal od tyłu na straszliwie krwawiącą Armię Polską, zaczęła coraz bardziej dawać się we znaki Białostoczyczyźnie. Terror, jakiegob nikt nie znał, bieda i głód zwłaszcza w miastach coraz silniej dopiekały. Propaganda sowiecka obrzydła nam Polakom do reszty życia. Cała ówczesna prasa w języku rosyjskim atakowała gwałtownie Anglię i Francję jako państwa imperialistyczne i napaściwe. Cała działalność propagandowa oparta była na przyjaźni z Niemcami. Rosjanie przy każdej okazji podkreślali, że oni i Niemcy są obecnie prawdziwym

przyjaciółmi i razem pójdą przeciwko kapitalizmowi światowemu. Polska wysługiwała się Anglii i dlatego musiała zginąć i już jej nigdy nie będzie. Że polityka Związku Sowieckiego jest najmańdrzejsza, a Stalin jest geniuszem, że dzięki Stalinowi i jego mądrej polityce został zawarty traktat z Niemcami i przyjaźń między tymi narodami jest wieczysta. Tylko bolszewicy i Niemcy osiągną panowanie nad światem. Ówczesny komisarz Spraw Zagranicznych Rosji Sowieckiej Mołotow po dokonaniu rozbioru Polski wygłosił swą sławną mowę w dniu 31 października 1939 r. w której powiedział "uderzyliśmy 17 września 1939 r. w pokracznego bękartu Traktatu Wersalskiego po to, aby raz na zawsze skończyć z nim".

Wśród tej pozozi nieszczęść jakie spadły na naród polski w grudniu 1939 r. zaczęły napływać w moje strony nieco pocieszające wiadomości z zagranicy. Dowiedzieliśmy się, że we Francji został powołany nowy rząd polski z gen. Władysławem Sikorskim jako premierem na czele. Prezydentem został Władysław Raczkiewicz, były senator, który uchodził za polityka umiarkowanego. Zgodnie z zasadą koalicji na początku grudnia 1939 r. powołano w Paryżu Radę Narodową w skład której weszli przedstawiciele stronnictw politycznych. Jej prezesem został Ignacy Paderewski, a wiceprezesami Stanisław Mikołajczyk /ludowiec/ i Herman Liberman /PPS/, oraz Tadeusz Bielecki /narodowiec/. Jednocześnie gen. Sikorski został mianowany naczelnym wodzem nowo formowanego wojska polskiego. Jego słowa wypowiedziane na emigracji w pierwszym rozkazie dziennym do żołnierzy polskich, wydanym dnia 7 listopada 1939 r. "z wiarą idziemy w przyszłość i z tą świadomością, że jesteśmy główną nadzieją naszego nieszczęśliwego narodu, któremu ponieść mamy wyzwolenie", przyniosły nam nadzieję i otuchę na rychłe wyzwolenie. Wiadomości powyższe miały doniosłe dla nas znaczenie. Na nic się zdała obłudna propaganda sowiecka. Znow każdy z nas Polaków myślał tylko o Polsce i dniu gdy zostanie przywrócona jej wolność. Sowietci w dalszym ciągu wysilali się poprzez wmawianie nam, że to oni nas oswobodzili i tylko im mamy zawdzięczać "swobodu" i rzekomy dobrobyt jaki nas czeka. Ten "dobrobyt" wyglądał tak, iż w początkach okupacji wiśś dotkliwie odczuwała brak nafty, zapałek, tytoniu i soli. O cukrze i innych artykułach spożywczych trudno było nawet marzyć. Przy rzadkich okazjach pokazania się cukru w kooperatywach na terenie Białegostoku, powstawały kilometrowej długości kolejki. Nawykłych do palenia tytoniu, brak go zmuszał do zastępowania liśćmi z olchy lub podobnym surowcem. Dopiero grubo później zaczęły nadchodzić transporty z nachorką "grodziąfską" lub "karuszką" składającą się właściwie z smyczn odpadów tytoniowych. Ten niedostatek aprowizacji i ogólny głód w miastach, tłumaczyli nam nasi "wybawcy" brakiem taboru kolejowego, koniecznością przeróbek rozstawu osi. Szybko zrodził się szmugiel poprzez granicę na Bugu. Naszą wiśś dzieliło od

granicy 80 - 90 kilometrów. Przez pewien czas, dla wielu osób udawało się szczęśliwie pójść do Warszawy i wrócić z pełnym plecakiem cukru lub skóry na buty. Ale na wiosnę 1940 r. dużo osób przypłaciło przemyt własnym życiem. Inni zakończyli handlową karierę na Syberii. Wzecznie obstawiona granica uniemożliwiła dalszy handel z Warszawą.

Apro wizacja zaczęła powoli poprawiać się, pod koniec okupacji sowieckiej nie było już specjalnych trudności z podstawowymi artykułami. Ceny artykułów żywnościowych były przystępne, np. kilogram cukru kosztował 5 rubli, litr wódki 15 rubli, 20 szt. papierosów przeciętnie jednego rubla. Za metr żyta lub owsa płacono 70 - 80 rubli, za krowę średnio 800 - 1000 rubli. Polskie złotówki w początkach były zrównane z rublami, później wycofano z obiegu.

Duże majątki ziemskie przeszły pod zarządek kółchozów. Browary, fabryki, tartaki upaństwowiono. Zaczęły krążyć wieści o kolektywizacji rolnictwa oraz o uspołecznieniu rzemiosła i całego sektora prywatnego. W listopadzie 1939 r. zorganizowano referendum, podczas którego sowieckie władze kazały nam głosować za przyłączeniem Białostoczczyzny do Zachodniej Białorusi. Wynik brzmiał 99,9% głosujących opowiedziało się za przyłączeniem.

Przebieg referendum wyglądał następująco: przychodziło się do lokalu wyborczego, stawało się przed komisją wyborczą złożoną z kilku Łydów, Rosjan i paru polskich opryszków. Komisja sprawdzała zgodność nazwiska z listą, następnie wręczano głosującemu kartkę i kopertę, które natychmiast trzeba było wrzucić do urny. W wyniku powyższego referendum Rosja Sowiecka uznała nas Polaków zamieszkujących rdzenne ziemie polskie za obywateli sowieckich. Rada Najwyższa ZSRR 29 listopada 1939 r. wydała rozporządzenie w myśl którego wszyscy mieszkańcy podbitych i okupowanych terenów wschodniej Polski - n byli obywatelstwo sowieckie.

Dopiero później, 16 stycznia 1942 r. Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych ZSRR przesłał do ambasady polskiej w Londynie notę powiadamiającą, że rząd radziecki cofa swą decyzję. Jak z powyższego wynika wg prawodawstwa sowieckiego, przez przeszło rok byliśmy gwałtaniami sowieckimi. Wydano wszystkim Polakom na Białostoczczyźnie sowieckie dowody osobiste, wydrukowane w języku rosyjskim.

W parę miesięcy po referendum odbyły się wybory przedstawicieli do "sielsowietu", namiastki naszego przedwojennego sejmku. Kandydatem naszego rejonu był chłop bezrolny ze wsi Kropiwnica, gm. Kobylin. Chłop ciemny jak tabaka w rogu, nie umiejący nawet poprawnie mówić po polsku. Nauczono go na pamięć mowy, którą wygłaszał na zebraniach przedwyborczych, jeżdżąc od wsi do wsi. W tej mowie przedwyborczej wyszczególnił sukcesy Armii Czerwonej, chwalił czerwonego sztandaru i wielkość wodza Stalina nie omiesz-

kano dołączyć przypomnienia o nieuchronnym i ostatecznym końcu polskiej państwowości, o wielkiej przyjaźni Sowietów i Niemców, zrodzonej na tle wspólnych celów. Gdy podczas wygłaszania tej mowy w Kapicach przerwano mu ją przez zapytanie czy będzie nafta i cukier? chłop się zmieszał i nieborakod początku począł klepać swój wierszyk. Wybory odbyły się w podobny sposób jak i referendum. Narzucony kandydat został wybrany jednogłośnie. Po tych tak zwanych wyborach zaczęły krążyć kawały. Śmieliśmy się jak opowiadano, iż z Warszawy z uwagi na szczelnie zamkniętą granicę trudno było się przedostać przez kordony NKWD " w związku z tym wysłano psa, pies przedarł się przez granicę i po dwóch dniach wrócił na stronę niemiecką, po spotkaniu krowy i osła poinformował ich, że w Rosji jest jeszcze jest co, ale szczekać nie wolno. Krowa po porozumieniu się z osłem poszła za granicę, wróciła po tygodniu, potwierdziła wiadomości przyniesione przez psa, od siebie dodała, że ogromnie mocno doją. Teraz poszedł osioł, nie było go tydzień, dwa, pies i krowa były zaniepokojone czy osioł przypadkiem nie wpadł, po miesiącu nadeszła depesza od osła w której zawiadaniał, iż nie wróci, gdyż podczas wyborów do sielsowietu został wybrany posłem." Mówiono, że radio Londyn często nadaje w języku polskim do Polaków będących w niewoli sowieckiej: "halo, halo, uwaga, Polacy słuchajcie, śmieciuchy wymiatajcie, Polacy z wiosną Sikorek się spodziewajcie". Czekaliśmy ciągle na różne daty, jedni mówili, że na wiosnę, drudzy latem inni kazali czekać do jesieni na gen. Sikorskiego, który z wolna kroczył z armią do Polski.

Wiadomości z zagranicy były pocieszające. Wiedzieliśmy, że armia polska tworzona na obczyźnie przez gen. Sikorskiego rośnie w siłę. Zgłaszali się do niej ochotnicy z emigracji we Francji, Belgii, Holandii, Luksemburga z USA i Kanady, żołnierze internowani z Rumunii i Węgier oraz uciekinierzy z okupowanej Polski. Według najnowszych obliczeń dokonanych po wojnie stan liczebny Wojska Polskiego na Zachodzie wynosił wiosną 1940 r. 84461 żołnierzy w tym 7661 oficerów.

Dużo nadziei przyniósł nam wybuch wojny między małą Finlandią a Rosją Sowiecką. Rosjanom zmiały rury propagandowe. Ta rzekomo wszechpotężna Armia Czerwona przez kilka miesięcy nie mogła się uporać z Finlandią. Rosjanie tłumaczyli nam, że Finowie mają mocne i pomysłowe "ukreplenia", że bunkry obronne zbudowali nie tylko z grubego betonu, lecz na wierzch dali grubą warstwę gumy od której bomby i pociski odbijają się i eksplozja następuje w powietrzu. Dopiero później wpadli na pomysł, żeby bomby zaopatrywać w gwinty, dzięki którym mogły się wkręcać w gumę i kruszyć ją wraz z betonem. Pomimo wszystko wojna ta przyniosła im kompromitację. 13 marca 1940 r. szybko zawarli rozejm z Finlandią. Doszły do nas słuchy że Francja i Anglia szykowały się do udzielenia pomocy wojskowej Finlandii

41

w toczącej się wojnie fisco - sowieckiej w postaci wysłania korpusu ekspedycyjnego. W skład tego korpusu miała wejść nowo sformowana przez gen. Sikorskiego polska Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza. Jak się później okazało był to jednostka doborowa o wielkich walorach bojowych licząca wówczas 4778 żołnierzy. Wiedzieliśmy, że gen. Sikorski tworzy na zachodzie Polskie Siły Powietrzne. Już późną jesienią 1939 r. zorganizowane zostały cztery dywizjony polskiego lotnictwa.

Wiosną 1940 r. mówiono między Polakami na Białostocczyźnie "słoneczko wyżej Sikorski bliżej". Jednak ta wiosna i lato przyniosły nam znów nowość rozczarowanie i smutek. Niemcy hitlerowskie szły dalej naprzód. Zdobyły Danię, Norwegię, Holandję, Belgię, pobiły Francję. Klęska tych państw zwłaszcza Francji z którą związał swe losy gen. Sikorski, była dla nas okropnym ciosem. Teraz cała propaganda sowiecka skierowała swe ostrze ponownie w Anglię, której wróżono krótki żywot. Naśmiewano się z naszego rządu emigracyjnego, który umknął do Anglii.

Z klęski Francji ocalało 27 614 żołnierzy polskich. Wojsko polskie odtworzone we Francji z tak wielkim trudem i móżolem poniosło znów ogromne straty w obronie Francji. Na emigracji w Anglii jak się później dowiedziałem, wśród naszych polskich polityków powstały poważne nieporozumienia. Zrodziły się one na gruncie krytyki gen. Sikorskiego jako premiera i wodza naczelnego. Sikorskiemu zarzucano wiele, a najbardziej, że to on przyczynił się swoją polityką do roztrwonienia dorobku wojskowego we Francji oraz niedopilnowaniem spraw związanych z zapasami złota polskiego, które przewożone do Ameryki na statku francuskim zostało na polecenie marszałka Pétaina zdeponowane w forcie Bamako w Sudanie. Tam doczekało się desantu alianckiego w listopadzie 1942 r.

Najbardziej atakowano gen. Sikorskiego za to, że po klęsce Francji będąc na łasce Anglików, chcąc stworzyć ponownie silną armię polską zamierzał sięgnąć po rezerwy polskie znajdujące się w Rosji Sowieckiej. W tym celu 19 czerwca 1940 r. na polecenie gen. Sikorskiego ambasador Raczyński wręczył ministrowi spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii lordowi Halifaxowi memorandum w którym były zawarte propozycje zwrócenia się do Rosji z prośbą, aby na jej terytorium stworzyć 300 tys. armię polską. Największą burzę krytyki wywołał memoriał. Prym w tym wiedli odsunięci od władzy politycy przedwojenni i generałowie. Prezydent Raczkiewicz posunął się do udzielenia dymisji Sikorskiemu, a na jego miejsce powołał nowego premiera Augusta Zaleskiego dotychczasowego ministra spraw zagranicznych. Gen. Sikorski jednak zatrzymał naczelne dowództwo armii polskiej. Jednakże ten plan rozrabiacki naszych polityków nie powiódł się, gen. Sikorski miał grupę oddanych sobie starszych oficerów sztabowych, którzy z 18 na 19 lipca 1940 r. w nocy opanowali gmach w którym

urzędował premier z rządem. Zmusili Zaleskiego do zrzeczenia się premiershipu. Anglicy również dali do zrozumienia opozycji przez swoją wypowiedź, minister Halifax stwierdził: "zmiana prezydenta Polski posiadałaby dla nas znaczenie formalne, lecz zmiana gen. Sikorskiego oznaczałaby dla Wielkiej Brytanii zmianę kierunku polityki Rządu Polskiego w sensie dla nas niepożądanym".

Sikoraki ponownie objął stanowisko premiera. Memoriał złożony Halifaxowi wycofał. Kryzys został zażegnany. Niemity atak na niego został odparty. 5 sierpnia 1940 r. została podpisana umowa wojskowa polsko - brytyjska. 24 sierpnia rząd polski zatwierdził tezy programowe polityki zagranicznej.

Wydarzenia powyższe dawały powody do zadowolenia naszym wrogom. Sowietci i hitlerowcy poprzez swój wywiad byli informowani dokładnie o braku jedności wśród Polaków na emigracji. W naszych stronach narażenie wszyscy Polacy trzymali się w jedności. Ciągły strach przed aresztowaniami i przed wywózką na Sybir wszystkich jednoczył.

Latem 1940 r. spodziewaliśmy się dalszych zsyłek na Sybir. W tym celu zorganizowaliśmy specjalną wartę, która miała za zadanie czuwać w nocy. W razie zauważenia, że Sowietci otaczają wieś, należało ostrzec sąsiadów, którzy wg naszego rozeznania mogli już się znaleźć na liście sowieckiej. Robiliśmy to dyskretnie tak aby wsiowi szpicle nie zorientowali się, iż coś takiego istnieje. Rodziny, które liczyły się, iż mogą być wywiezione w domach swych nie spały. Chodzono na nocleg do sąsiadów, na których nie mógł paść cień żadnego podejrzenia ze strony Sowietów. Takie środki ostrożności stosowane były w Kaplicach do końca Okupacji sowieckiej.

Czas włókił się powoźni, sroga zima 1940 - 41 dawała się też we znaki. Mrozy przekraczały czterdzieści stopni C. Opału nie było, ludność po miastach marzła. Rosjanie pędzili rolników do różnych robót. Nakładali normy wg posiadanych hektarów. Tej zimy zapędzono wszystkich z gminy kobylińskiej do wyrębu i wywózki drzewa z lasów nadleśnictwa Katrynka, położonego za Białymstokiem. Jechały całe wsie, biorąc ze sobą żywność na tydzień, czasami na dłużej. Wyrzynaliśmy śliczne stare sosny i jodły, ładowaliśmy na sanie lub wozy i wywoziliśmy do bocznic kolejowej, tu ładowaliśmy na wagony i drzewo jechało do Rosji. Sowietci zawsze nam mówili, że u nich wsiewo mnogo /wszystkiego dużo/ i wszystko lepsze i większe od polskiego w rzeczywistości rabowali na każdym kroku nasze polskie mienie. Kiedyś po przyjeździe krasnoarmiejców do wsi, obstąpili oni paśnięką u sąsiada, chcieli miodu, gdy zapytałem jednego z nich czy u nich są pszczoły, odpowiedział, że mnogo /dużo/, zapytałem czy takie same jak nasze, wykrzyknął niet, nasze pszczoły balszozje /duze/ takie jak konie, zapytałem o ule, odpowiedział, wot takije same kak wasze, roześmiałem się i dalej zapytałem jak te konie siedzą w takich małych ulach, oburzony odpowiedział, że znajesz pszczycyt

43
siedzi /piszczy a siedzi/.

Wiosną 1941 r. cała nasza wieś znów wyjechała do lasu w Katryńce. Na trzeci dzień przyjechał goniec z gminy z zawiadomieniem, iż wszyscy mamy wracać do domu, te normy już są anulowane, mamy otrzymać coś nowego. Wracaliśmy całą ferajną, a że każdy nabrał w torbę jedzenia na tydzień więc kupiliśmy wódki, zakąska była to na odjazd zdrowo popiliśmy wraz z nami pili brakarze i inni nadzorcy Rosjanie. Po wypiciu rozluźniły się języki Rosjanom w przypiływie szczerości, poczęli przeklinać cały swój ustrój i życie swoje w nim. Okazało się, że oni też czekają zmian i wojny, która może ich wyzwoli z okrutnego jarzma w jaki ich naród zaprzęgnięto.

Po powrocie do domów zaraz na drugi dzień ólen /sołtys/ przyniósł memu ojcu nowe normy do odrobienia. Były to już norma związana z budową różnych obronnych obiektów wojskowych. Mieszkańcy dawnego powiatu Łomżyńskiego zostali spędzeni z wozami i narzędziami do budowy linii obronnej w okolicy wsi Prosiénica nad granicę, która tu przebiegała nad Bugiem. Sowieci pospiesznie wznosili bunkry żelbetowe. Nasz powiat Wysokie Mazowieckie spędzono pod Tykocin. Tu ze wsi Bierki wyłączone wszystkich rolników i na całym obszarze rozpoczęto budowę olbrzymiego lotniska wojskowego. Z Rosji przybyły setki specjalistów. Zgöniono różne karne kompanie i bataliony sowieckiego wojska. Przyjechały dziesiątki spychaczy, traktorów i samochodów ciężarowych, setki wozów rolników i pieszych z łopatami i kilofami rozpoczęły pracę.

Wozilem z ojcem i stryjem kamienie, żwir, ziemię przez kilka tygodni. Plantowano teren, lano beton na pasy startowe, budowano hangary i budynki gospodarcze. Rosjanie żartem mówili, że powstanie tu druga Warszawa. W między czasie sekretarz gminy Bagnowski przywiózł mi wezwanie na komisję do Łap. Bagnowski oświadczył, że spotkało mnie wyróżnienie, będąc zadowolony, guy komisja uzna mnie za zdolnego. Wsiadłem na rower i pojednąłem około 30 km do Łap. " Łapach zgłosiłem się na komisję lekarską, zostałem prześwietlony, zbadano mi wzrok i słuch. Rosjanie spisali moje personalia i oświadczyli, iż zostałem przyjęty na dwu letni kurs żelaznodaroznyj /kolejarski/ do Mińska Białoruskiego. Zawiadomią mnie o terminie wyjazdu. Z naszej gminy stawiło się kilku w moim wieku wybrańców. Zmartwiłem się okropnie bo czułem, że to tykonazwa kurs, a w rzeczywistości będzie ciężka praca na kolei gdzieś w Głębi Rosji. Ubiegłej zimy wzięli kilku moich starszych kolegów przymusowo do Armii Czerwonej. Z sąsiedniej wsi Milewo Leśne , dostał wezwanie Wojciech Milewski, były członek "Strzelca" w Jeżewie Nowym. Dzielny dobrze zbudowany chłop, wychowany patriotycznie, nienawidził Sowietów i w związku z tym nie chciał iść do obcej armii służyć. Przyjechało NKWD i wzięli go , przymusowo cncieli

wcielić. Wojtek odmówił złożenia sowieckiej przysięgi za co został wtrącony do więzienia. Drugim moim kolegą powołanym przymusowo był Antoni Targoński z Zawad, on też odmówił złożenia przysięgi. Zginął podobnie jak i Wojtek Milewski. Z Targoń wziętych było do wojska sowieckiego dwóch: Konrad Targoński i Teofil Pogorzelski. Ci złożyli przysięgę i później po wojnie wrócili. Konrad Targoński został przeniesiony do armii Berlinga i wrócił w stopniu porucznika.

W owym czasie ukrywanie się przed Sowietami było bardzo trudne w każdej wsi namnożyło się szpicli, którzy donosili ruskim o wszystkim. W Kapicach dokładnie wiedzieliśmy o nich, więc łatwiej było uniknąć ich wścibskich oczu. Coraz więcej było słychać o podziemnym ruchu zawiązującym się na Białostocczyźnie, wiedzieliśmy, że powstał Związek Walki Zbrojnej ZwZ i Narodowa Organizacja Wojskowa NOW. Nasz najbliższy sąsiad Wacław Ożarowski u którego często udawało mi się zauważyć ludzi będących w ukryciu, kiedyś pokazał mi rewolwki karabin polski, który przyniósł z wojny. Przy czym pocieszył mnie, że niedługo dostanę i ja coś takiego do ręki, że pójdę razem z nim w pierwszym rzędzie rozprawić się ze szpicłami sowieckimi. Powiódł, że są już przygotowane karne egzekutywy, które pewnej nocy oczyszczą z konfidentów okoliczne wsie.

Pewnego wieczoru Adolf Gąsowski zaprosił mnie do siebie. Powiedział mi, że dziś mamy być razem. Poszliśmy do Aleksandra Zdrojewskiego tam był brat Adolfa - Piotr Gąsowski oraz Wacław Ożarowski i Piotr Langiewicz, ten ostatni był biednym pracownikiem rolnym. Służył u bogatszych gospodarzy, ale był to uczciwy i dobry Polak. Sowietci próbowali podobnie jak i Mucharskiego dać i jemu jakąś funkcję sprzedawczyka, nigdy na coś takiego nie poszedł. Tego wieczoru był razem z nami. Tej nocy mieli przyjechać "misjonarze" tak nazywano karne egzekutywy z podziemnej organizacji i wykonać wyrok na Janie Mucharskim konfidentcie NKWD. Akcja nie udała się gdyż w sąsiedniej wsi Sikorach natknęli się na patrol sowiecki, doszło do strzelaniny, "misjonarze" wycofali się do lasu. NKWD wzmożło czujność, szpicle zostali ostrzeżeni i poczuli się mieć na baczności.

W dalszym ciągu dużo Polaków ukrywało się w okolicy i ci w pierwszym rzędzie wstępowali do podziemnych organizacji, które zaczęły likwidację konfidentów NKWD. Ze wsi Grodzkie ukrywało się trzech braci młodych i dzielnych Polaków o nazwisku Grodzcy, nazywano ich Rejciakami /przydomek szlachecki/. Ci ludzie należeli do ZwZ i byli członkami karnej egzekutywy w skład której wszedł z tej samej wsi Grodzkie, Tadeusz Gołaszewski pseudonim "Lis" oraz kilku innych dzielnych walczyzn z okolicznych wsi.

Józef Kapica nawiązał z powyższymi działaczami kontakt i przyłączył się do ich działalności konspiracyjnej, ale w dalszym ciągu ukrywał się w okolicy Kapic.

Po wpadce u swojej siostry, przeniósł swoją kwaterę na kolonię wsi Kapice Stare do Wincentego Kropiewnickiego. Tu udało mu się ukryć do końca okupacji sowieckiej. Jak się później okazało dowiedziałem na naszych terenach Komenda Główna ZWZ zorganizowała we wrześniu 1940 r. Obszar nr 2. Obejmujący okręgi: Białostocki, Nowogrodzki i Poleski. Granice tych okręgów odpowiadały dawnym granicom administracyjnym województw. Na komendanta Obszaru wyznaczono "Scibora" - pułkownika Józefa Spychałskiego. Szefem Oddziału drugiego został podpułkownik "Prawdzic"-Janusz Szlaski, Szefem Oddziału trzeciego podpułkownik "Mścisław"-Władysław Liniarski. Tych trzech dzielnych oficerów 26 października 1940 r. wyruszyło z Warszawy na Białostoczczyznę. Po wielu trudach i niebezpieczeństwach udało im się przekroczyć granicę i dotrzeć w nasze strony pod Zambrów. Tu nawiązali łączność z siatką ZWZ zorganizowaną przez komendanta Okręgu, której dowódcą na Okręg Białystok był wówczas "Nieczuja-Antoś" - Jerzy Iglewski. "Nieczuja - Antoś" zdążył do października 1940 r. zorganizować następujące obwody:

Obwód Łomża - komendant por. "Franciszek"

Obwód Wysokie Mazowieckie - komendant por. "Kusy"

Obwód Bielsk Podlaski - komendant por. "Hudy"

Obwód Białystok - powiat - komendant chor. "X"

Obwód Grajewo - komendant ś.p. plut. "Kmicic" /zabity przez Sowietów w potyczce/.

Oprócz ww zorganizowanych obwodów "Nieczuja - Antoś" organizował siatkę konspiracyjną w Białymstoku, Augustowie, i Suwałkach. Ze słów "Nieczuji" z którym po latach w 1954 r. siedziałem w jednej celi więziennej na Mokotowie w Warszawie, dowiedziałem się, że najlepiej miał zorganizowaną siatkę na placówce Tykocin w moich rodzinnych stronach.

Po przybyciu na Białostoczczyznę komendy Obszaru nr 2 po kilku tygodniach jej pracy konspiracyjnej nastąpiła wsypa, zostali aresztowani komendant Obszaru "Scibor" i komendant Okręgu "Nieczuja". Po utracie tych dwóch dzielnych organizatorów konspiracji na komendanta Obszaru mianowany został "Prawdzic", który zdołał utrzymać się do 21 lutego 1941 r. W tym dniu dopadło go NKWD w Grodnie. Na komendanta Okręgu Białystok mianowała Komenda Główna ZWZ "Mścisława". "Mścisław był wspaniałym organizatorem, odważnym dowódcą, nieugiętym patriotą - Polakiem. Pomimo ogromnej nagonki na niego ze strony NKWD, potrafił godnie kontynuować dzieło rozpoczęte przez swego poprzednika "Nieczuje". Przetrwiał okres okupacji sowieckiej na bardzo niebezpiecznym terenie. Samo

ukrywanie się w owym czasie na Białostocczyźnie było nie lada sztuką, a co dopiero kierowanie konspiracją i dalsze organizowanie jej. Setki konfidentów NKWD całymi dniami i nocami zastawiali sidła. Sowieci daliby każdą sumę za złapanie komendanta Okręgu.

"Mścisław" - Władysław Liniarski urodził się na Kielecczyźnie w rodzinie rzemieślniczej, ojciec jego był kowalem. W 1939 r. służył jako oficer zawodowy w stopniu kapitana w 62 pułku piechoty. Podczas kampanii wrześniowej dowodził batalionem, który wchodził w skład Armii "Pomorze". Uczestniczył w bitwie nad Bzurą w czasie której po raz pierwszy został ranny. Po bitwie podczas przedzierania się przez Puszcę Kampinowską w ciężkich walkach ponownie został ciężko ranny i przeniesiony do polskiego szpitala wojskowego, który Niemcy wzięli do niewoli i przewieźli rannych do Rawy Mazowieckiej. Po podleczeniu ran, dzięki polskiej pielęgniarce udało mu się uciec z niewoli. Po wyleczeniu ran na terenie Warszawy, ten wzorowy żołnierz wstępuje do ZWZ by walczyć dalej. Rozpoczyna nową epopeję na Ziemi Białostockiej, we wsiach, lasach i bagnach. Tu na tej Ziemi stał się głośnym jej obrońcą, legendarnym dowódcą ZWZ, a później Armii Krajowej.

W dniu 19 czerwca 1941 r., był to piątek, po kilku miesięcznym wysiłku wykonaliśmy z ojcem nałożoną na nas normę przy budowie lotniska pod Tykocinem. Dostaliśmy zaświadczenie i nieco pieniędzy. Władze sowieckie płaciły za tego rodzaju prace. Zarobiliśmy ponad 300 rubli. Wracaliśmy do domu zadowoleni, że haracz został odrobiony. Tego dnia miałem przygodę z sowieckim majorem. Przez cały czas chodziłem ubrany w polski wojskowy mundur. W owym czasie z materiałami ubraniowymi były trudności w nabyciu, większość mężczyzn ubierała się w mundury, które poprzynosili z wojny. Mnie oddał swój mundur stryj, a że był to mundur oficerski, więc wcale dobrze w nim wyglądałem. Zawsze starałem się przypinać do kołnierza czysty biały kołnierzyk, guziki czyściłem więc błyszcząły. Pagony były nienaruszone, często zakładałem pas. Tego właśnie dnia wiedziałem, że normę już ukończymy, więc ubrałem się w mundur i założyłem pas. Po otrzymaniu zarobionych pieniędzy udałem się do kooperatywy w Sierkach, aby kupić papierosów i wódki. W kooperatywie było pełno Sowieców i Polaków, gdy zrobiłem zakupy i już wychodziłem przyczepił się do mnie major, złapał mnie za ramię i zaczął wykrzykiwać "nada obrezat ete pagony". W jednej ręce trzymałem kilka paczek kupionych papierosów w drugiej miałem cały litr wódki, nie wiele myśląc zamierzyłem się litrem w majora, który wypuścił pagon i odskoczył, ja również dałem dylę do wozu, ojciec pognał batem konie. Major podbiegł kilka kroków i zatrzymał się grożąc pięścią i przeklnając po rosyjsku. W owym czasie Sowieci nie nosili przy mundurach pagonów.

Dystynkcje wojskowe były przypinane do kołnierza munduru lub rubaszki. Zastanawiałem się czego on chciał od pałonów polskiego munduru? Widocznie sam widok polskiego munduru wzniewał strach u naszych okupantów.

Z soboty na niedzielę 21 czerwca 1941 r. w nocy spałem na sianie w stodole. Nad ranem obudził mnie ojciec wiadomością, że się coś dzieje. Dziesiątki samolotów przelatywało nad naszą okolicą, narazie nie były przez nas zidentyfikowane, początkowo myśleliśmy, że to może są ćwiczenia. W ostatnich miesiącach często widzieliśmy różne ćwiczenia w powietrzu lotnictwa sowieckiego. Tym razem gdy się tylko zrobiło widno zobaczyliśmy samoloty z krzyżami, nie ulegało już wątpliwości, iż zaczęła się wojna. Około godziny ósmej Niemcy bombardowali nowo budujące się lotnisko pod Tykocinem, szosy: Warszawsko-Tykocką, Łomżyńską i Sokołowską. Samochody ciężarowe stały już porozbijane na szosach. Wybrałem się do kościoła w Zawadach. Na szosie minąłem kolumnę czołgów sowieckich jadących w kierunku granicy niemieckiej. Maszyny były maskowane gałęziami. Wśród przybyłych do kościoła wyczuwało się nastrój odprężenia i dużego zadowolenia.

Wszyscy byliśmy świadkami sceny jaka się odbyła nad samymi dachami miasteczka. Widzieliśmy paniczną ucieczkę dwóch samolotów rosyjskich przed parą niemieckich myśliwców. Widok ten wywołał ogólny śmiech i radość. "Wybawcy" którzy na wiegda mieli nami rządzić, uciekają już w pierwszych dniach wojny.

Zydostwo w Zawadach pospuszczało głowy ich "Mesjasz" pospiesznie pakował manele i zaczynał rejterować na Wschód. Rzadko pokazywali się publicznie. Spotkałem prezydenta - Mośka, syna młynarza z Zawad, którego Sowietci zrobili wójtem gminy. Trzeba przyznać, że był odważnym i niegłupim Żydem. Przez cały okres okupacji sowieckiej piastował to stanowisko i do Polaków odnosił się przyzwoicie. Początkowo było co prawda inaczej. Mośiek otrzymał anonimowe ostrzeżenie, a potem drugie, ale i on uwierzył, że to koniec polskiej państwowości, ostrzeżenia bagatelizował. Pewnego razu przyjechało do młyna dwóch nieznanych osobników, weszli do młyna i spytali o właściciela. Na nieszczęście zastali ojca, który podał się za właściciela, a zważniał już na tyle, że nie pozwolił się wylegitymować. Żyd arogancko odpowiedział na pytania, zaczął nawet grozić, wtedy jeden z "Misjonarzy" strzelił mu dwa razy w głowę i zabił na miejscu. Od tego czasu Żydzi w Zawadach spokojnieli. Mośiek zmienił się nie do poznania. Zdarzały się wypadki, że ostrzegał przed aresztowaniami, nikt z Zawad nie został wywieziony na Sybir. Mówiono, że jest to zasługa Mośka.

Tego dnia Mośiek był zdenerwowany i mówił, że jest "gorzej jak źle". Jego zdaniem zaczęło się coś bardzo niedobrego dzieć co może przynieść przykre skutki dla nas wszystkich. I rzeczywiście

gdy wracałem do domu spotkałem tę samą kolumnę czołgów wracającą w pośpiechu na wschód. Samoloty niemieckie coraz częściej krążyły po niebie i bombardowały obiekty wojskowe i szosy. Następnego dnia całe kolumny Armii Czerwonej uchodziły w popłochu na Białystok i dalej na wschód. Samoloty w dalszym ciągu zbierały krwawe żniwo.

We wtorek 23 czerwca 1941 r. wycofywała się dywizja piechoty sowieckiej od granicy, szosą warszawską w kierunku Białegostoku. Była godzina 8⁰⁰ rano, gdy lotnictwo niemieckie dopadło ją w naszej okolicy. Powstało ogromne zamieszanie i hałas, żołnierze sowieccy uciekali w lasy i zboża, rzucali karabiny, automaty i erkaemy. Takiej paniki nie widziałem nigdy. Prysnał mit i kłamstwa o potędze. W 1939 r. skrwawione oddziały polskie wycofywały się raczej planowo, stawiając zaciekle opór w każdym dogodnym miejscu na każdej rzece i lesie. W niektórych miejscowościach polska kompania zatrzymywała niemiecką dywizję. Bolszewicy mimo przygniatającej przewagi liczebnej uciekali, jak mogli. Na terenie całej Białostoczczyzny, a zwłaszcza powiatów: łomżyńskiego, wysokomazowieckiego, grajewskiego nie stawili zorganizowanego oporu. W rejonie Puszczy Białowieskiej i Grodna dali się zanuć w olbrzymi kocioł w którym Niemcy zlikwidowali prawie milionową armię sowiecką.

W naszych stronach Niemcy zorganizowali kilka obozów jeńców sowieckich. Koło Choroszczycy na czystym polu założono obóz składający się z kilku tysięcy jeńców. Duży obóz założono w Zambrowie w koszarach i na dawnym placu ćwiczeń 71 pułku piechoty, na tym samym placu, gdzie 13 września 1939 r. wermacht dokonał masakry polskich jeńców. Niemcy ogrodzili trzema rzędami drutów kolczastych duży obóz na który spędzono ponad trzydzieści tysięcy jeńców. W obozach stworzono jeńcom takie warunki bytu, ażeby uśmiercić ich tam jak najszybciej. W Zambrowie w pustych budynkach koszarowych nie było łódek, ani słomy do spania, nigdy nie palono w piecach. Tysiące jeńców, którym nie starczyło miejsca w przepelnionych po brzegi koszarach, bytowało dzień i noc na placu w norach, które wygrzebywali. Nie było tam żadnych urządzeń sanitarnych, wody i żadnej opieki lekarskiej. Jeńców żywno zgniłymi kartoflami, liśćmi z kapusty, czasami spleśniałym chlebem. Wydzielano to wszystko w minimalnych racjach. Niektórzy mówili, że pożywienie często zatrutowano, co powodowało krwawą dezynterię i zabijało tysiące jeńców. Obozy w Choroszczycy i w Zambrowie przez zimę 1941 / 1942 przestały istnieć. Z Zambrowa wywieźli Niemcy na wiosnę 1942 r. kilkuset jeńców w głąb Niemiec. Reszta spoczęła w dołach na starym cmentarzu, leży tam ponad 25 tysięcy jeńców. Z pewnych opisów po wojnie dowiedziałem się, koło Suwałk był duży obóz w którym zginęło około 50 tys. jeńców sowieckich w Tomkielach nad Bugiem około 30 tys. w samym Białymstoku na Nowym Mieście ponad 10 tys. W obozie Bożusze zmarło z głodu i chorób około 60 tys.

jeńców sowieckich. Obozy w Wincencie, Łysych, Augustowie i Hajnówce pochłonęły dziesiątki tysięcy jeńców, którzy dostali się do niewoli niemieckiej w pierwszych dniach wojny na Białostocczyźnie.

Wielu żołnierzy sowieckich w pierwszych dniach wojny dezercerowało, rzucało broń i podejmowało pracę u polskich rolników. W naszej wsi w taki właśnie sposób pozostało przy życiu kilku krasnoarmiejców. Później Niemcy wyłapywali ich i wywozili na roboty do Niemiec. Ten wielki pogrom Armii Czerwonej na samym początku wojny kazał przypuszczać, że koniec Rosji Sowieckiej jest bliski. Większość żołnierzy rosyjskich nie chciała się bić, oni czekali oswobodzenia. Hitler wierzył w błyskawiczne rozbitcie Rosji i z nikim się nie liczył. Popełnił tym wielki błąd. Terror wśród ludności białoruskiej i rosyjskiej, nieludzkie traktowanie jeńców w obozach dało do zrozumienia, że nie ma dla nich nadziei na życie w niewoli niemieckiej. Przekonali się że lepiej zginąć od kuli na froncie, niż powoli umierać z głodu w obozie. A przecież mieli tak małe wymagania, wystarczył chleb, litr zupy i czasami łyk gorzałki.

Po trzech dniach wojny nasze strony były już wolne od okupacji sowieckiej. Narazie panowało bezkrólewie, wojska niemieckie nie nacierały okolicznymi szosami. Sowietci rzucili wszystko co zgromadzili w tych stronach. Lotnisko pod Tykocinem stało zastawione samochodami, traktorami i różnego rodzaju sprzętem wojskowym i cywilnym. Ludność okolicznych wsi rzuciła się do rozbierania wszystkiego co się dało, rozkręcano samochody na części, traktory, rozbierano baraki itp. W pierwszym rzędzie zabrano różne towary ze sklepów i magazynów żywnościowych i odzieżowych. Dawny dwór Krzyżewo miał kilka dużych stodoł, w tych stodołach Sowietci urządzili magazyny amunicyjne, zgromadzili tam duże ilości różnego rodzaju amunicji, przeważnie artyleryjskiej, było dużo karabinowej i granatów zwykłych i przeciwczołgowych. Niektórzy mieszkańcy okolicznych wsi zanim Niemcy przejęli te magazyny zdążyli wywieźć kilka wozów amunicji i granatów, które w przyszłości przydały się.

Mnie udało się znaleźć w zbożu przy Warszawskiej szosie dwa karabiny sowieckie, kilkanaście granatów i kilkaset sztuk naboju do karabinów. Całą tę zdobycz pieczołowicie zakonserwowałem i ukryłem w stodole. Inni moi koledzy też nie próżnowali. Kolega Raman Kossakowski w ten sam sposób zdobył erkaem, pepeszę i karabin. Stanisław Chibowski też znalazł dwa karabiny, jeden bez zamka. Józef Truskolawski jeden karabin. Każdy swą zdobycz schował. W ten sposób broni w Kapicach przybyło. Byliśmy przekonani, że broń niedługo nam się przyda.

Przybyłych Niemców, przyjmowano na Białostocczyźnie raczej z sympatią, w wielu miejscowościach nawet witano. Okupacja rosyjska odcisnęła się krwawo. Tysiące rodzin wywiezionych na Sybir, więźniarnia przepełniona niewinnymi. W ostatniej chwili swego panowania, a właściwie już podczas ucieczki, dopuścili się bolszewicy masowych morderstw na więźniach jak np: we Lwowie i Mińsku Białoruskim. Niemcy wypuścili na wolność wszystkich więźniów w Łomży i Białymstoku. Ten gest ze strony nowych najeźdźców dawał powody do uważania ich za mniej-sze zło. Wielu Polaków w więzieniach sowieckich zginęło. Z naszej wsi Józef Zalewski przepadł bez wieści z sąsiedniej wsi Milewo Zabielne Dominik Łupiński nie wrócił /ten, który w 1920 r. razem z moim ojcem wypędził bolszewików z Zawad/. Żona jego z dwoma synami wywieziona była na Syberję. Mój kolega Wojciech Milewski ze wsi Milewo Leśne, ten który odmówił złożenia przysięgi, też zginął w łobach NKWD.

Wyszedł z ukrycia Józef Kapica, wrócił na swoje gospodarstwo, zrujnowane nic mu z inwentarza żywego nie pozostało. Sowieci zabrali wszystko po wywiezieniu żony i córek. Jego syn, najstarszy z dzieci Tadeusz Kapica gdy ojciec musiał uciekać z domu miał 13 lat. Podczas wywożenia na Sybir matki i dwóch sióstr uciekł Sowiecom z rąk i ukrywał się w Kapicach. Przed wybuchem wojny w kwietniu 1941 r., ukrywał się we wsi Kobylin Pogorzałki u krewnych. W Pogorzałkach mieszkał osobnik o nazwisku Władysław Pogorzelski, przezywany Poszewką, typ o bardzo nieciekawej przeszłości. Przed wojną, kradł sąsiadom drób, zdarzało się, że i do spichlerzy wkradał się. Policja kilka razy sadzała go do więzienia. Gdy przyszli Sowieci, stał się ich współpracownikiem i działaczem komunistycznym. On w kwietniu 1941 r. złapał ukrywającego się Tadeusza Kapicę i oddał w ręce milicji sowieckiej. Zawieziono Tadeusza do NKWD w łapach, przesłuchiwał tego chłopca oficer w stopniu majora. Pytania dotyczyły głównie ojca, gdzie się ukrywa?, kiedy ostatni raz widział się z ojcem? itd. Tadek rozplakał się, poczym zeznał, że bardzo bołą go ręce, które po złapaniu Pogorzelski związał mu sznurem. Pogorzelski "przestępcę" wiózł wraz z milicją do łap. Major natychmiast wezwał Pogorzelskiego, zwynęślał go od różnych swołoczy, skatin i wrednych sobak, po czym wyrzucił go za drzwi grożąc, że niech no tylko coś się stanie chłopcu z powodu tego wiązania, to dopiero pokaże mu. Dalej rozmawiał z Tadekiem bardzo łagodnie, proponował mu wstąpienie do szkoły lotniczej. Zapytał w końcu dlaczego uciekł i niechciał jechać do Rosji. Tadek w sposób dziecienny odpowiedział, że bał się tam jechać bo wszyscy mówią, że w Rosji straszna bieda. Po tej odpowiedzi majorowi zakręciły się łzy w oczach, na chwilę wyszedł do drugiego pokoju, gdy wrócił, pogłaskał Tadeka po głowie i znów powtórzył, aby się nie bał gdyż zostanie lotnikiem. Kazał

~~W~~ nakarmić i ułożyć go spać w pokoju zupełnie nie pilnowanym. Tadek w nocy gdy zorientował się, że go nikt nie pilnuje uciekł i nocą przywdrował do wai Ziomaki, skąd pochodziła jego matka. Narazie ukrył się u swoich dziadków Jabłońskich, a po paru dniach znów był w Kapicach. Tadek Kapica kilkakrotnie opowiadał do mnie i innych kolegów na okoliczność złapania go przez Pogorzelskiego oraz śledztwa prowadzonego przez majora NKWD w łapacę. Zawsze mówił tak samo nic nie dołożył i nic nie ujął. Z powyższego wynika, iż wśród NKWD byli funkcjonariusze i oficerowie mający ludzkie uczucia. Natomiast "Poszewka" - Pogorzelski okazał się szubrawcem wyzutym ze wszystkiego. Na okoliczność tej świni będę jeszcze dużo pisał w następnych rozdziałach

Wróciła rodzina Wojciecha Sikorskiego. Syn jego Jan, aresztowany przez NKWD, przed samą wojną szczęśliwie wyszedł z więzienia w Białymstoku. Sikorscy po powrocie zaraz przystąpili do rozbierania i przewożenia domu zbudowanego przez Władysława Mucharskiego. Mucharski zdążył wybudować okazały dom z sosen wyciętych w lesie Sikorskich.

Wrócił z Warszawy Dominik Sikorski, ten człowiek nikt nie zastał ze swojej najbliższej rodziny, puste ściany domu i budynki gospodarcze. Wrócił Józef Pogorzelski i jego żona Fema. Przez cały okres okupacji sowieckiej przebywał w Warszawie i należał do konspiracji w szeregach Stronnictwa Narodowego. SN na terenach okupowanych przez Niemców, działalność konspiracyjną rozpoczęło bardzo energicznie i wczesnie. 13 października 1939 r. w Warszawie odbyło się posiedzenie przebywających w stolicy członków Komitetu Głównego i Zarządu Głównego SN. Spośród członków Komitetu Głównego w posiedzeniu udział wzięli: Zygmunt Berezowski, Aleksander Dębski, Aleksander Demidowicz-Demidecki, Stanisław Jasiukiewicz, Władysław Jaworski, Bogusław Jeziorski, Stanisław Kozicki, Stefan Niebudek, Roman Rybarski, Mieczysław Trajdos, Bondan Wasiułyński, Jan Zauska i Józef Szmydt. W posiedzeniu nie wziął udziału prezes Stronnictwa Tadeusz Bielecki, który zmobilizowany w sierpniu 1939 r. znalazł się następnie we Francji. Zebrani postanowili przekazać uprawnienia Komitetu Głównego naczelnej instancji SN - uzupełnionemu Prezydium Zarządu Głównego w składzie: Mieczysław Trajdos - pełniący obowiązki prezesa ZG, Witold Staniszkis - wiceprezes, Bogusław Jeziorski - sekretarz, Zygmunt Berezowski, Władysław Jaworski i Roman Rybarski - członkowie.

Prezydium uznało, iż najważniejszym zadaniem Stronnictwa Narodowego jest przystąpienie do walki z okupantem poprzez szeroko zakrojoną konspirację w ramach której należy stworzyć organizację wojskową, której nadano nazwę Narodowa Organizacja Wojskowa /NOW/. Powzięto decyzję

o wydawaniu wspólnego pisma pod nazwą "Szaniec", które już zaczęło się ukazywać w listopadzie 1939 r. Uznano, iż ważnym zadaniem jest doprowadzenie do zjednoczenia całego obozu narodowego. W tym celu należało porozumieć się z dużym odłamek politycznym - Obozem Narodowo-Radykalnym /ONR/, który ukształtował się w dwóch grupach: ONR-ABC i ONR-Falanga. W początkach współpraca zaczęła się układać pomyślnie pomiędzy SN i ONR-ABC, później grupy te zaczęły tworzyć własne wojskowe organizacje. Nastąpił rozłam, ONR-ABC stworzył Narodowe Siły Zbrojne /NSZ/. Druga grupa ONR-Falanga, powołała Konfederację Narodu /na czele z Bolesławem Piaseckim/ oraz jej wojskowy odpowiednik Konfederację Zbrojną - Bataliony Kadrowe. Pomimo powyższych rozłamów z wiarygodnych dokumentów wynika, iż SN dzięki wysiłkowi działaczy centralnych oraz okręgowych najwcześniej ze wszystkich stronnictw politycznych przystąpiło do organizowania konspiracji i odbudowy siatki organizacyjnej stronnictwa na szczeblu centrali, okręgów i powiatów. Już jesienią 1939 r. działały zarządy: warszawski /stołeczny i wojewódzki/ w Krakowie, Lublinie, Łodzi i Poznaniu.

Najbardziej aktywnym zarządem był zarząd poznański, który już w październiku 1939 r. przystąpił do scalania całego szeregu lokalnych organizacji podziemnych, wywodzących się z obozu narodowego, takich jak: Organizacja Jedności Narodowej w Kaliszu, Obrona Narodu w Środzie, Dla Ciebie Polsko pow. Średzki, Czarny Legion w Gostyniu. Największa organizacja działająca w Poznańskim i na Pomorzu "Ojczyzna", która wkrótce ogarnęła cały obszar ziem zaanektowanych, tworząc różne komórki w Generalnej Guberni. Na czele tej organizacji stanęli znani działacze SN jak: ks. Józef Prądyński, Stanisław Tabaczyński, Witold Grott, Edward Piszcz Kiryż Władysław Sosnowski, Stanisław Smockiewicz, Czesław Kiełczewski i inni. Na przełomie lat 1939/1940 kierownictwo "Ojczyzny" przeprowadziło w Warszawie rozmowy z Prezydium Stronnictwa Narodowego w trakcie których ustalono zasady współpracy.

Na Pomorzu znany działacz SN por. rez. Józef Dambka - nauczyciel z pow. Kościerzyna, zorganizował organizację "Gryf Kaszubski", która działała na terenie powiatów kaszubskich.

Inny działacz SN ks. Jan Wrycza założył na Pomorzu pod koniec 1939 r. Organizację ^{Wojskowa} Młodzieży Kaszubskiej, która działała w pow. Chojnice i Kościerzyna. Obie organizacje połączyły się na przełomie lat 1939/1940, działając dalej pod nazwą "Gryf Kaszubski". Dowódcami tej organizacji pozostali ks. Jan Wrycza i Józef Dambka. 6 lipca 1941 r. Zarząd Główny SN scalił szeregi drobnych organizacji powstałych nie tylko na Kaszubach w jedną Tajną Organizację Wojskową "Gryf Pomorski".

W początkach 1940 r. SN przystąpiło do wydawania własnego organu pra-

sowego "Walka", który wydawany był do końca wojny.

Stronnictwo Narodowe, silna organizacja polityczna licząca przed wojną w 1939 r. około 250 tys. członków, skupiających w swoich szeregach najbardziej patriotycznych Polaków bez jakichkolwiek naleciałości obcych, stanęło do walki z okupantami w rozbiciu na trzy obozy wojskowe NOW, NSZ i KN. Pomimo usilnych starań SG, różne zadawnione ambicje, antypatie i kompleksy wzięły górę nad rozsądkiem. Później masowe aresztowania, przerzedzenie kadr nie pozwoliły zjednoczyć się w jedną całość.

Józef Pogorzelski powrócił z Warszawy do Kapic z nominacją na prezesa SN na powiat Wysokie Mazowieckie. Zamieszkał wraz z żoną Ferną i dwuletnim synem w gospodarstwie swego teścia Józefa Zaleskiego. Chcąc żyć, zajął się opuszczonym i zdewastowanym gospodarstwem rolnym. Dom Pogorzelskich stał się teraz przystanią i punktem kontaktowym Polaki Walczącej. Przyjeżdżali różni kurierzy i gońcy z Warszawy, Białegostoku i okolicznych wsi. Jedni pozorowali handlarzy i szmuglerów inni podradczyków w skupie skór, siana i inwentarza żywego.

Niemcy po zajęciu tych terenów dosyć opieszale brali się do administrowania. Administracja cywilna zorganizowana została dopiero pod koniec lata. Najpierw reaktywowano wszystkie gminy przedwojenne. Powołano wójtów i sołtysów pełniących swe obowiązki w 1939 r. Na szczeblu powiatów zastąpiono starostów Niemcami. Żandarmeria zajęła dawne posterunki policji i w tych samych miejscowościach. Funkcjonariusze żandarmerii byli pochodzenia niemieckiego. Po pewnym czasie zaczęto dokooptowywać polskich szulcmanów, ludzi o niezbyt zaszczytnej przeszłości. Ten werbunek, sprawiał Niemcom duże kłopoty, gorzej jeszcze rzecz się miała z konfidentami żandarmerii i gestapo. Do tej brudnej i zdradzieckiej roboty na wsi Niemcom nie udało się nikogo zwerbować. Konfidenti i lokaje sowieccy dostali nauczkę zaraz po ucieczce ich mowcodawców. Ręka sprawiedliwości dosięgła ich. Najgroźniejszy sługus z naszej wsi Jan Mucharski zdążył uciec zaraz po przyjsciu Niemców. Pewnej nocy przyszło po niego dwóch "misjonarzy" nie zastali go jednak w domu. Ojciec Jana nie oręutował się w ówczesnej szybko zmieniającej się sytuacji politycznej. Był prawie takim samym sprzedawczykiem jak i jego syn. Myślał dalej kategoriami z okresu okupacji sowieckiej, bezczynie i hardo stanął w obronie działalności syna - dostał dwie kule i padł trupem. Drugi jego syn Władysław, który za Sowietów pełnił funkcję "człona" wobec "misjonarzy" uderzył w skrucę więc otrzymał upomnienie w postaci lania. Dostało się też sekretarzowi gminy sowieckiej - Bagnowskiemu przed którym "drzewa miały się kłaniać". W innych wsiach było podobnie, kilku tych najgorliwszych, którzy przyczynili się do zagłady

Polaków, otrzymało wyroki śmierci, inni łanie. Była to akcja zorganizowana, znak szerokiej działalności ruchu powstańczego. Błady strach padł nie tylko na dawnych konfidentów sowieckich, ale była to przestroga i dla tych, którzy mieli ochotę współpracować z nowo przybyłym okupantem.

W sierpniu 1941 r. dotarły na Białostoczczyznę znów pocieszające wiadomości z zagranicy. 30 lipca 1941 r. została zawarta umowa polsko-sowiecka. Sowieci mając teraz nóż na gardle swoich niedawnych sprzymierzeńców - Niemców szukali zbliżenia z Zachodem, tym samym stali się układowiejsi i grzeczniejsi wobec Polski. Uznali rząd emigracyjny z gen. Sikorskim na czele. 14 sierpnia 1941 r. podpisali umowę wojskową na podstawie której miano tworzyć armię polską w ZSSR. Treść umowy cytuję:

"Armia polska będzie zorganizowana w najkrótszym czasie na terytorium ZSRR, przy czym będzie ona stanowiła część sił zbrojnych suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej... Będzie ona przeznaczona do wspólnej, z wojskami ZSRR i innych mocarstw sojusznicznych, walki przeciw Rzeszy Niemieckiej. Po zakończeniu wojny powróci do Polski... Polskie jednostki liniowe będą użyte na froncie po osiągnięciu pełnej gotowości bojowej... Żołnierze armii polskiej na terytorium ZSRR będą podlegali polskim wojskowym ustawom i regulaminom. Uzbrojenie, ekwipunek, umundurowanie, samochody itd będą dostarczone w miarę możliwości:

- a/ przez rząd ZSRR z własnych zasobów
- b/ przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej z dostaw przyznanych na zasadzie Lease and Leudu"...

W związku z powyższą umową rząd sowiecki 12 sierpnia 1941 r. wydał amnestię dla Polaków cierpiących w więzieniach i obozach 4 sierpnia 1941 r. wypuszczono z więzienia w Moskwie na Łubiance, gen. Władysława Andersa, którego gen. Sikorski mianował dowódcą tworzonej w ZSRR armii polskiej.

Były to wiadomości krzepiące serca Polaków. W Rosji Sowieckiej w czasie wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, były ogromne rzesze Polaków. Przy dobrych stosunkach politycznych, które nieźle zapoczątkowane zostały tego lata, można było stworzyć dużą armię polską. Gen. Anders rozpoczął organizowanie polskiej armii w trzech ośrodkach:

- Tatiszczewo - 5 dywizja gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza
- Tockoje za Wołgą - 6 dywizja gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza
- Buzułuk za Wołgą - kwatera dowództwa i sztabu.

Jednak tworzenie armii polskiej na terenach ZSRR od początku szło opornie, władze sowieckie ciągle uchylały się od realizacji uchwalonych

w umowie ustaleń. Celowo hamowały zwalnianie Polaków z więzień i obozów oraz przymusowo wcielonych do Armii Czerwonej, setki tysięcy Polaków gniło i umierało ciągle jeszcze w łagrach i więzieniach, nie było wiadomości o kilku tysiącach oficerów. W związku z powyższymi kłopotami w tworzeniu armii gen. Sikorski powziął decyzję podróży do Moskwy, gdzie przybył 2 grudnia 1941 r. Następnego dnia odbył dłuższą rozmowę ze Stalinem. 4 grudnia 1941 r. obaj premierzy podpisali Deklarację Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Rządu ZSRR.

Wizyta gen. Sikorskiego w Moskwie przyniosła znów pewną poprawę stosunków politycznych polsko-radzieckich. W owym momencie nastąpił przełom na froncie rosyjsko-niemieckim.

5-6 grudnia 1941 r. Armia Czerwona otrząsnęła się troszkę z klęsk i ruszyła pod Moskwą do przeciwnatańcia. W wyniku miesięcznych działań odparto Niemców od Moskwy o 100-250 km.

Zaczęło się stawać jasne, że niemiecka strategia wojny błyskawicznej bierze w łeb. Począł pryskać mit o niezwyciężoności armii niemieckiej.

Niemal w tym samym czasie gdy wehrmacht cofał się spod Moskwy, Japonia rozpoczęła działania wojenne przeciwko Stanom Zjednoczonym Ameryki. 7 grudnia 1941 r. o godz. 7⁵⁵ sto osiemdziesiąt trzy samoloty pierwszej linii startujące z lotniskowców zaatakowały amerykańską flotę na Pacyfiku w bazie Pearl Harbour na Hawajach. 8 grudnia Kongres Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zaakceptował stan wojny z Japonią. Tego samego dnia wojnę Japonii wypowiedziały: Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia, Kanada i Związek Południowej Afryki. Z kolei 11 grudnia wojnę Stanom Zjednoczonym wypowiedziały Niemcy i Włochy. Przystąpienia do wojny Ameryki z Japonią przyniosło ZSRR olbrzymią ulgę, Rosja mogła teraz przerzucić swoje dywizje stacjonujące na granicy z Japonią, na front pod Moskwę i tym samym powstrzymać napór Niemców oraz przystąpić do działań zaczepnych. Pożoga wojenna objęła większość ludzkości. Impet niemieckich uderzeń zmalał. Ucichły fanfary i werble, Niemcy dostawać zaczęły łupnia w Afryce północnej, gdzie bił się także żołnierz polski i Samodzielna Brygada Strzelców Karpaccich, uczestniczyła w walkach w okresie od października 1940 r. do marca 1942 r.

W latach 1941-1942 lotnictwo polskie dzielnie broniło nieba angielskiego. W roku 1941 w akcjach uczestniczyły myśliwce dywizjonów: 302, 303, 306, 307, /nócne myśliwce/, 308, 309 /rozpoznawcze/, 315, 316, 317, 318 oraz bombowce dywizjonów: 300, 301, 304 i 305.

Polskie myśliwce zestrzeliły 198 samolotów napewno, 52 prawdopodobnie, 57 uszkodziły. Lotnictwo bombowe wykonało 1357 lbtów i zrzuciło 1783

tony bomb na różne cele w Niemczech i okupowanej Europie. W 1942 r. myśliwce uzyskały 90 pewnych zestrzeleń, 36 prawdopodobnych i 43 uszkodzenia, wykonując 10390 lotów w czasie 15365 godzin. Lotnictwo bombowe wykonało 2450 lotów i zrzuciło 2764 tony bomb.

Okręty polskie w latach 1941- 1942 brały udział w eskortowaniu konwojów /wyróżnił się CRP "Garland" na trasie do Murmańska/, obronie wybrzeży brytyjskich, wypadach na bazy niemieckie i w wielu innych bitwach na morzach całego świata.

Żołnierz polski, lotnik i marynarz brał odwet za wrzesień 1939 r. na wszystkich frontach świata. Skończyła się osamotniona heroiczna walka na bagnety i szable, powróciło poczucie dawnej dumy narodowej wyrosłe na tle głębokiego przywiązania do wolności i ojczyzny.

To działo się daleko jeszcze od nas. Daleka była droga dla naszych bohaterów żołnierzy do Polski i Białostoczczyzny. Tu nowy okupant dopiero usadowił się i instalował swoją ponurą administrację, która krwawo zapisała się w naszej pamięci.

We wrześniu 1941 r. okupanci niemieccy rozpoczęli masowy wywóz na roboty do Niemiec. Przyszły imienne wykazy do Kapic. Sołtys naszej wsi Władysław Dabiński przyniósł z gminy długą listę nakazów, było tam i moje nazwisko. Miałem wówczas osiemnaście lat, byłem wysoki i dobrze zbudowany, zdrowie dopisywało mi. Komisja bez słowa zakwalifikowała mnie. Byłem wtedy żądny wrażeń i nie bardzo orjutowałem się co mnie czeka. Na płacz matki oraz smutek ojca i rodzeństwa odpowiadałem żartem i bagatelizowałem złe wieści o niewolniczej pracy w Niemczech. Z drugiej strony innego wyjścia nie było. Odmowa wyjazdu oznaczała konieczność ukrywania się, za co moja rodzina byłaby narażona na prześladowania, a w razie wpadki groził mi obóz lub więzienie.

W naszej wsi komisja zakwalifikowała do wyjazdu sześć osób, byli to: Władysław Dąbek, Jan Nieciecki, Walenty Masłowski, Henryk Nieciecki, Stanisław Chibowski i ja. Zabrano nas do gminy w Kobylinie, tam czekał cały transport z gminy ponad 100 osób. Załadowano nas do samochodów ciężarowych i zawieziono na stację kolejową w Kruszewie. Tam przesiedliśmy się do wagonów towarowych i wieczorem byliśmy już w Ostrołęce, gdzie czekał nas nocleg, kąźnia, dezynfekcja ubrania i całego mienia, po czym znów do pociągu, tym razem do osobowego, a wieczorem byliśmy już w Olsztynie. Tam rozdzielono nas między Niemców, którzy zgłosili się po robotników.

Naszą kapicką grupę skierowano do dużego gajątku In Kutzborn, p-ta Wattenburg. Było już ciemno, kiedy znaleźliśmy się na miejscu. Niemiec zaprowadził nas na strych dużego domu, gdzie spało już 56-ciu Polaków

zatrudnionych we dworze przy kopaniu ziemniaków. Zanim ochłonąłem z wrażenia, był już dzień i trzeba było szwachać do pracy. Dostaliśmy motyki i duży kosz na dwóch, w takim koszu mieściło się 50 kg kartofli. Za ukopanie dwóch koszy otruymywalismy kwitek. W sobotę dziedzic wypłacał za każdy kosz po 15 fenigów, nam połowę potrącano na życie. Dziennie dostawaliśmy pół kilograma chleba, rano nieco osłodzoną kawę, na obiad kartoflanekę. czasami grochówkę, na kolację znów kawę i pięć deka marmolady. oraz kostkę margaryny na czterech. Chodziliśmy stale głodni, racja chleba pochłaniałem rano, wieczorem piekliśmy po kryjomu kartofle lub gotowaliśmy zupę z jarzyn, których było pod dostatkiem w okolicznych ogrodach i na polu dziedzica. To jednak nie mogło zastąpić chleba, prosiłem Boga, abym mógł się jeszcze kiedyś najść chleba do syta.

Zadomowiliśmy się jednak po pewnym czasie i powoli zaczęliśmy kombinować. Prawie codziennie udawało się nam ukraść bańkę mleka odtłuszczonego przeznaczonego po pojenia cieląt, kawę piliśmy więc z mlekiem. Kilkakrotnie dostałem się do obory i wydoiłem krowę, było już trochę śmietany. Niedziele mieliśmy wolne, mogliśmy nawet chodzić do sąsiednich wsi, gdzie także we dworze kopały ziemniaki polskie dziewczęta pochodzące przeważnie z Augustowa. Zaprzyjaźniłem się z jedną z nich, osiemnastoletnią Marysią, bardzo tęskniła za domem. Jak mogłem, umilałem jej chwile w których byliśmy razem. Zaczęła tlić się iskierka młodzieńczej miłości, długo pamiętałem jej pocałunek. W początku naszej znajomości zwracaliśmy się do siebie per "pan", ona żartobliwie mówiła mi "panie ładny" i miała trochę racji, bo byłem niebrzydkiem chłopcem, a najbardziej imponowałem dziewczętom swoim wzrostem /188cm./

Po paru tygodniach pobytu przyzwyczailiśmy się do wielu rzeczy, choć praca pozostała ciężka. Właśnie wtedy zgąwiło się czternastu żandarmów i kilku cywili, zgonili nas z pola, ustawili w czwórki, a jeden z cywili ostrzegł nas łamaną polszczyzną: "kto będzie próbował uciekać, zostanie zastrzelony jak wściekły pies". Maszerowaliśmy w obstawie żandarmów z bronią gotową do strzału, niektórzy chłopcy powyciągali różańce, mnie wydało się, że idę na śmierć. Kiedy mijaliśmy las, czułem nieprzewartą ochotę do ucieczki, ale rozsądek powstrzymał mnie przed tym. Droga dłużyla się nieznośnie, w końcu zatrzymaliśmy się na dziedzińcu w pobliżu dużego spichrza. Przyszedł także szkop pilnujący nas przy pracy. Kiedyś hardo odpowiedziałem na jego grubiańską uwagę. Teraz na polecenie oficera zbliżył się i wyraźnie kogoś szukał wśród nas. Tknęło mnie złe przecucie i po chwili już łapa nadzorca wylądowała na moim koźnierzu, zdążyłem na dźwięk słów: "kom

kom hunt faflukter doner weter". Nie wiem nawet kiedy trzech grubych drabów wepchnęło mnie do spichrza. Zaczęło się bicie. Jeden bił prętem żelaznym, drugi leszczynowym kijem, trzeci bykowcem. Początkowo zasłaniałem się rękami, potem nie miałem już siły na obronę, tłukli nie wybierając miejsca, gdzie popadło. Pot ściekał im po grubych karkach i podbródkach. Podobno na początku krzyczałem, potem straciłem przytomność. Odzyskałem ją leżąc na bruku pod spichrzen, zlany krwią i zimną wodą, którą mnie cucili. Bili już następnego, a mnie kopniakami zmusili do podniesienia się. Katowali wszystkich po kolei, ale każdy następny dostawał nieco mniej, oprawcy byli mocno zmęczeni, chociaż zmieniali się co jakiś czas. W końcu jeden z nich wygłosił do nas mowę, wyszczególniając zakazy i karę: za uwiedzenie Nienki - stryczek, za ucieczkę z robót - obóz, za nieposłuszeństwo, spieszałość w pracy itd. - więzienie, obóz, kula w łeb. Następnie zaczęli nas przeganiać z jednego kofca dziedzińca w drugi, nie mogłem się ruszyć, zarobiłem więc dodatkowych kilka kopniaków. Kiedy zostawili nas wreszcie w spokoju, koledzy zaciągnęli mnie na nasz strych i tam bandażami z porwanych koszul w miarę możliwości opatrzyli mi rany. Miałem brew rozciętą do kości, wiele ran na głowie, nie liczyłem siniaków i pęknięć skóry na całym ciele. Tego samego dnia musieliśmy iść na pole do pracy. Wyznaczono nam normę: ukopać 800kg kartofli dziennie, kto tego nie zrobi, dostanie znów podobne lanie

Powoli rany goiły się. Nie spałem przez kilka pierwszych nocy, nie pozwalał mi ból całego ciała. Jeszcze przez parę tygodni plułem krwią po każdym mocniejszym kaszlnięciu. Dni wlokły się powoli, każdy tęsknie wyglądał niedzieli i odpoczynku. Nasze dziewczęta pracujące w sąsiednim dworze zostały podobnie potraktowane jak i my przez tych samych oprawców.

Kopanie zakończyliśmy w połowie listopada, dziedzic nasadził ich bardzo dużo, potrzebny był mu surowiec dla dwóch gorzelni, które pracowały pełną parą. Po wykopkach przesegregowano nas ponownie. W tym czasie przyjechał z frontu syn dziedzica, był lekko ranny. Był to młody poręcznik, wyższy nawet nieco ode mnie, smukły i przystojny, ubrany w elegancki mundur. Przyjeżdżał czasami na pole na pięknym koniu i z dubeltówką na plecach, lubił polować na jelenie, sarny i zające. Czasami dostaliśmy z takiego trofeum jakiś łeb lub zebra.

Majątek nie potrzebował już takiej ilości robotników, młody dziedzic wybrał piętnastu Polaków, między innymi i mnie. Powiedział po polsku: Lucjan, zostaniesz tu, będziesz dobry chłop do roboty". Ten komplement nie sprawił mi wielkiej przyjemności, pragnąłem odejść daleko od nieszczęsnego spichrza i szkopa, który wybrał mnie na pierwszego do tej istnej jatki, ale nikt nie pytał mnie o zdanie.

58

pocieszałem się jedynie myślą, że nie jest stąd daleko do domu, a kto wie gdzie by mnie przenieśli. Stale myślałem o ucieczce, starałem się poznać okolicę, żeby wykorzystać to przy pierwszej nadarzającej się okazji. Z domu nie miałem żadnych wiadomości, chociaż wysłałem kilka listów. Niemcy tłumaczyli, że tam jeszcze nie ma poczty, ale mówili to chyba celowo, nie zależało im na naszym kontakcie z domem.

Po odejściu większości do innych majątków warunki bytowe pozostałej grupy znacznie poprawiły się. Dostaliśmy inne lokum nie był to już strych, lecz prawdziwy dom mieszkalny z piętrowymi łózkami. Rozdzielono koce, poduszki, poprawiła się także kuchnia, zupy były smaczniejsze i bardziej treściwe. Za zarobione pieniądze można było kupić coś z ubrania, obuwia, papierosy i czasami butelkę piwa w miejscowym sklepie. Praca była trochę lżejsza, obsypywaliśmy ziemią i okrywaliśmy łątami kopce z ziemniakami, później młóciliśmy zboże.

W pierwszych dniach grudnia 1941 r. przyjechał Tadeusz Mikołajewski rodem z Zakroczymia koło Warszawy. Pracował jako robotnik na kolei w pobliżu Królewca. Wstąpił do nas z prośbą o nocleg, gdyż przybył w te strony do znajomej Polki, również wywiezionej na roboty. Mikołajewskiemu jako kolejarzowi wolno było poruszać się pociągami po terenie całych Prus Wschodnich. Kupował bilety za okazaniem specjalnego zaświadczenia wydanego przez Niemców. W nocy opowiedział nam dużo o swojej pracy, najbardziej zainteresowała mnie możliwość uzyskania urlopu. Nasz gość w zeszłym roku dostał tydzień urlopu w czasie świąt Bożego Narodzenia, pojechał do domu i po upływie wolnego czasu wrócił do pracy. Zapragnąłem dostać się tam i wypytywałem nowego kolegę o sposoby realizacji moich planów. Uradziliśmy, że wieczorem, po powrocie od znajomej, zabierze mnie ze sobą. Była to po prostu ucieczka. I tak się stało. Wrócił Mikołajewski, ja po cichu spakowałem swój tobołek i chyłkiem wymknęliśmy się. Koledzy wiedzieli, że uciekam, przy pożegnaniu popłakaliśmy życząc sobie nawzajem szczęścia. Oni pozostawali, ale z myślą, że wiosną pójdą w moje ślady. Najciężej było mi rozstawać się z przyjacielem Stanisławem Chibowskim z Kapic. Od małego dziecka bawiliśmy się i rośliśmy razem. Chciałem bardzo dzielić z nim dalsze niedole, ale cóż mogłem zrobić, Mikołajewski bał się zabierać ze sobą nas obu.

Przez pola i łąki doszliśmy do szosy, która prowadziła z dworu do miasteczka i stacji kolejowej Watenburg. Dotarliśmy do stacji około dziesiątej wieczorem. Mikołajewski mając czym się wyłigitymować, podszedł do kasy i kupił dwa bilety do miejscowości Tapiau. Pociągami osobowym dojechaliśmy bez przeszkód do Instenburga, gdzie musieliśmy czekać przez trzy godziny na połączenie. Na dworcu podeszło do nas dwóch żandarmów

i zażądali ausweisów, czyli dowodów osobistych. Mój towarzysz nieźle znał już niemiecki, więc wyjaśnił im, zgodnie z uprzednio uzgodnioną przez nas wersją, iż przyjechałem jako ochotnik z Polski w poszukiwaniu pracy, a on wiezie mnie do swego szefa. Zandarmi przyjęli takie tłumaczenie i zostawili nas w spokoju.

Już bez żadnych przeszkód przybyliśmy do Tapiau o 6-tej rano. Nie miałem żadnych dokumentów, umówiliśmy się, że zmienię nazwisko z uwagi na możliwość odnalezienia mnie przez Arbeitzant. Była to instytucja posiadająca personalia wszystkich obco krajowców przywiezionych do Niemiec na roboty. Poza tym postanowiłem dodać sobie kilka lat, ponieważ pracownikom powyżej 21 lat płacono więcej. Podałem się za Garbowackiego Lucjana urodzonego w 1920 r. Szef Mikołajewskiego wysłuchał z zadowoleniem moich kłamstw, poklepał mnie po ramieniu, kazał spisać personalia, przydzielić mi łóżko i pościel w postaci koca, prześcierała, siennika i poduszki wypchanej słomą. Zostałem przyjęty do Baucugu, grupy liczącej około 160 Polaków, zadaniem jej były różne roboty na torach oraz naprawy. W grupie ja jeden pochodziłem z Białostoczczyzny, wszyscy przyjechali tu z okolic Warszawy - Zakroczymia, Nowego Dworu, Modlina.

Baraki stały w odległości dwóch kilometrów za miastem, nad rzeką Pręgą, w pobliżu przebiegały tory. Tam właśnie następnego ranka zatrzymał się pociąg i zabrał nas pod miasteczko Lindnau, gdzie czekała mnie pierwsza praca. Tym razem było to "sztopowanie", czyli wbijanie kamieni pod podkłady. Była to czynność wymagająca nie tylko siły, ale i wprawy. Zanim nauczyłem się dobrze sztopować, namęczyłem się porządnie. Początkowo kamienie rozpryskiwały się pod kilofem. Żaden nie trafiał pod podkład. Koledzy tłumaczyli mi i pokazywali, powoli nabrałem wprawy, ale przez kilka dni na dłoniach tworzyły się bąble, pękały i ranki szczypały okropnie. Koszula stale mokra była od potu, chociaż grudniowy mróz solidnie szczypał w uszy. Po sztopowaniu nastąpiła zmiana szyn i podkładów, praca ciężka i mozolna, a wyżywienie mieliśmy gorsze niż we dworze. Ciągłe byłem głodny jak zbawienia oczekiwałem świąt i urlopu. Czułem się dość swobodnie, nie prowadzono żadnego śledztwa w związku z moją osobą.

Dwa dni przed wyęsknionymi świątami przyjechał Niemiec z Arbeitzant'u, zrobił przed barakiem zbiórkę całej grupy i uroczystie oznajmił nam, że w tym roku żadnego urlopu nie będzie. Nie należy się nam odpoczynek, skoro żołnierze walczą na froncie i także do domów nie wracają. Chyba nie trudno wyobrazić sobie naszą rozpacz, ze spuszczoneymi głowami wróciliśmy do baraków. Postanowiłem pisać listy do domu codziennie w nadziei, że któryś wreszcie dojdzie.

Determinacja ustąpiła miejsca wielkiej radości, gdy wkrótce po Nowym Roku 1942 otrzymałem naraz trzy listy i dwie ogromne paczki nadane z domu. Były "prawidłowo" zaadresowane na moje nowe nazwisko, rodzice zrozumieli moje delikatne tłumaczenie w listach. Paczki stanowiły prawdziwe bogactwo. Jedna z nich zawierała olbrzymi bochen wiejskiego chleba, dwa pęta kiełbasy, dwa kilogramy boczku, kawał słoniny i kilową puszkę miodu. W drugiej znalazłem taki sam bochen chleba, dwa kilogramy smalcu, kilogram masła, ciepłe skarpety i rękawice wełniane oraz watowane spodnie. Jadłem ile wlaźło i częstowałem kolegów. Oni także otrzymywali paczki z domu, ale nie takie jak moje, ich rodzice nie byli rolnikami i żyli z tego, co dostawali na kartki. Teraz głód przestał spędzać mi sen z powiek, z nowymi siłami rozpatrywałem plan ucieczki.

W międzyczasie kilku moich kolegów otrzymało telegramy zawiadamiające o chorobie ojca, matki lub żony i szef udzielał im kilkudniowego urlopu okolicznościowego, po upływie którego wracali do pracy. W lutym nasza grupa została rozparcelowana, połowa wyjechała pod Psków do Rosji, naprawiać tory, część powędrowała do Królewca, trzydziestu ze mną w tej liczbie, przeniesiona została do Wehlau, około czterdziestu kilometrów od Tapiau. W Wehlau zakwaterowano nas w murowanym budynku w obrębie stacji. Zima była sroga, więc mieliśmy pełne ręce roboty, wymienialiśmy szyny popękane na mrozie, omiataliśmy zawiane śniegiem zwrotnice, czyściliśmy wagony po rannych żołnierzach przywożonych z frontu.

Napisałem do domu z prośbą o depezę poświadczoną przez wójta i mówiącą o ciężkiej chorobie matki. Nie minął tydzień i dostałem to o co prosiłem. Przybiegłem z telegramem do majstra, który łagodnie obchodził się z nami. Był to Mazur o polskim nazwisku Ermański. Przyjął mnie życzliwie i z ubolewaniem, ale nie miał prawa sam decydować o zwolnieniu, wysłał mnie z pismem do powiatowego Arbeitzant'u w Wehlau. Tam przyjęto mnie też bez trudu i po zapoznaniu się z treścią depezy wypisano mi pozytywną odpowiedź. Po ostatecznym pozwoleniu musiałem zgłosić się do dyrektora kolei w Wehlau. Ten ostatni, typowy hitlerowiec z opaską na rękawie, przeczytał pisma, jakie dotąd zebrałem, pomyślał i oświadczył, że na Białostoczczyźnie panuje tyfus i z uwagi na to nie wyda mi zezwolenia na wyjazd. Na szczęście oddał mi depezę i pisma od majstra i z Arbeitzant'u. Kiedy wróciłem do baraku, byłem już zdecydowany. Znałem rozkłady jazdy pociągów i umiałem poruszać się nimi, nie byłem już tym zagubionym i przerażonym chłopcem w obcym i wrogim kraju.

Postanowiłem nie czekać na pozwolenie wyjazdu, inne wyjście było bar-

dzo ryzykowne, ale nie dbałem już o nic, ogarnięty gorączką ucieczki. Spakowałem mój małą walizeczkę, zabrałem dwie zainy bielizny, nowe półbuty wojskowe, wygrane w karty od kolegi oraz zaoszczędzone 100 marek. Resztę drobiazgów zamknąłem w szafce, a klucz oddałem Tadeuszowi Mikołajewskiemu, jedynemu koledze, którego zdecydowałem się wtajemniczyć w moje plany. Ufałem mu, to on pomógł mi uciec z dworu In Kutzborn.

Wieczorem 14-go marca około godz. 19³⁰ opuściliśmy razem barak. Kasjerka bez słowa sprzedała mi bilet do Królewca, po pół godzinie zająłem miejsce w pociągu. Pamiętałem adres: Keningsberg, Baumaister No 2 /Królewiec, Stacja Kolejowa nr 2/. Tam mogłem zastać kolegę z Tapiau, Zdzisława Machnackiego, rodem z Zakroczyńia. Jego brat oficer wojsk polskich, pracował jakiś czas razem z nami w Tapiau, ale mimo cywilnego ubrania i utrzymywania w tajemnicy szarży, Niemcy zaczęli coś podejrzewać, wtedy podjął ryzyko ucieczki i udało się.

Około godz. 22-giej byłem już u Zdziska, na wstępie zwierzyłem mu się z moich planów, a on przyrzekł mi pomoc w wykupieniu biletu do Białegostoku. Jeszcze tego wieczoru sprawdziliśmy godzinę odejścia pociągu. Najbliższy bezpośredni pociąg pospieszny miałem w niedzielę, czyli następnego dnia o godz. 16-tej. Zdzisiek załatwił mi łóżko w swoim baraku, spać poszliśmy po północy, ale i tak niewiele spałem tej nocy, wciąż rozmyślałem: gdzie wylądują jutro, w obozie, więzieniu czy w wycięsknionym domu. Rano Zdzisiek poszedł z moimi trzystoma markami do znajomego Niemca, także pracownika kolei z prośbą, aby ten wykupił bilet do Białegostoku. Nam, Polakom wolno było podróżować jedynie na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, na wykupienie biletu na tak daleką trasę trzeba było mieć specjalne pozwolenie. Nie minęła godzina, a mój przyjaciel przyniósł mi bilet z nadrukiem Keningsberg-Bialstock. Ucieszyłem się ogromnie, pierwsza przeszkoda została pokonana. Najbliższe niebezpieczeństwo teraz to kolejarz niemiecki i stojący obok niego żandarm, bacznie przyglądający się każdemu pasażerowi. Wpadliśmy na świetny pomysł: na 10 minut przed podstawieniem pociągu do Białegostoku odchodził pociąg do odległego o 40 km. Pleskau, bilet bez przeszkód otrzymałem w kasie. A zatem wszystko gotowe. Zdzisiek ścisnął mnie ze łzami w oczach i szepcze: "napisz, co się z tobą stało".

Bądź zdrow, kochany kolego wspólnej niedoli, trzymaj się, do zobaczenia w wolnej i niepodległej. Jestem bardzo zdenerwowany, serce bije jak szalone. Kieruję się do wyjścia na peron, żandarm wlepił już we mnie ślepią, ale kolejarz spokojnie oddał przecięty bilet, udało się i tym razem. Jak długo jeszcze szczęście będzie mi sprzyjało?

Tłok na peronie, wagony oddzielone dla wojskowych i cywili. Trafiłem do przedziału wojskowego, szybko zawróciłem, w sąsiednim wagonie usiadłem przy oknie, "P" zakryłem klapą kurtki i tu dopiero zacząłem ostrożnie odrywać naszywkę. Narazie nikt nie zwraca na mnie uwagi. Obok usiadła Niemka, lat około czterdziestu. Pociąg rusza. każdym nerwem rejestruję przyspieszenie. Niepokój z czasem maleje, staram się nie myśleć, co mnie czeka w razie wpadki, ale wciąż powracają wspomnienia o słuchach, jakie dochodziły o obozie w Działdowie, gdzie niejeden desperat mego pokroju stracił zdrowie lub życie. Po odbyciu kary wróciłbym do przymusowej pracy, mieliby mnie już na oku, a w razie następnej nieudanej próby ucieczki wykończyliby mnie w więzieniu. Nie było rady, musiałem trzymać się dewizy "kto ryzykuje w kozie nie siedzi". Po raz chyba setny roztrząsam szczegóły mojego planu. W Prostkach chcę wysiąść i przejść pieszo odcinek około 5 km do Grajewa. Muszę iść torami, bo śnieg grubą warstwą pokrywa pola. Wiem, że w Prostkach pociąg będzie stał ponad półtorej godziny, w tym czasie odbywa się kontrola graniczna. Powinienem zdążyć wsiaść do tego samego składu w Grajewie. Ale to dopiero w perspektywie, narazie nie odjechałem daleko od Królewca. Udaję drzenkę, ale nie na wiele mi się to zdało, bo w pewnej chwili siedząca obok Niemka odezwała się do mnie najczystsza polszczyzną. Mimo ogromnego zaskoczenia dość gładko odpowiadałem na pytania dotyczące celu mojej podróży. Nie wystarczyło jej to chciała zobaczyć czy mam pozwolenie na wyjazd. Pokazałem depeszę o złym stanie zdrowia matki, to mało, wyjąłem pismo Arbeitzantu i majstra. Po zapoznaniu się ze wszystkimi dokumentami orzekła, że nie wystarczy to do przekroczenia granicy i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zaczęła snuć plany bardzo podobne do moich z tym, że radziła mi wysiąść w Ełku i pieszo przejść do Grajewa. Było to jednak nierealne, jak miałem przejść 20km w takimróż, po głębokim śniegu i to w dodatku w czasie 1,5 godz? Zresztą jaką mam gwarancję, że nieznajoma radzi mi dobrze i nie zastawia żadnej pułapki? Na moje delikatne i ostrożne pytania odpowiada, że jedzie także do Białegostoku i jest Niemką. Pomimo zapewnień z jej strony, że nic złego mi nie zrobi, zaczynam się zastanawiać, czy nie zamierza oddać mnie w ręce żandarmów u celu podróży.

Nad ranem minęliśmy Ełk, zacząłem szykować się do wyjścia w Prostkach, nagle jednocześnie z obu stron wagonu weszli dwaj żandarmi i wezwali pasażerów do przygotowania dokumentów. Ogarnęło mnie przerażenie, oczyma wyobraźni zobaczyłem siebie w areszcie, czułem, że lanie też mnie nie minie. Żandarmi byli coraz bliżej mojego przedziału, pociąg akurat zatrzymał się w Prostkach, kiedy legitymowali moją sąsiadkę. Udałem, że śpię, ale musiałem w końcu zareagować na ich pod-

niesione głosy, wstałem i zacząłem wyciągać pseudodokumenty, zanim je jeszcze podałem, usłyszałem słowo "Polen". Zgodnie z moimi przypuszczeniami nie zadowolili się tymi papierkami, żądali pozwolenia na wyjazd. Tłumaczyłem, jak umialem, mieszaniną polskich i niemieckich słów, że byłem pewien, iż te dokumenty wystarczą, inni koledzy wyjeżdżali i wracali, mnie jest bardzo dobrze na kolei, dobrze zarabiam, zgłosiłem się do pracy sam, jako ochotnik. Wyprowadzili mnie z wagonu, zatrzymaliśmy się na peronie. Niemcy pytali, dlaczego na piśmie z Arbeitzantu nie ma dużej okrągłej pieczęci z orłem i swastyką, oznaczającej zezwolenie na wyjazd. Wyjąłem szybko zaświadczenie o pracy na kolei, były na nim taka pieczęć. Jeden z nich chwycił je, tłumaczył coś drugiemu, podczas, gdy ja od początku powtarzałem moje argumenty. Nieoczekiwanie oddali mi moje wszystkie papiery i kazali wracać do pociągu. Nie wiem, jak się w nim znalazłem. Siedziałem zdrowy i cały, po kontroli granicznej. Nie trafiłem do tego samego wagonu, którym jechałem dotychczas, potem doszedłem do przekonania, że dobrze się stało, nie miałem całkowitego zaufania do nieznajomej. Niech myśli, że wpadłem.

Upłynęły chyba całe wieki, zanim pociąg ruszył. Dopiero wtedy odczułem ogrom napięcia, w jakim trwałem. Ogarnął mnie bezwład, miałem możliwość pozbierać kolejne fakty z tej najdłuższej ze wszystkich dotychczasowych nocy. Wstawał dzień na polskiej, białostockiej ziemi. Poznawałem miejscowości, krajoobraz był coraz bardziej bliski sercu. Minęliśmy Starosielce, za chwilę pociąg zatrzymał się na znajomym dworcu. Poczekałem chwilę, aż rozluźniło się przy wejściu, przebiegłem przez stację i wkrótce znalazłem się na szosie Żółtkowskiej, prowadzącej wprost do domu.

Szedłem szybko, bo śnieg na drodze był utarty. Koło Wysokiego Stoczku minęły mnie sanie z kilkoma żandarmami, spojźeli na mnie, ale nie zatrzymali się. Nie czułem zmęczenia, nogi niosły mnie same, nie wiem kiedy doszedłem do Babina, odległego o 15 km od Białegostoku. Wstąpiłem do Bolesława Sikorskiego, mojego kuzyna. Witaliśmy się serdecznie, obaj płakaliśmy z radości. Nakarmiono mnie, odpocząłem, opatrzyłem obtartą nogę i choć trudno było opuścić pierwszy od wielu miesięcy gościnny dom, tęsknota gnała mnie do swoich. Wkrótce siedziałem wygodnie w saniach, ubrany w futro Sikorskiego, z nogami owiniętymi kocem. Jechaliśmy do Kaplic. Przed wsią, na drodze, wielu moich sąsiadów i znajomych pracowało przy usuwaniu śniegu. Wsiadłem z saniami, wszyscy rzucili robotę, powitaniami i uściskami nie było końca. Maszerowałem w ogromnej asyście wznoszącej radosne okrzyki, nie spodziewający się niczego rodzice i bracia wyszli przed dom, pomimo silnego mrozu, z zaciekawieniem dziwnym korowodem. Pierwsza poznała z daleka mnie mama,

krzyknęła głośno "Lutek, Lutek"!, wtedy wybuchła prawdziwa, niepohamowana radość. Uściski, pocałunki, pytania, dom pełen ludzi. Na stole szybko znalazła się wódka i dobre jedzenie. Po raz pierwszy paliłem papierosy całkiem oficjalnie, przedtem bałem się to robić, zwłaszcza przy mamie. Teraz już mi niczego nie broniła.

Zaszałem trzech z pracy w dworze In Kutzborn: Jana Niecieckiego, Walentego Masłowskiego i Władysława Dąbka. Oni po odejściu z dworu trafili do baorów blisko dawnej polskiej granicy i w grudniu udało się im uciec. Wrócili do domów i narazie nie byli poszukiwani przez Niemców. Reszta nie wróciła z Prus. Przyszli rodzice tych, którzy pozostali, pytali mnie o nich, niestety, nie byłem w stanie udzielić im żadnych pocieszających informacji.

W mojej wsi nie zmieniło się nic i nie zaszło nic godnego uwagi. Po naszym wyjeździe nie brano już nikogo do robót. Nasz sołtys przy każdej okazji tłumaczył Niemcom wyznaczającym kontyngent niewolników, że wieś wysłała już tylu a tylu do pracy w Prusach i narazie bronił jakos pozostałych. Niemcy wywozili nadal młodych, zdrowych chłopców, ale z innych wsi.

W Kopicach był względny spokój, okupanci rzadko tu zaglądali, ludność wywiązywała się z dostaw zboża, mięsa i pieniędzy. Chleba nie brakowało, choć Niemcy kazali pozamykać młyny, gospodarze zmontowali żarna, zaprzęgali konie w kieraty i sami męli mąkę. Zabroniony ubój bydła i świń odbywał się po cichu w nocy. Po kryjomu pędzono bimber z mąki żytniej, gdy zabrakło cukru. Odczuwało się jedynie brak soli, nafty, cukru, zapalek, papierosów i innych artykułów przemysłowych.

W międzyczasie do spółki ze Stanisławem Chibowskim, któremu również udało się uciec z Niemiec, kupiliśmy urządzenie do produkcji wódki. W Kopicach było już dwóch posiadaczy takowych bimbrowni Józef Zalewski i Wiktor Masłowski. Dzięki pomocy tego ostatniego, który wypożyczył nam swoje urządzenie i nauczył nas posługiwać się nimi. Przez kilka tygodni korzystania z nich zarobiliśmy potrzebne pieniądze na kupno własnych. Rodzice moi bali się tego przedsięwzięcia, do tego stopnia, że zabronili mi pojechania własnymi koniami po odbiór kupionej bimbrowni. Zmuszony byłem wykraść nad ranem konie i wóz, którym pojechaliśmy we dwóch do wsi Babino 16 km od Kopic. Niemcy zabraniali pędzenia wódki, a kogo złapali sadzali do obozów. Z naszej wsi za pędzenie wódki przebywał kilka miesięcy w obozie Mieczysław Nieciecki. Nam udało się szczęśliwie przewieźć nabyte urządzenie i schować w lesie. Za kilka dni urządziliśmy szałas w Chrapach, w miejscu błotnistym porośniętym gęstym lasem olszowym i różnego rodzaju szuwarami. Po czym

przystąpiliśmy do produkcji wódki. Skonstruowaliśmy wspaniały filtr wg własnego pomysłu. Całość funkcjonowała świetnie, nasz samogon nie różnił się od monopolowej wódki. Miał dobrą markę u nabywców. Ze stu kilogramów mąki żytniej otrzymywaliśmy przeciętnie pięćdziesiąt litrów 45% wódki. W ciągu doby udawało się nam uzyskać do stu litrów samogonu. Każdą wyprodukowaną przez nas ilość kupował nasz dobry znajomy z Białegostoku Józef Suszko. Kilkakrotnie sam wozłem do Białegostoku większe ilości wódki i innych artykułów żywnościowych. W tym celu wynajmowałem niemiecki samochód ciężarowy, którego kierowcą był znajomy Polak. Zdarzało się, że Niemcy - podoficerowie i oficerowie, gdy się im dobrze zapłaciło przewozili swoimi samochodami tego rodzaju towar do Białegostoku. W Białymstoku miałem znajomych, którzy kupowali hurtem cały transport. Na szosie Żółtkowskiej mieszkała Pani Antonina Roszkowska, Irena Romanowicz i rodzina Kosełków, którzy byli odbiorcami dostarczanych przeze mnie towarów. Na ul. Bema - rodzina Suszków i Fornalskich. U nas na wsi litr wódki w owym czasie kosztował 15 marek, kilogram mąki pszennej - 2 marki, kilogram mięsa wołowego 5 marek, natomiast w Białymstoku wszystkie artykuły żywnościowe kosztowały o 50% drożej. W ten sposób można było dużo zarobić, ale było to jednocześnie dużym ryzykiem. Za tego rodzaju handel można było dostać się do obozu lub więzienia. Władze niemieckie zabraniały szmuglowania, a towar taki jak bimber, mięso i mąka był również zakazany. Z naszej wsi młynarz Mieczysław Szafrankowski wiozł samochodem niemieckim 100 kg mąki pszennej do Białegostoku, samochód został zatrzymany na Wysokim Stoczku /przedmieście Białegostoku/ przez żandarmów, którzy często tam stali i rewidowali furmanki chłopskie, tym razem zrewidowali samochód. Szafrankowskiego aresztowali i wsadzili go do więzienia. Dopiero po kilku miesiącach udało się żonie podkupić wpływowego oficera żandarmerii i za kilka tysięcy marek łapówki został wypuszczony z więzienia. Po wpadce Szafrankowskiego zaprzestałem i ja trudnić się handlem. Wódkę pędziliśmy w lesie dalej.

Po ucieczce z Prus Wschodnich spotkałem Józefa Pogorzelskiego, który niby gospodarował na gospodarstwie swego teścia, lecz w rzeczywistości działał w konspiracji. Długo wypytywał mnie na temat mojego pobytu na robotach w Niemczech, wszystko go interesowało. Na koniec rozmowy dał mi do przeczytania tajną gazetkę "Walka". Za parę dniędy zwróciłem przeczytaną "Walkę" dał mi drugą "Polak". Od tej pory dostawałem podziemną prasę regularnie co tydzień. Popłakałem się kiedy po raz pierwszy zobaczyłem godło "Walki" - wspartego na mieczu Chrobrego polskiego orła w koronie z rozpiętymi skrzydłami. Ileż było radości, gdy czytałem artykuł, że "Niemcom kiszki już marsza grają".

Po kilku latach wielkiego upokorzenia zaczynała znów odżywać w moim młodym sercu nadzieja i dawna duma Polaka.

Coraz częściej wspólnie z bratem Piotrkiem wyjmowaliśmy ukryte i zakonserwowane karabiny, zdobyte, a raczej znalezione w czasie ucieczki Sowieców. Czyściliśmy je, a od czasu do czasu nawet strzelaliśmy w lesie. Chociaż za posiadania broni w tym czasie groziło zawsze to samo - kara śmierci.

W czerwcu 1942 roku odwiedził mnie Adolf Gąssowski, przyszedł z prośbą, aby mu podciąć włosy. Już dawno nauczyłem się nieźle podcinać włosy, teraz stałem się nieodpłatnym fryzjerem w Kapicach. Miałem dwie maszynki i dobre nożyce oraz dwie brzytwy. Strzygłem kolegów i sąsiadów w wolnych chwilach.

Adolf gdy go już wystrzygłem, odchodząc wywołał mnie za sobą, poszliśmy do ogrodu. Długo ze mną rozmawiał, aby w końcu zakomunikować mi, że kierownictwo walki podziemnej na tutejszym terenie uznało mnie za godnego do przyjęcia w szeregi konspiracji. Zapoznał mnie z nazwą organizacji do której będę miał zaszczyt wstąpić. Jednocześnie nadmienił że przyjęty będę nie po to, aby zdobywać sobie laury, muszę być przygotowany na najgorsze i to nie tylko ze strony okupanta, ale także i organizacji, gdybym nie spełnił pokładanych we mnie nadziei. Chłonałem jego słowa drżąc z podniecenia i dumy, nieświadomie stałem na baczność. Na zakończenie uścisnął mi dłoń i oznajmił, że zostanę powiadomiony o dniu i miejscu przysięgi. Nareszcie uznali mnie za dorosłego. Dotychczas wiedziałem, że organizacja jest i działa już od dawna, ale ciągle po prostu się gryzłem, że mnie nie angażowano do niej. Byłem gotów wykonać dla Polski Walczącej najtrudniejsze zadanie, oddać swoje młode życie w ofierze Ojczyźnie. Przypominałem sobie Lisa-Kulę, bohatera narodowego o którym śpiewano pieśń:

Gdy ruszył na wojenkę miał siedemnaście lat
Serce gorejące, a lica miał jak kwiat
Młodzieńczą jeszcze duszę i wątłe ramię miał
Gdy w krwawej zawierusze szedł szukać mąk i chwał.

I śmiał się śmierci w oczy
A z trudów sobie kpił
Szedł na przód jak huragan
Ibił i bił i bił.

A chłopcy z nim na boje
Szli z pieśnią jak na bal
Bo z dzielnym komendantem
To na śmierć iść nie-żal

Świsnęła mała kulka i rób wyryła mu
Ukochanemu chłopcu posłaniem wieczny dół

Sam wódz naczelny żył w dobrych oczach miał
Ukochanemu chłopcu na trumnę order dał.

Czy wiecie wy żołnierze, czy wiecie kim był on
Kto walczył za ojczyznę, kto miał tak piękny zgon
Otwórzcie złotą księgę, gdzie bohaterów spis
Na czele ich widnieje, Pułkownik Kula Lis.

Rycerski pędził żywót, rycerski miał też zgon
Bo grzmiały mu armaty, a nie bił kościelny dzwon.

I ja wstępując w szeregi podziemnego wojska polskiego miałem osiemna-
sty rok życia. Po rozmowie z Adolfem Gąssowskim niewiele spałem tej nocy,
a już następnego dnia wieczorem przyjechał na rowerze Eugeniusz Kropie-
wnicki z poleceniem pójść zaraz do Józefa Pogorzelskiego w bardzo
ważnej sprawie. Oczywiście domyślałem się natychmiast o co chodzi.
Szybko przebrałem się i poszedłem.

W domu Pogorzelskiego zastałem już: Romana Kossakow-
skiego, Wacława Górskiego, Józefa Truskolawskiego i Stanisława Chibow-
skiego, wezwanych w tym samym celu, co ja. Byli obecni Adolf Gąssowski
i Eugeniusz Kropiewnicki, już starzy konspiratorzy.
Pogorzelski przemawiał do nas długo w duchu patriotycznym, był dobrym
mówcą i pedagogiem oraz wielkim patriotą - Polakiem - Narodowcem. Za
swe przekonania i postawę polityczną, przed wybuchem wojny, podczas
rządów sanacji cierpiał w Berezie Kartskiej, za okupacji sowieckiej
musiał tułać się za granicą. Teraz mówił do nas ze łzami w oczach, na-
zywał nas załączkiem Podziemnej Armii Polskiej, nie ukrywał, że my pier-
wsi będziemy musieli chwycić za broń i przelać krew za wolność Polski,
że gdy zabraknie dzisiejszych przełożonych naszych w organizacji, to
na nas młodych spocznie obowiązek kontynuowania walki, aż do zwycięs-
kiego końca, a tym końcem ma być wolna i niepodległa Polska.
Wstępowaliśmy do Narodowej Organizacji Wojskowej - NOW, która w prze-
ważającej większości rekrutowała się z członków Stronnictwa Narodowe-
go w której było wielu oficerów i podoficerów Wojska Polskiego.
Pogorzelski w skrócie nakreślił program organizacji: walka na śmierć
i życie z okupantem, dywersja, sabotaż wojskowy i gospodarczy, wywiad
itp. Po długiej mowie Pogorzelskiego nastąpiło przygotowanie nas do
przysięgi, po czym padła komenda: "Baczność"! Pogorzelski wymawiał tek-
st przysięgi, my trzymając wzniesione dwa palce prawej ręki powtarza-
liśmy za nim słowa:

"Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej
jedynemu, Matce Najświętszej, że będę walczył z okupan-
tem Polski do ostatniej kropli krwi, tajemnicy mi powie-

rzonej dochowam, tak mi dopomóż Bóg i niewinna męka
Syna Jego"

Pogorzelski podchodził do każdego z nas, dawał krzyż do pocałowania i sam całował każdego nowo zaprzysiężonego żołnierza.

Od razu utworzono z nas sekcję pod dowództwem Eugeniusza Kropiewnickiego, absolwenta gimnazjum handlowego w Wysokim Mazowieckim, człowieka bez reszty oddanego wspólnej sprawie, bardzo koleżeńskiego, odważnego, pracowitego i sympatycznego.

Dokonano ewidencji broni przyniesionej przez nas, okazało się, że każdy coś posiadał, a Roman Kossakowski wniósł erkaem, pepeszę i dwa karabiny. Złożyliśmy razem uzbrojenie wystarczające całkowicie dla drużyny. Pogorzelski i Gąssowski zacierali ręce z radości.

Wróciliśmy do domów już jako żołnierze Walczącej Polski. Nie mieliśmy wystrzeżać się picia alkoholu w nadmiarze, aby nie wygadać się z czymś niepotrzebnie. Po paru dniach odbyło się nocne zebranie w lesie. Przybyliśmy z posiadaną przez siebie bronią. Przyjechał komendant powiatu, por. "Lot" / Władysław Czarnokorski, prowadził on tajną polską szkołę w Pszczółczynie. Każdy z nas występował pod pseudonimem, mój brzmiał "Wybicki". Komendant dokonał przeglądu naszego oddziału, otrzymaliśmy rozkaz dokonywania ćwiczeń, podczas których mamy być przeszkoleni w obchodzeniu się z różnego rodzaju bronią. Odprawę z komendantem zakończyliśmy odśpiewaniem partyzanckiej modlitwy:

O Boże, który mieszkasz w niebie,

Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,

My z lasu wołamy do Ciebie

O polski dach, o polską broń.

O Boże, skróć ten miecz, co siecze kraj,

Do wolnej Ojczyzny wrócić daj

O Boże, usłysz modły nasze,

O, usłysz nasz tułaczy śpiew.

Znad Wisły, Bugu, Sanu, Niemna,

Męczeńska woła do Cię ~~pre~~

My swojej ziemi bronić będziemy

Do śmierci, schyłku naszych sił

I zawsze twardo stać my będziemy,

Nie damy Polski, to nasz ślub.

O Boże, skróć ten miecz, co siecze kraj...itd.

Padła komenda "Po modlitwie, baczność!", "Wtył, rozejść się!".

Takie były początki mego uczestnictwa w konspiracji. Minęło parę dni i otrzymaliśmy rozkaz stawienia się na zbiórkę w umówionym miejscu na łąkach /tzw. "Bieli"/, nad Sliną, dopływem Narwi. Tym razem ćwiczenia prowadził instruktor ppor "Kłos" /Adam Kótowski, rodem z Zawad koło

Łomży, syn naczelnika poczty w Zawadach. "Kłos" ukończył gimnazium w Sejnach, później pracował jako urzędnik kolejowy w Warszawie i tam spędził okres okupacji sowieckiej. Zaraz po przyjeździe Niemców wrócił do Zawad i wstąpił do konspiracji. Zawsze miły, pełen humoru, przystojny i powszechnie lubiany mężczyzna, wychowany w duchu na wskroś patriotycznym, nie znający granic poświęcenia dla wspólnej nam sprawy.

Od tej pory poświęcał nam wiele czasu, drogą ćwiczeń i wykładów przekazywał nam swoje wojskowe wiadomości. Kilkanaście takich ćwiczeń przygotowało nas nieźle do otwartej walki.

Pewnego jesienno-wieczoru 1942 r. został ogłoszony alarm bojowy. W ciągu godziny stawiliśmy się w pełnym rynsztunku: z bronią, amunicją, granatami, w wymarzonych polskich mundurach, które każdy z nas w miarę możliwości przygotował.

W wyznaczonym miejscu oczekiwała nas spora grupa partyzantów. Spotkałem tam Ignacego Babińskiego ps. "Kmicic" rodem ze wsi Plebanki/gm. Zawady/, znanego działacza SN, kilkakrotnie pokutującego za swą pracę w Stronnictwie, podoficera plutonowego wojsk polskich. Ten energiczny Narodowiec za okupacji sowieckiej był ścigany przez NKWD, uciekł do Warszawy, gdzie przez cały czas działał w konspiracji. Po wypędzeniu Sowietów wraca do swojej rodzinnej wsi Plebank i tu na terenie gminy zawadzkiej i kobylińskiej rozpoczyna działalność konspiracyjną. Niemcy szybko wpadają na jego trop. Zaczyna się ukrywać i jednocześnie staje się partyzantem, chodzi cały czas z bronią, w polskim mundurze, przybiera sobie pseudonim "Kmicic".

Tym razem uzbrojony był w niemiecki pistolet maszynowy "szmajser", rewolwer "Wis", sześć granatów obronnych. Ubrany był w mundur, pas, kolicijkę z przypiętym mieczykiem Chrobrego na piersiach miał lornetkę. Widok tego partyzanta wprawiał wszystkich w zachwyt i radość, dodawał otuchy i odwagi.

Drugim, którego zobaczyłem był ps. "Poznaniak" - Jan Perkowski. Urodził się w rodzinie polskiej we Francji, przed wojną wrócił z rodzicami do kraju. Wojna zrujnowała rodziców, młody chłopak podczas okupacji sowieckiej pracował we wsi Milewo Zabielskie jako robotnik rolny. Wstąpił do partyzantki w początkach jej organizacji i cały czas działał pod rozkazami "Kmicica". Znał doskonale języki francuski i niemiecki, niejednokrotnie dzięki temu oddawał duże usługi organizacji. Uzbrojony był w pistolet sowiecki nagan i dziesięcioprowadzający karabin automatyczny "samozaradka" i granaty.

Następnym spotkanym był Bolesław Skaradziński ps. "Sterna". Pochodził ze wsi Wnory Wandy, gm. Kobylin. Syn zamożnego rolnika, przed wojną studiował na trzecim roku prawa w Warszawie. W wojsku ukończył szkołę

podchorążych w Zambrowie i uzyskał stopień podporucznika. W tym czasie pełnił funkcję szefa organizacyjnego na powiat Wysokie Mazowieckie. Ubrany był po cywilnemu miał pistolet i granaty.

Czwartym był Józef Sikorski ps. "Kuna", rodem ze wsi Wnory - Wandy przed wojną służył w kadetach, podczas działań wojennych w 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej. Niedawno uciekł z obozu jenieckiego i zaraz wstąpił w szeregi NOW. Dobrze zbudowany, wysoki, przystojny, świetnie wyglądał w swoim przedwojennym mundurze kadeckim.

Piątym w grupie był Wojciech Krzeczowski ps. "Zryw", syn dziedzica folwarku w Jeżewie Starym. Znałem go z czasów chłopięcych, razem uczęszczaliśmy do szkoły podstawowej. Miał już stopień kaprała podchorążego. Dziwiłem się, że tak prędko go zdobył, wytłumaczył mi, że zaraz po przyjsciu Niemców ukończył tajny kurs podchorążych.

Szóstym był Józef Mościcki ps. "~~Wien~~ *Ben*" ze wsi Kruszewo - Kobylin, znany działacz SN, mądry, rozważny, świetny mówca. Nieszczęściem jego był garb i co za tym idzie, niski wzrost, śmiesznie wyglądał z zawieszonym na ramieniu i zwisającym do ziemi karabinem.

Siódmym nowym kolegą był Jan Sikorski ps. "Jaś" ze wsi Sikory Bartkowiec, młody odważny i zdyscyplinowany partyzant.

Osmym był nie znany mi wówczas oficer, tytułowany przez obecnych "panie kapitanie", lat około pięćdziesięciu. Miał na sobie nędzne cywilne ubranie, buty na drewnianych zelówkach. Nosił długie wąsy. Uzbrojony w niemiecki "szmajzer", pistolet "wis" i pełne kieszenie granatów. Mowa jego zdradzała pochodzenie z Kresów. Później poznałem go dobrze. Był to Andrzej Lewicki ps. "Lis", ówczesny szef wywiadu na okręg białostocki, przedwojenny kapitan, pracownik "dwójki" /przedwojennego wywiadu na Litwę/. Ten człowiek później był zwiastunem złych dni dla wrogów, tam, gdzie on się pojawił, krew wrogów musiała się połać.

Z dotychczasowych znajomych organizatorów byli: "Sęp" /Adolf Gąsowski/, "Zew" /Eugeniusz Kropiewnicki/, "Kordian" /Józef Pogorzelski/, "Kłos" /Adam Kotowski/, "Trzask" /Stefan Łęczewski/, "Lót" /Władysław Czarnohorski/ - komendant naszego powiatu. /Nazwisko prawdziwe "L. Lota" do dziś dokładnie nie jest mi znane, jako nauczyciel we wsi Pszczółczyn występował pod nazwiskiem Czarnohorski, mówiono mi, że to było nszwisko lewe/.

Po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć tylu partyzantów i przełożonych, cieszyłem się, że jest już tak wielu dobrze uzbrojonych i możliwie umundurowanych ludzi. Marzyłem skrycie o spotkaniu gdzieś przypadkiem oprawców z In Kutzborn, tych, którzy znęcali się nade mną w Prusach "schodnich.

Wydawało mi się, że tym oddziałkiem partyzanckim można byłoby uderzyć na każdy posterunek żandarmerii. Dziś nie lękałem się szkopów, miałem na ramieniu wypróbowany, celny karabin, dwa granaty, rewolwer i sto sztuk naboju. Wokół mnie stali i siedzieli tacy jak ja i lepsi, zdecydowani na wszystko, dzielnymi i nie znający granic poświęcenia dla odzyskania wolności i niepodległości Wielkiej Polski.

Dowódcy zdecydowali podzielić nas na dwie drużyny, jedna pod komendą "Kmicica", druga "Kłosa". Dowództwo nad całością objął komendant naszego powiatu por. "Lot". Sprawdzono, czy przypadkiem któryś z nas młodych partyzantów nie ma przy sobie prawdziwego dowodu, był rozkaz, aby podczas akcji nie nosić żadnych dowodów tożsamości, w celu uniemożliwienia Niemcom identyfikacji zwłok na wypadek śmierci.

Oddział ruszył gęsiego, wyprzedzała nas szpica złożona z trzech partyzantów, którzy znali dobrze teren, za nią oddział w odległości 80-100 m. Pierwszy raz maszerowałem w takiej grupie z karabinem na ramieniu. Nie odczuwałem żadnego strachu, serce biło mocno w odpowiedzi na szelest kroków i szczęk broni.

Przeszliśmy tak szosę Warszawską na której panowała ogólna cisza. Doszliśmy do wsi Kobylin - Cieszymy, oddział zatrzymał się na drodze, kilku poszło po furmanki i za chwilę przyjechały cztery wozy parokonne. Załadowaliśmy się szybko i odjechaliśmy w kierunku Czerwonego Boru, omijając Rutki - Kossaki, siedzibę niemieckiej żandarmerii. W Czerwonym Borze zakwaterowaliśmy u gospodarza oniemiałego na widok polskiego wojska. Wozy zwolniliśmy pojedynczo parę kilometrów przed kwaterą, wymyślając każdemu chłopu jakieś kłamstwo na wypadek, gdyby Niemcy w drodze powrotnej zaczepili go i pytali gdzie jeździł. Wśród furmanów wiozących nas było trzech członków naszej organizacji. Prawie wszyscy mieszkańcy wsi Cieszymy - Kobylin należeli do NOW. Zorganizował ich Włodzimierz Zdrodowski, dawny działacz Stronnictwa Narodowego /ten, który przed wojną bojkotował wybory, a później siedział za to w więzieniu./

Komendant zabronił gospodarzowi i jego rodzinie oddalać się z zagrody. Przyniesiono słomę, wystawiliśmy warty i ułożyliśmy się do spania. Męczyła mnie nieznaną zadania, jakie mamy do spełnienia. W tym czasie kapt. "Lis", por. "Sterna" i por. "Lot" opuścili nas, wszyscy gdzieś wyszli w cywilnym ubraniu i tylko z krótką bronią. Po kilku godzinach nieznany mi cywil przyniósł dwie kopy jaj, kawał rąbanki i słoninę. Z apetytem zabraliśmy się do tego jednocześnie śniadania i obiadu, wolno nam było nawet wypić po kieliszku bimbru.

Wieczorem zajechały trzy wozy pełne uzbrojonych partyzantów, erkaemy, automaty i karabiny błyszczały jak nowe. Wrócił z nimi por "Lot",

por. "Sterna" i kapt. "Lis" w towarzystwie jak od razu zauważyliśmy, jakiejś osobistości, mężczyzny lat około pięćdziesięciu, ubranego w elegancki płaszcz gabardynowy, zielone kangarowe spodnie, buty saperki i narciarską czapkę. Kiedy wszedł, por. "Kłos" dał komendę: baczność! poderwaliśmy się z miejsc. Przybysz kolejno witał nas i przyjaźnie patrząc każdemu w oczy uśmiechał się. Obserwowałem zaaferowany, jak nasi dowódcy stawali na baczność, ilekroć zwrócił się do któregoś. Nawet kpt. "Lis" stukał swymi drewniakami na co przybysz mówił błagalnym tonem: "koledzy, ja tego nie lubię, nie róbcie tak".

Wkrótce dowiedziałem się, że jest to komendant Okręgu Białostockiego NOW - "Bogdan". Po pewnym czasie więcej wiedziałem o naszym wodzu, a po kilku latach poznałem jego prawdziwe nazwisko. Nazywał się Ostrowski z zawodu ekonomista, był w stopniu majora. Widok tego człowieka muszka budził we mnie uczucia: podziw, żołnierską miłość do dowódcy i niewzruszoną wiarę w słuszność naszej wielkiej sprawy i zwycięstwo.

Partyzanci, którzy eskortowali wodza, odjechali. Była to część grupy ze szkoły podoficerskiej i podchorążówki działającej w lasach i okolicach Czerwonego Bora. Podchorążacy i podoficerowie rekrutowali się z Łomży i okolicznych wsi i miasteczek. Większość absolwentów tej szkoły zginie w boju na Czerwonym Borze w 1943 r. Wieczorem odmaszerowaliśmy wraz z komendantem "Bogdanem". Po drodze znów wzięliśmy furmanki i naś ranem byliśmy w naszych stronach. Zatrzymaliśmy się we wsi Plewki, gm. Rutki - Kossaki, na kolonii położonej w lesie, u członka naszej organizacji, kol. Rocha Pogorzelskiego. Tam spędziliśmy cały dzień. Przy okazji poznałem dowódcę miejscowego plutonu, Łukasza Pogorzelskiego. Nasi dowódcy przez cały czas prowadzili rozmowy polityczne z komendantem okręgu "Bogdanem".

Wieczorem przyjechały dwie osoby: kobieta wysoka, elegancka, w wieku około trzydziestu lat i mężczyzna około lat pięćdziesięciu. Mężczyzna miał pseudonim "Broniek", jak się później dowiedziałem był to szef organizacyjny okręgu, którego później kilkakrotnie widywałem u "Sępa"/Adolfa Gąssowskiego/, niewiasty już więcej nigdy nie widziałem. Przez cały dzień do późnej nocy, trwały niekończące się rozmowy i narady. Komendant okręgu "Bogdan" informował zebranych dowódców o różnych, bardzo ważnych sprawach organizacyjnych i politycznych. Mówił, iż wszystkie organizacja wojskowe istniejące na terenie kraju będą scalone i podporządkowane jednemu dowódcy Armii Krajowej, zgodnie z rozkazem naczelnego wodza gen. Sikorskiego, wydanym w Londynie dnia 15 sierpnia 1942 r. Dalej informował, iż komendant główny NOW wydał rozkaz 4-go listopada 1942 r. o wcieleniu oddziałów NOW w szeregi Armii Krajowej. Na długich naradach, dowódcy nasi ustalali: NOW, z powiatu Wysokie Mazowieckie

wejdzie w skład AK jako odtworzony dawny 76 Pułk Piechoty w Grodnie, dowódcą żołnierzy NOW, wchodzących w skład pułku pozostaje dotychczasowy komendant powiatu por. "Lot", dalej pozostają bez zmian d-cy batalionów, kompanii i plutonów. Pułk będzie podlegał rozkazom Komendanta Okręgu Białostockiego AK, którym został mianowany przez Komendę Główną AK, dotychczasowy Komendant ZWZ "Mścisław" /Władysław Liniarski/. Dalej Komendant Okręgu NOW "Bogdan" informował, iż zgodnie z porozumieniem rządu i stronnictw politycznych na całej Białostocczyźnie, władza administracyjna i polityczna według tzw. klucza partyjnego została przyznana Stronnictwu Narodowemu. Delegatem rządu na województwo białostockie został mianowany znany działacz Stronnictwa Narodowego kpt. "Grzymała" /Józef Przybyszewski/, przedwojenny sekretarz zarządu okręgowego SN, który za pracę społeczno-polityczną przed wojną, wtrącony został przez ówczesnego wojewodę Kościałkowskiego do obozu w Berezie Kartuskiej w dniu inauguracji tego koncentracyjnego obozu, 5 lipca 1934 r. "Grzymała" od pierwszych dni okupacji niemieckiej był związany z pracą konspiracyjną w Warszawie. W Zarządzie Głównym SN piastował dwie funkcje: kierownika wydziału organizacyjnego i finansowego. Poza tym był członkiem Sztabu Komendy Głównej NOW. W Warszawie mieszkał wraz z żoną i córką. Wykształcenie miał wyższe filozoficzne, utrzymywał się z własnego przedsiębiorstwa metalowego.

Komendant okręgu "Bogdyn" oznajmił, iż z pośród członków NOW zostanie wybrana przyszła policja i administracja na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i gminnym.

Dalej informował, że stosunki polityczne między Rosją Sowiecką, a emigracyjnym rządem polskim uległy pogorszeniu. Tworzona armia polska w Rosji, której stan liczebny wynosił w lutym 1942 r. - 73 415 żołnierzy, na przełomie marca/kwietnia, ewakuowana została na Bliski Wschód do Iranu, 44 tyś. ludzi w tym około 12 tyś. osób cywilnych. 31 marca gen. Anders podpisał protokół w sprawie ewakuowania pozostałych jeszcze na terytorium Rosji jednostek. W drugim rzucie ewakuacyjnym wyjechało z Rosji 71 tyś. ludzi, w tym 19 tyś. osób cywilnych. Łącznie Anders wyprowadził z Rosji 114 tyś. Polaków. Z przeszło półtoramilionowej rzeszy Polaków wywiezionych do więzień, obozów i na Sybir, udało się gen. Andersowi wyprowadzić niecałe 8%. Dla setek tysięcy Polaków zapadła żelazna zasłona raz na zawsze lub na długie lata.

Po dwóch dniach na trzecią noc odmaszerowaliśmy z zajmowanej kwatery w kierunku naszej wsi. Po drodze zostawiliśmy komendanta okręgu i cały sztab we wsi Kobylin-Kruszewo. Nasza sekcja z Eugeniuszem Kropiewnickim wróciła do Kapic.

Rodzice nie wiedzieli gdzie jestem, pocieszali się

tym, że nie tylko mnie brak we wsi. Wróciłem w mundurze i z bronią, nie trudno było zorientować się ojcu, iż należę do organizacji. Wypytywał mnie ciekawie, ale nie zdradziłem żadnej tajemnicy. Najbardziej uciążliwe było wścibstwo mego młodszego brata Piotrka. On znał miejsce ukrywania broni i w czasie mojej nieobecności stwierdził, że brakuje lepszego karabinu, części amunicji, chlebaka i granatów. Mundur, czapkę i pas przechowywałem w innym miejscu, o którym Piotrek nie wiedział. Chodził teraz za mną i błagał abym go zabrał ze sobą, marzył o ubiciu choć jednego szwaba. Trudno mi było utrzymać w tajemnicy przed rodzinną sprawę, którą żyłem, prosiłem Pogorzelskiego, aby wolno mi było chociaż dać do przeczytania rodzicom i bratu "Walkę" lub "Polaka". Otrzymałem zezwolenie i od tej pory czytaliśmy razem gazetki.

Czas mijał szybko, organizacja nasza zataczała coraz szersze kręgi. Starsi wiekiem mężczyźni stopniowo byli wcielani w szeregi NOW. W skład plutonu zorganizowanego na terenie Kapic, pod dowództwem plut. "Filipa"/Piotra Gąssowskiego, brat "Sępa"-Adolfa Gąssowskiego/ weszli nowozaprzyśiężeni z naszej wsi: Józef Zalewski, Eugeniusz Zalewski, Czesław Kropiewnicki /brat Eugeniusza/, Jakub Truskolawski, Władysław Babiński/sołtys/ i jego syn Stanisław, Mieczysław Perkowski, Michał Roszkowski i jego syn Jan, Walenty Masłowski, Leon Czocharński, Stanisław Szafrankowski, Mieczysław Zalewski i Julian Piłowski.

Została zorganizowana w Kapicach sekcja kobieca NOW w skład której weszły koleżanki: Eugenia Zalewska, Irena Kropiewnicka, Maria Truskolawska, Niusia Babińska, Henryka Gąssowska, Mamerta Kulikowska, Janina Zdrojewska i Marysia Szafrankowska. Sekcyjną mianowana została żona Pogorzelskiego.

Na terenie gminy Kobylin i Zawady powstało kilka sekcji kobiet, które były szkolone, jako łączniczki i sanitariuszki, poza tym zajmowały się sprawami gospodarczymi, takimi jak: robienie swetrów, ciepłych skarpet, rękawiczek, szyciłem i praniem bielizny dla partyzantów.

Jak już na wstępie pisałem, moja matka pochodziła ze wsi Targonie Wielkie, tam miałem dużo znajomych i kolegów z ławy szkolnej. Od Józefa Pogorzelskiego otrzymałem zezwolenie, abym co najbardziej energicznych kolegów i dobrych znajomych przygotowałem do pracy konspiracyjnej. Za parę dni pojechaliśmy z Pogorzelskim rowerami celem zaprzysiężenia nowych członków NOW. W Targoniach czekali na nasz przyjazd: Henryk Kobyliński, Stanisław Gosk, Roman Zajkowski, Edward Płofski, Stanisław Wądołowski, Antoni Targoński, Andrzej Targoński /mój wuj/, Krzysztof Krzewski, Franciszek Maliszewski i Wacław Kobyliński. Na wstępie Pogorzelski w krótkim przemówieniu określił naszą sytuację

polityczną w kraju i za granicą, bliżej zapoznał zebranych o obowiązkach jakie są udziałem żołnierzy Polski Poziemnej. Moi przyjaciele ze łzami w oczach przysięgali walczyć z okupantem do ostatniej kropli krwi.

Parę dni później w sąsiedniej wsi Targonie Wity, odbyło się zaprzysiężenie drugiej, przeze mnie przygotowanej grupy. Tym razem w obecności Pogorzelskiego i Adolfa Gąssowskiego przysięgali: Tadeusz Maliszewski, Roman Maliszewski, Henryk Zajkowski, Mieczysław Górski, Lucjan Jabłoński i Roman Zajkowski. W drodze powrotnej Pogorzelski i Gąssowski serdecznie mi gratulowali i życzyli dalszej owocnej pracy w szeregach NOW.

Poza zwerbowanymi z ww dwóch wsi przygotowałem kilku młodych kandydatów w Kapicach. Byli to: Tadeusz Kapica, Zygmunt Zalewski, Stanisław Gąssowski/brat Adolfa/, Henryk Nieciecki, Józef Nieciecki i mój brat Piotr Grabowski, który wybrał sobie pseudonim "Bajan". Zaprzysiężenia w mojej obecności dokonał Adolf Gąssowski.

W tym czasie liczba członków NCW w Kapicach wzrosła do 38 osób. Równolegle do NOW powstała druga organizacja podziemna pod nazwą Polski Związek Powstańczy /PZP/, skupiała ona ludzi, którzy nie byli członkami Stronnictwa Narodowego, skłaniający się do polityki sanacji. Właściwie program obu organizacji był identyczny: walka z okupantem do zwycięskiego końca. Mimo tego podobieństwa nie było teraz zgody. Miesznaski, rywalizacja, walka z okupantem oddzielnie. Doszło nawet do przeagitowywania ludzi z jednej strony na drugą. Dwaj moi koledzy Wacław Górski i Tadeusz Brzozowski porzucili szeregi NOW i wstąpili do PZP. Poza nimi do PZP z Kapic należeli: Jan Sikorski ps."Kabel", Stanisław Czartoryjski ps."Kubuś", Paweł Sikorski, Edward Sikorski, Lucjan Górski i jego córka Irena, Gerwazy Brzozowski, Lucyna Czartoryjska ps."Marta" /żona "Kubusia"/, Maria Czajkowska ps."Rzęska", Anna Czajkowska ps."Plewka". Głównym organizatorem PZP w Kapicach był "Kubuś", z zawodu inżynier rolnik, przed samą wojną ożenił się w Kapicach z Lucyną Czajkowską i tu zamieszkał. Mądry i stateczny człowiek. Z rozmów z nim wywnioskowałem, że boleje nad nieporozumieniami, ale pomimo rozsądku i dobrych intencji sytuacja wciąż się pogarszała.

Nasze dowództwo uwzięło się na Tadeusza Brzozowskiego i Wacława Górskiego za ich odejście i wydało polecenie odebrania im broni. Wykonał ten niechlubny rozkaz "Kmicic". PZP w odwecie przysłał grupę partyzantów, którzy zabrali Romanowi Kossakowskiemu automat sowiecki PPD. Wtedy "Kmicic" znów zmusił jednego z członków PZP w Cpuchowie do rozstania się z polskim RKM-em. Doszło do grożenia sobie nawzajem bronią. Wiosną 1943 r. zaszedł bardzo przykry wypadek. Członek NCW Włodzimierz Zdrodowski ze wsi Kobylin Cieszczyński, stary działacz SN, ten,

który wraz z Adolfem Gąssowskim bojkotował wybory przed wojną, został skierowany do współpracy z gestapo w Białymstoku jako "wtyczka" NOW. W rezultacie przysłana grupa partyzantów w nocy wykonała na nim wyrok śmierci. Zrobił się wielki szum wokół śmierci Zdrodowskiego. Dowództwo NOW podejrzewało, iż jest to robota PZP, zaczęto planować odwet, zawiązała groźba walki bratobójczej. Później niby stwierdzono, iż śmierć Zdrodowskiego zrządził przypadek. Przechodził oddział Konfederacji Narodowej i we wsi Kobylin Cieszymy chciano wzięść furmanki, po wejściu na podwórko Zdrodowskich kilkunastu partyzantów ubranych w różnymunduury, poczęło dobijać się do drzwi, Włodzimierz Zdrodowski myślał, że to Niemcy idą go aresztować, złapał za swój karabin i począł strzelać do nich, następnie chciał wyskoczyć przez okno i uciec. W momencie gdy się wychylił, któryś z partyzantów zastrzelił go serją z automatu. W rzeczywistości sprawa ta do dziś dokładnie nie jest wyjaśniona.

Pogrzeb Zdrodowskiego odbył się w Kobylinie, na którym było dużo członków NOW. Józef Pogorzelski przeprowadzał dochodzenie w tej sprawie. Był na pogrzebie przedstawiciel NOW z okręgu Białostockiego, byli również "Wąsaty" - późniejszy komendant powiatu Bielsk Podlaski, "Sęp" i "Lot". Długo na ten temat naradzano się i dyskutowano. W parę tygodni po tym wypadku został zabity znów członek NOW we wsi Kobylin Makowo Zygmunt Makowski. Tu stwierdzono, iż morderstwa dokonała banda grasująca w okolicy, hersztem której był nieuchwytny Pelc. Pelc pochodził ze wsi Wnory Stare, gm. Kobylin. Był to ogromnie sprytny osobnik. Kilkakrotnie Niemcy otaczali go na różnych melinach, zawsze im uciekał, przy czym nie raz narobił żandarmom dużego zamieszania, rąbiąc do nich długimi seriami ze swegoautomatu. Nieszczęściem było to, że działał na własną rękę i często dopuszczał się rabunków u ludzi niewinnych. NOW wydała na niego wyrok śmierci, ale kara dosięgła go dopiero w 1945 roku.

Po wypędzeniu z Białostoczczyzny Armii Czerwonej, Niemcy wymordowali kilka tysięcy Żydów zaraz na wstępie w Białymstoku i okolicznych miasteczkach. W dniu 26 lipca 1941 r. Niemcy wydali zarządzenie o utworzeniu getta w Białymstoku. Miejsce na getto wyznaczone zostało w części śródmieścia. Do getta w Białymstoku przesiedlono Żydów z miejscowości: Sokółka, Sokoły, Krynki, Knyszyn, Supraśl, Zabudów, Łapy, Choroszcz, Wasilkowo, Starosielce i innych mniejszych miasteczek. Natomiast pozostawiono Żydów na miejscu w Tykocinie, Zawadach i Kobylinie. Żydzi w tych trzech miasteczkach siedzieli w swoich domostwach, po cichu handlowali, rzemieślnicy uruchomili swoje warsztaty, krawcy i szewcy, jeździli po okolicznych wsiach, szyli u poszczególnych rolników odzież, robili buty.

Jesienią 1942 r. przyjechało kilku oficerów SS z Białegostoku do wsi Opuchowo, nakazali sołtysowi wsi wyznaczyć 15 mężczyzn z łopatami, którymi kazano wykopać trzy duże doły w przyległym lesie Stelmachowskim. Miejsce w lesie Niemcy mieli zaznaczone na mapie, które nazywano Wisielcem, nazwa ta pochodziła z czasów powstania 1863 r. Starzy ludzie mówią, że po upadku powstania ruskie kozactwo wieszało w tym miejscu Polaków. Później zastanawialiśmy się skąd Niemcy znali to miejsce, a może był to po prostu przypadek.

W parę dni po wykopaniu dołów na szosie ujrzelismy olbrzymi pochód. Niemcy pędzili ponad dwa tysiące Żydów z Tykocina do Zawad. W tym żalonym pochodzie, koło naszej wsi pędzili starców, kobiety z dziećmi na rękach, młodzi mężczyźni szli ze spuszczoneymi głowami. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego młodzi i zdrowi ludzie idą na rzeź jak zwierzęta. Ponad dwa tysiące eskortowanych przez pięćdziesięciu esesmanów. Wlekli się koło lasów, mogli uciekać, mogli rzucić się na katów i udusić ich własnym ciężarem, Niemcy zabiliby kilkudziesięciu reszta uratowałaby się. Żaden Żyd nie próbował ucieczki, wszyscy doszli do Zawad. Tu przywieziono kilka rodzin żydowskich z Kobylina i spędzono wszystkich z Zawad. Ustawiono wszystkich na rynku, kazano oddać im rzeczy i kosztowności. Trzy samochody więzienne przez pół dnia woziły po około sto osób do lasu Stelmachowskiego. Wszyscy Żydzi z Zawad, Kobylina i Tykocina w ciągu jednego dnia zostali wybici i pogrzebani. Działo się to na naszych oczach, patrzyliśmy ^{na} transport i słyszeliśmy strzały. Kilku śmiazków ze wsi Opuchowo, podczołgało się blisko miejsca straceń i obserwowało z ukrycia w krzakach ten niesamowity, okrutny mord. Wokół każdego dołu zostało po dziesięciu Niemców, z zakasnymi powyżej łokci rękawami mundurów, każdy trzymał rewolwer w łapie. Podjeżdżała więzienna "buda", ustawiała się tyłem ~~do~~ do dołu, następnie podnosiła się jak wywrotka i wysypywała na wół uduszonych spaliniami Żydów /samochód był tak skonstruowany, iż spaliny z silnika miały ujście do wnętrza szczelnej "budy", droga z Zawad do lasu wystarczała na uduszenie skażców/. Grupie oprawców pozostawało tylko dobijanie w dole zaczadzonych i oszołomionych ofiar. Nie każdy strzał był celny, a może oszczędzali oprawcy amunicję, dość powiedzieć, że po polaniu ofiar nie lasowanym wapnem i zasypaniu ziemią, jeszcze następnego dnia ziemia na mogiłach ruszała się. Ludzie z Zawad zaobserwowali pewien fakt. Z Tykocina przynęśli Niemcy młodą i ładną Żydówkę z pięcioletnią córeczką, była to żona tykockiego lekarza dr Turka /on sam zdążył umknąć/. Oficer SS, biorący udział w tym mordzie, spacerował z tą niewiastą po rynku zawadzki pod rękę, przez dłuższy czas, wyprowadził ją za obręb otaczających wartowników i kazał jej uciekać samej bez dziecka. Wróciła do dziecka i z dziec-

kiem pozostała na zawsze we wspólnej mogile. Jej mąż z bratem swoim, ukrywał się na kolonii Stelmachowo u rodziców mego dobrego kolegi, którzy z narażeniem życia udostępnił im kryjówkę w dużym gospodarstwie rolnym.

Ludność okoliczna strasznie przeżyła ten masowy mord. Kilkunastu Żydów z Tykocina, Zawad i Kobylina uciekło wcześniej, ostrzeżonych przez Polaków pracujących w konspiracji. W tym czasie już pracował wywiad Polski Podziemnej. Ci którzy uciekli i przeżyli wśród Polaków, stwierdzają, że większość Żydów zbagatelizowała ostrzeżenie, po prostu nie wierzyli Polakom. To ogromne nieszczęście jakie spadło na Żydów pomogło nam Polakom zapomnieć o nienawiści i słusznych pretensjach naszych do Żydów za ich czyny. Nie jeden z nas z narażeniem własnego życia ratował te przysłówkowe żmije wychowane na własnym łonie. Pisałem już o postępowaniu Żydów w okresie okupacji sowieckiej, ale to ideologiczne zaangażowanie nie przeszkodziło im zaraz po ustąpieniu Rosjan witać Niemców chlebem i solą na ulicach Białegostoku. Później te krwawe wydarzenia niewiele ich także zmieniły. Chytrzy, podstępni, podejrzliwi i sprzedajni, pełni wrogich uczuć do społeczeństwa z którego żyją. Od czasów Kazimierza Wielkiego, który sprowadził ich do Polski, nie zapomnieli swego języka, nie zarzucili obyczajów, nie spolszczyli się. Tacy pozostali do dziś.

Getto w Białymstoku w początkach swego istnienia było bardzo zagęszczone, od 1942 r. Niemcy zaczęli wywozić Żydów w okolice Prużan i tam mordowali, do listopada 1942 r. ewakuowano ponad sześć tysięcy osób. W listopadzie 1942 r. wyszło zarządzenie zamknięcia getta, za opuszczenie getta groziła kara śmierci. Od tej pory władzę nad gettem sprawowała policja bezpieczeństwa i gestapo. W lutym 1943 r. wywieźli Niemcy z getta do Trebłinki około 12 tyś. Żydów. Ten mord nie przeszedł już bezkarnie. Żydzi po raz pierwszy stawili opór z bronią w ręku. Zabili 13 żandarmów i kilkunastu zranili. W tym czasie zaczęła wydajnie udzielać pomocy Armia Krajowa, a szczególnie dla powstałej na terenie getta organizacji żydowskiej pod nazwą Żydowski Związek Walki /ŻZW/. Z Obwodu AK Białystok miasto, wydzielony został specjalny oddział do pomocy Żydom. Oddziałem tym dowodził kpt. "Bron"/Przemysław Hlawetem/, szefem zaopatrzenia był ppor. "Kurppatwa"/Jan Kliszczuk/.

W sierpniu 1943 r. Niemcy przystąpili do całkowitej likwidacji getta w Białymstoku. Żydzi byli przygotowani do walki lepiej jak to miało miejsce w 1942 r. Niemcy nauczeni doświadczeniami w getcie warszawskim, przygotowali się specjalnie nie lekceważąc żadnych środków bezpieczeństwa. Walka w getcie trwała pięć dni. Zginęło

kilkudziesięciu Niemców i Ukraińców, dużo było rannych. Większość Żydów wywieziono do Treblinki, dużo zginęło na miejscu.

Było to ostatnie większe skupisko Żydów, które zostało zlikwidowane na terenie Polski.

Nielicznym, którym udało się przeżyć, znaleźli schronienie u polskich rolników, odważniejsi poszli do oddziałów partyzanckich. W lasach koło Supraśla działał mały oddziałek partyzancki, złożony prawie z samych Żydów. Nosił nazwę "Ferojs" /Naprzód/, później połączył się z partyzantką sowiecką.

Wiosną 1943 r. na Białostocczyźnie rozpoczęły szeroką działalność oddziały partyzanckie przybyłe na te tereny z Warszawy. Oddziały te rekrutowały ~~te~~ rekrutowały się przeważnie z członków Stronnictwa Narodowego z grupy ONR - Falanga. Organizatorem i dowódcą tego zgrupowania był "Szablewski" /Bolesław Piasecki/. Ten młody polityk wychowany był w wolnej Polsce, zaraz po kampanii wrześniowej, jak już wspominałem, w październiku 1939 r. stanął na czele powołanej przez ONR Konfederacji Narodu w ramach, której utworzył jej wojskowy odpowiednik Uderzeniowe Bataliony Kadrowe /UBK/ z którymi teraz przywodził na Białostocczyznę.

Oddziały partyzanckie UBK na naszych terenach rosły jak grzyby po deszczu. Niecierpliwa, patriotycznie nastawiona młodzież wstępowała do nich masowo, do czynnej walki rwali się też ci, którzy byli już zorganizowani w innych ugrupowaniach. Dowódcy NOW - AK nie podejmowali do tej pory akcji zaczepnych przeciw Niemcom, ograniczając się do szkolenia swoich członków i likwidacji szpiegów. Widząc zbrojne oddziały UBK i ja uległem ogólnym nastrojom i gdy popiliśmy pewnego razu z kolegami, wybraliśmy się we trzech ze Stanisławem Chibowskim i Mieczysławem Babińskim /bratem "Kmicica"/ do Józefa Pogorzelskiego z gorzkimi wyrzutami, że trzyma nas w bezczynności, podczas gdy my chcemy walczyć. Pogorzelski widząc nas nieco pijanych, delikatnie poprosił abyśmy dziś poszli spać, a jutro zgłosić się do niego, wtedy skierują nas do oddziału leśnego.

Rano przyjechał nasz sekeyjny Kroplewnicki i polecił nam stawić się w lesie, tam czekał Pogorzelski. Tym razem mówił do nas ostro, głośnie, że jeżeli coś podobnego powtórzy się, odda nas pod sąd. Wymierzył nam karę, zawieszenie we wszystkich czynnościach z zabronieniem czytania gazetek włącznie. Przez miesiąc nie wiedzieliśmy co dzieje się w naszej organizacji, potem przywrócono nam dawne prawa.

Przez całą wiosnę 1943 r. działy się na naszych terenach różne wydarzenia. Na początku czerwca, nastąpiła zmiana na stanowisku szefa białostockiego gestapo. Dotychczasowy szef Sturmbannführer SS dr Wilhelm Altenloh, został rozkazem Himmlera przeniesiony do Paryża. Na jego miejsce przy-

szedł wyrafinowany kat obersturmbaunführer SS dr Herbert Zimmerman. Nowy szef gestapo rozpoczął swoje urzędowanie wzmożonym terrorem, wyrokami śmierci dla tysięcy Łdaków.

Na początku czerwca 1943 r. Niemcy otoczyli Wnory Wandy, rodzinną wieś "Sterny" /Bolesława Skaradzińskiego/ i "Kuny" /Józefa Sikorskiego/. "Sterny" tej nocy w domu nie było, natomiast "Kuna" był we wsi i w czasie otoczenia ostrzeliwując się uszedł z życiem. Ojciec "Kuny" został zabity podczas walki we własnym domu. Gdy Niemcy chcieli wejść do mieszkania strzelał do nich z pistoletu, po zabiciu go Niemcy od razu zastrzelili i matkę. Brat "Kuny" i siostra zdążyli uciec ze wsi. Wszystkich mieszkańców wsi Wnory Wandy Niemcy wystrzelali i pochowali we wspólnej mogile. Całe mienie zabrali, domy i budynki gospodarcze spalili.

Gdy tylko Niemcy odjechali "Kuna" z kilkoma partyzantami wpadł do spalonej wsi. W zgłiszczach swego domu zastał nie pochowane, zwęglone zwłoki swoich rodziców. Natychmiast udał się do stolarza w sąsiedniej wsi, który ubił z desek trumnę, ułożył w niej szczątki swoich najbliższych, nocą zawiózł na cmentarz w Kobylinie i tam pochował.

W dniu 15 czerwca 1943 r. VIII Uderzeniowy Batalion Kadrowy KN, dowodzony przez por. "Pawłoskiego" /Julian Jagodziński/, stacjonujący w okolicy Zawad, postanowił dokonać odwetu na Niemcach za mord dokonany na wsi Wnory Wandy.

Partyzanci opracowali plan w porozumieniu z miejscową siatką AK, rozbrojenia posterunku żandarmerii niemieckiej w Zawadach, Kobylinie i rozbrojenie Niemców pilnujących mostu na Narwi pod Choroszczą oraz spalenie tego mostu.

Do oddziału partyzanckiego UBK dokoptowano członków AK z siatki, zorganizowanej na terenie gm. Zawady. Dokładny wywiad przeprowadził "Lew" /Kostko Jan - sekretarz gm. w Zawadach/, który jako "wtyczka" AK pracował dla Niemców. Oddział został podzielony na dwa pododdziały, które w nocy z 14 na 15 czerwca zajęły pozycje wyjściowe do planowanej akcji. Posterunek w Zawadach mieścił się w dawnej szkole. W Kobylinie posterunek żandarmerii usadowił się w dawnej gminie, budynku drewnianym.

15 czerwca o godz. siedemnastej, partyzanci uderzyli w posterunki żandarmerii w Zawadach i Kobylinie. W Zawadach zaatakowali od strony muru kościelnego i rynku. Żandarmi byli czujni i nie dali się zaskoczyć. Wywiązała się walka. Drużyna szturmowa nie bacząc na strzały żandarmów runęła do drzwi i okien. Kule żandarmów położyły trupem dzielnego partyzanta "Tabora", poszły w ruch granaty wrzucane przez okna do budynku, za nimi wskakiwali partyzanci do wnętrza posterunku. Padł od kuli partyzantów komendant żandarmerii, padło siedmiu żandarmów, ósmy tego

dnia wyjechał do Białegostoku i tylko dzięki temu uratował się. W czasie akcji był obecny na posterunku sołtys ze wsi Sikory Tomkowiec - bzczepan Dąbrowski. Gorliwy wykonawca niemieckich rozkazów i jednocześnie konfident żandarmerii. Przed kilkoma dniami złapał ukrywającego się Żyda, którego oddał w ręce żandarmów. Podczas walki dosięgła go kula partyzancka, został zabity na posterunku żandarmerii. Partyzanci zdobyli broń, granaty, amunicję, mundury i inne przedmioty należące do żandarmów, załadowali na wozy i już mieli ruszać w dalszą drogę gdy na rynek wjechał samochód osobowy. Przybyli nim Niemcy z Łomży. Natychmiast zostali rozbrojeni i osadzeni w areszcie należącym do posterunku. Dowódca pododdziału por. "Pawłowski" natychmiast zajął miejsce za kierownicą samochodu. Obok niego trzech partyzantów, przebranych w mundury żandarmów. Inni partyzanci również przebrani w mundury niemieckie, zajęli miejsce w bryczce zaprzęgniętej w parę koni oraz na wozach gospodarskich. Ruszyli w biały dzień szosą w kierunku Kapic. Większość mieszkańców naszej wsi wybiegła z domów witając partyzantów, dziewczęta obrzucili ich kwiatami. Wśród kapicaków zapanowała radość, niektórzy mniej wtajemniczeni myśleli, że to już godzina zemsty wybiła, że to już nadszedł ten dzień kłó i chwały na który tak długo czekali i przygotowywano się. Niestety rzeczywistość była ponura.

W Kobylinie powiodło się partyzantom szczęśliwie. Rozbroili żandarmów bez boju. Zabili jednego żandarmę, który na widok polskich mundurów próbował uciekać. Tym którzy poddali się, darowano życie. Zostali zamknięci we własnym areszcie. Po załadowaniu zdobyczej broni, amunicji granatów i umundurowania na furmanki i zdobyczą bryczką oddział ruszył w stronę szosy Warszawskiej. I tu wylegli na ulicę mieszkańcy Kobylina Borzymy, Pieniążki, Łatki i Cieszymy, witano i obrzucano kwiatami polskich partyzantów.

Oba pododdziały połączyły się na szosie Warszawa-Białystok i ruszyły szosą w kierunku Białegostoku. Do mostu na Narwi było dość daleko z tego miejsca, około 17 kilometrów.

Do akcji na most nie doszło. Podczas rajdu, pod wsią Rzędziany, gdzie ongiś była posiadłość słynnego Rzędziana z Wąsoczy, sprytnego pacholka imię pana Skrzetuskiego - oddział natrafił na trzy samochody ciężarowe pełne Niemców, jadące od strony Białegostoku. Prawdopodobnie zostali zaalarmowani już o akcji w Zawadach i Kobylinie. Niemcy nie zorientowali się w pierwszej chwili, kogo spotkali. Szpica partyzancka jechała kilkaset metrów przed oddziałem, samochodem osobowym zdobytym w Zawadach oraz dwiema bryczkami. Partyzanci przebrani byli w zdobyczne mundury żandarmów. Szpica zatrzymała samochody i zanim Niemcy zrozumieli, o co chodzi, partyzanci zdążyli wrzucić do samochodów kilka granatów i obsypać je seriami z automatów. W międzyczasie

oddział zdążył się rozwinąć w tyraljerę i zająć dogodne stanowiska ogniowe. Wywiązała się gwałtowna walka, zaskoczeni Niemcy zaczęli wyskakiwać z samochodów prosto pod lufy partyzanckie z których ogień kładł ich gęsto, ale po chwili nadjechały następne samochody od strony Białegostoku. Z nich wysypała się masa Niemców, którzy rozwinęli tyraljerę. Na szczęście nadchodził już zmierzch. Rozbity oddział partyzancki przez parokrotnie przeważające siły wroga rozsypał się w różne strony. Wieczorem ucichł bój, Niemcy zaniechali pościgu. Pozbierali swoich zabitych i rannych i odjechali do Białegostoku. Partyzanci wyszli bez strat z tej walki, stracili zdobycz znajdującą się na wozach z posterunków w Zawadach i Kobylinie.

Nazajutrz rano zajechały całe bataliony Niemców i w okolicach wsi Rzędziany, Pajewo, Radule i Sawino zaczęli obławę, przetrząsali każdy lasek i las, łąki i pola. Ci durnie myśleli, że partyzanci siedzą w miejscu i czekają na swą śmierć.

Mój kolega, Czesław Lenczewski ze wsi Rzędziany, członek NOW, mieszkał na kolonii za wsię i jak zwykle rano wypędził krowy na pastwisko. Zobaczył zbliżającą się tyraljerę niemiecką i zaczął uciekać. Niemcy zastrzelili go, trupa zostawili na polu. Czesław był bardzo dobrym Polakiem, miłym i szczerym kolegą. Bardzo lubianym w towarzystwie, podczas zabaw bawił całe towarzystwo. Posiadał niewyczerpany repertuar ludowych piosenek, które śpiewał do rana bez zmęczenia.

W owym czasie główny dowódca Konfederacji Narodowej i UBK por. "Szablewski" /Bolesław Piasecki/, często kwaterował na kolonii wsi Konopki Leśne u moich dobrych znajomych, państwa Ramotowskich. Była to zamożna rodzina szlachecka, posiadała ładny majątek ziemski, dziewięć włók ziemi uprawnej, łąk i lasu. Mieli dwóch synów: Witolda i Tadeusza /dzisiaj obaj są lekarzami/, wówczas Witek był po maturze, Tadek uczył się w gimnazjum na tajnych semestrach. Pan Ramotowski - Polak z krwi i kości, powszechnie szanowany i znany jako dobry gospodarz i organizator. Przed wojną założył w swoim gospodarstwie doskonałą hodowlę karpí oraz wytwórnię serów. Niemcy odnosili się do takich mądrych gospodarzy raczej z szacunkiem, pomimo, iż był Polakiem. Nie można powiedzieć tego o ruskich władzach, kiedy przyszli w 1939 r. prawie doszczętnie zniszczyli gospodarstwo Ramotowskiego, a on wraz z całą rodziną musiał się ukrywać, aby uniknąć wywózki na Sybir. Teraz podczas okupacji niemieckiej, Ramotowski odrestaurował swoje gospodarstwo. Żandarmi z posterunku w Rutkach Kossakach, odległego od gospodarstwa o 5 km, często przyjeżdżali do Ramotowskich, którzy dla świętego spokoju suto ich karmili i poili.

Gospodarstwo Ramotowskich było usytuowane wśród olbrzymich bagien, ciągnących się pod Wiznę i dalej nad Narew, wzdłuż Biebrzy po lasy Szelańskie, aż do Rajgrodu w okolicy Grajewa. Tereny były niedostępne dla różnego rodzaju pojazdów mechanicznych, nawet piechur, jeśli nie znał tych zarośli i trzęsawisk, nie mógł przejść bezpiecznie. Od strony wschodniej gospodarstwa położona była wieś Jawory i biegła szosa z Mężenina do Strękowej Góry. Tereny te były twierdzą dla partyzantów.

Por. "Szablewski" przesiadywał ze swoimi partyzantami po kilka dni u Ramotowskich. W czerwcu zdarzył się przykry wypadek, por. "Szablewski" z dużym oddziałem partyzantów rozkwatował się w stodołach Ramotowskiego, po śniadaniu partyzanci spali spokojnie, czuwała tylko warta złożona z trzech ludzi. Koło obiadu, wartownicy zauważyli, że szosą od strony Mężenina jadą kilkoma wozami konnymi żandarmi. "Szablewski" zarządził alarm bojowy, cały oddział ^{stał} z bronią gotową do strzału. Pan Ramotowski odważny i przytomny, zachował w tym momencie zimną krew. Wpadł do stodoły i doradził "Szablewskiemu", aby zaniechał walki, zaproponował, aby partyzanci zachowali spokój ukryci w stodołach, tak długo, dopóki Niemcy nie zaczną sami szperać i sami nie wlażą im pod lufy. Uważał, że żandarmi jadą po prostu najesć się i napić, jak to często bywało. "Szablewski", nie chcąc zdekonspirować i stracić dogodnej kwatery dał partyzantom rozkaz z sugestią Ramotowskiego. Po owili pięć wozów wyładowanych żołdakami niemieckimi wjechało na podwórko. Był wśród nich amts komisarz z Rutek. Ramotowski, jakby nigdy nie ładnie poprosił nieproszonych "gości" do mieszkania. Pani Jadwiga Ramotowska wraz z synami i służbą szybko ustawiła stoły, na nich niebawem znalazł się samogon i dobra zakąska. Niemcy, po godzinnej libacji szykowali się do odjazdu, ponieważ pan Ramotowski udał, że ma pilną sprawę do załatwienia w Rutkach Kossakach. Komisarz w dowód wdzięczności za wystawne przyjęcie zaproponował mu miejsce w swojej bryczce. Po chwili cała zgraja siedziała na wozach i ruszyła w stronę szosy. Partyzanci z ulgą opuszczali lufy wycelowane przez strzeliwy stodoł. Zimna krew i zdecydowanie pana Ramotowskiego jeszcze na lata uratowały kwaterę od dekonspiracji i zagłady. Później i ja będę dziesiątki razy korzystał z niej, co prawda już nie w stodołach, bo te zostaną rozebrane, a gospodarstwo zniszczone przez Armię Czerwoną podczas frontu, który będzie tu stał, przez kilka miesięcy.

Po rozbiciu posterunków żandarmerii w Zawadach i Kobylinie, mężczyźni nie spali w domach. Miejscowi d-cy AK-NOW wydali rozkaz swym członkom mieć się na baczności, żeby nie dać się zaskoczyć przez Niemców.

W pierwszych dniach lipca 1943 r. w lesie na Łysej

Górze, kilka kilometrów od Zawad, żandarmi przypędzili sześciu mężczyzn ze Strenkowej Góry i kazali im wykopać dół. Oświadczyli przy tym, że dół ten jest potrzebny na umieszczenie tam zbiornika na benzynę.

Mijał trzeci tydzień od napadu partyzantów na posterunek w Zawadach i Kobylinie. Ludność doszła do wniosku, że Niemcy poniechali odwetu, życie zaczynało powoli wracać do normy.

Noc z 12 na 13 lipca 1943 r. - trzy tyraliery niemieckie opasały Zawady. W czasie otaczania w Zawadach tej nocy był patrol AK-NOW z "Kmicicem" na czele. Stróżujący tej nocy Stefan Wilczewski zauważył pierwszy Niemców, ostrzegł "Kmicica", który z patrolem niezauważony przez Niemców wycofał się za Zawady. Wilczewski zaczął budzić sąsiadów aby uciekali. Dużo osób rzuciło się do ucieczki. Posypały się strzały. Zabito Stanisława Frenca i zraniono kilka osób. Złapali Stanisława Wilczewskiego zaczęli go bić, kopać, upadł na ziemię i został zabity. Zastrzelili Szymona Bartnickiego, który po złapaniu próbował uciec. Nono spędzili Niemcy całą ludność Zawad na szosę, gdzie stały samochody. Tu gestapowiec wyczytał z listy dwadzieścia osiem nazwisk i kazał im odejść na prawą stronę. Trzech wyczytanych nie było, zabrano dwadzieścia pięciu. Wpędzono wszystkich wyczytanych do specjalnego samochodu zwanego "czarnym krukiem". Zatrzaśnięto stalowe drzwi. Samochód ten w asyście innych ruszył w kierunku Łysej Góry. Kolumna zatrzymała się w lesie na Łysej Górze, gdzie był przed paroma dniami wykopany dół. Pętla tyraliery otoczyła miejsce kaźni. Otworzono drzwi samochodu - komory gazowej. Buchnął kłęb dymu. Wielu już nie żyło. Zastrzelili oprawcy wszystkich i wrzucili do dołu.

Niemcy zamordowali tego dnia:

Bolesława Wilfińskiego z żoną i trojgiem dzieci, Wacława Jankowskiego z żoną i sześciorgiem dzieci, Antoniegó Sikorskiego z żoną i trojgiem dzieci, Jana Traksę, Wacława Remiszewskiego, Aleksandra Baranowskiego, Stanisława Dawidkę, Stanisława Kozłowskiego, Lucjana Wiśniewskiego, Wacława Dzięczka i Henryka Ckułę.

Ten ostatni pochodził ze wsi Opuchowo i zupełnie przypadkowo tej nocy znalazł się w Zawadach. Miał przy sobie rewolwer, rosyjski nagan. Kiedy został złapany przez Niemców, nie był rewidowany, gdy go pędzili do miejsca zbiórki wraz z innymi osobami wyrzucił rewolwer w pokrzywy. Niemcy tego nie zauważyli. Zabrakło mu odwagi, aby przed własną śmiercią zgładzić któregoś z oprawców i samemu zginąć po bohaterku z bronią w ręku.

Po dokonanym mordzie na mieszkańcach Zawad, ułożono pieśń o tym tragicznym wydarzeniu:

Trzynastego lipca gdy jutrznia świeciła,
Zorza się purpurą na wschodzie okryła,
Jeszcze było szaro, ludzie się budzili
Gestapowcy Zawady w koło okrzykli.

I wszystkich mieszkańców na rynek zegnali
Tam na klasy ludzi oni sortowali,
Jak rzeźnik do rzeźni sortuje zwierzęta
O tej strasznej chwili każdy z nas pamięta.

Powiozło ich gestapo tam w stronę Strękowa
Bo na Łysej Górze mogiła gotowa,
Była tam od dawna już przygotowana,
Na żywe ofiary czekała od rana.

I śpią tam snem wiecznym bez żadnej winy
Wilińskich, Jankowskich, Sikorskich rodziny
Tam wymordowano bez żadnej przyczyny
Nawet małe dzieci, kobiety, dziewczyny.

I śpią snem wiecznym mieszkańcy tej wioski,
Wiśniewski, Okuła, Dawidko, Wilozewski, Traks
i Baranowski

Remiszewskiego i Kozłowskiego też tam pochowali
I wspólną mogiłę wszystkim usypali.

Ziemia wasze ciała do snu utuliła
Tam na Łysej Górze jest wasza mogiła
Ziemia was przyjęła śpijcie w jej głębinie,
Ale pamięć o was na wieki nie zginie.

Trzynasty lipca 1943 roku był dniem tragicznym nie tylko dla mieszkańców Zawad. W tym samym czasie, gdy pętle hitlerowskiej tyraliery zaciskały się wokół Zawad, druga kolumna samochodów zatrzymała się koło Strenkowej Góry. Stąd poszły tyraliery otaczać wieś Laskowiec. W ten sam sposób co i w Zawadach spędzono wszystkich mieszkańców, potem z listy odczytano nazwiska ośmiu rodzin, oddzielono ich od pozostałych i tłukano kolbami karabinów popędzono do samochodu "czarny kruk". Po chwili zatrzasnęły się hermetyczne drzwi komory gazowej. Samochód i eskorta odjechały w stronę lasu na Łysej Górze. Stłumiony krzyk i modlitwy zagłuszały wkrótce rzęzenia duszących się. Wśród skazańców był gospodarz z Laskowca Franciszek Duchnowski, były żołnierz wojska polskiego, który znał działanie gazów z wykładów w wojsku. Gdy komora gazowa ruszyła a gazy spalinowe poczęły uchodzić z silnika do wnętrza budy, Duchnowski szybko zwilżył chusteczkę od nosa moczem, przyłożył ją szczel-

nie do ust i nosa. Starał się oddychać rzadko. Gdy samochód zatrzymał się nad dołem i otwarto komorę gazową, buchnęły z niej spaliny, oprawcy zaczęli wyciągać specjalnymi hakami zacadzonych skazanców. Ciągnięto ich w dół i zabijano. Franciszek Duchnowski był przytomny mniej narykał się spalin dzięki chusteczce, udawał nieprzytomnego. Gdy dwóch żandarmów zaczęło go ciągnąć do dołu, wtedy wyszarpnął się z łap oprawców i skoczył w pobliski gęsty las.

Sypnęły się serie kul, które podziurawiły mu marynarkę, spodnie i czapkę. Duchnowski ciągle uciekał, żywy i nawet nie zadraśnięty przez wrogie kule. W końcu poczuł, że traci przytomność, upadł na mchu, serce rozsadało mu pierś, a krew pulsująca skronie. Był już daleko w lesie, oprawcy zgubili trop, a więc mógł czuć się względnie bezpieczny. Ukląkł i pomodlił się za szczęśliwe ocalenie, a właściwie za cud którego doznał. Na jego oczach zamordowali oprawcy żonę i córeczkę. Długo ukrywał się po lasach i moczarach, żywiąc się jagodami i korzonkami oraz grzybami. Bał się ludzi wszystkich nie tylko Niemców. Mówiono, że dostał pomieszania zmysłów. Dopiero jesienią wrócił do wsi i stał się normalnym człowiekiem, o ile można po takim przeżyciu być normalnym.

W tym dniu powalono do tego samego dołu co i Zawadziaków rodziny z Laskowca:

Franciszka Duchnowskiego, Bolesława Supińskiego, Jana Mocarckiego i Aleksandra Dąbrowskiego.

Tego samego dnia Niemcy dokonali mordu na wsi Sikory Tomkowięta. Jak już pisałem w dniu 15 czerwca 1943 r. podczas walki na posterunku w Zawadach został zabity sołtys wsi Sikory Tomkowięta Szczepan Dąbrowski. Dopiero później okazało się, że ten łotr współpracując z Niemcami składał im różne donosy na mieszkańców swojej wsi, donosił Niemcom, że jego wieś jest oporna w wywiązywaniu się z kontyngentów, wnosił o przykładowe ukaranie wszystkich.

Niemcy otoczyli wieś, zegnali wszystkich mieszkańców pod zabudowania Franciszka Grabowskiego, tu na oczach spędzonych ofiar wykopano duży dół, sprawdzili listę obecności wszystkich rodzin, po czym wzywano wg listy rodzinę po rodzinie i zabijano nad dołem. Tego dnia rozstrzelano w Sikorach Tomkowięta rodziny: Franciszka Piszczałowskiego, Pawła Piszczałowskiego, Stanisława Mężefskiego, Franciszka Sikorskiego, Stanisława Sikorskiego, Jana Grabowskiego, Franciszka Garbowskiego, Wojciecha Sikorskiego i trzech obcych ludzi, którzy byli tej nocy we wsi. Razem zamordowano czterdzieści dziewięć osób w tym czternaścioro dzieci.

Ekzekucji i unicestwieniu wsi Sikory Tomkowięta przyglądał się landrat z Łomży - Graeben. Przybył tu specjalnie by zobaczyć, jak teutoński

miecz karze krnąbrnych Polaków. On to kazał przed spaleniem budynków doszczętnie ograbić wieś, nawet zabrać ubrania i bieliznę rozstrzelanych.

Kiedy już spłonęły wszystkie zabudowania, spędzono chłopów z okolicznych wsi i kazano im wyciąć drzewa owocowe, zasypać studnie i piwnice, zaorać miejsce gdzie jeszcze rankiem tego dnia stała wieś Sikory Tomkowięta.

17 lipca 1943 r. ci sami zbrodniarze wymordowali dwieście pięćdziesiąt siedem osób we wsi Krassowo Cząstki w powiecie Wysokie Mazowieckie. Kaci odebrali życie przeważnie dla dzieci, i kobiet. Większość mężczyzn zdążyło uciec w zboża i do sąsiednich wsi. Wieś była położona daleko od lasów na uboczu głównych szlaków kolejowych i drogowych. Barbarzyńcy niemieccy po wymordowaniu mieszkańców, w ten sam sposób co Sikory Tomkowięta zrabowali całe mienie, później spalili domy i zabudowania gospodarcze. Pola zgładzonej wsi zaorano i utworzyli folwark na którym przymusowo kazali pracować ludności okolicznych wsi. Szykowali ten folwark dla jakiejś zasłużonej dla Rzeszy i Hitlera osobistości.

Mordu tego dokonali Niemcy w odwecie za klęskę poniesioną przez żandarmów i esesmanów w walce jaka rozegrała się na polach w odległość około dwa kilometry od wsi, w dniu 13 lipca 1943 r. pomiędzy watahą żandarmów i oddziałem partyzanckim AK w sile trzydziestu partyzantów na których przypadkowo po prostu natknęli się żandarmi z Wysokiego Mazowiecka.

A jak wyglądała bitwa i przebieg jej:

Z relacji moich kolegów, członków ZWZ później PZP-AK "Lisa" /Tadeusza Gołaszewskiego/, "Kucharza" /Marian Gołaszewski/ i "Kondora" /Wacława Grabowskiego/, którzy brali ^{udział} w tej walce, dowiedziałem się iż 13 lipca 1943 r. oddział Komendy Dywersji AK, obwo-
du Wysokie Mazowieckie pod dowództwem por. "Karasia" /Tadeusza Westfala/ w sile trzydziestu partyzantów, przeważnie podchorążych po szkole konspiracyjnej, nad ranem tego dnia przybył na kwatery na kolonję odległą od wsi Krassowo Cząstki ponad kilometr. Po wschodzie słońca partyzanci zostali zaalarmowani strzałami i krzykami ludzi dochodzącymi z kolonii położonej niedaleko od kwatery oddziału. Jeden z partyzantów wszedł na strych domu i przez lotnetkę ujrzął watahę około piętnastu żandarmów buszującą w sąsiedniej chłopskiej zagrodzie. Żandarmi dokonywali aresztowań i szykowali się do odjazdu. Partyzanci postanowili odbić aresztowanych gospodarzy. Dowódca por. "Karasia" akurat nie było na kwaterze, odjechał w sprawach służbowych, zastępca dowódcy odmówił wzięcia udziału w akcji. Podchorążowie natychmiast sami wybrali dowódcę podchor. "Oliwa" /Zygmunta Stokowskiego/, który natychmiast podzielił oddział na trzy sekcje. Jedna sekcja pod dowództwem "Kondora"

/Wacław Grabowski/ miała uderzyć od tyłu na żandarmów idących za wozami i ubezpieczających całą watahę, dwie pozostałe sekcje zajęły stanowiska w zbożu wzdłuż drogi wysadzonej grubymi topolami i lipami, którą żandarmi już jechali. Gdy wozy z żandarmami wyrównały się z linią tyraliery partyzanckiej, wówczas d-ca pchor. "Oliwa" dał znak strzałem z pistoletu do otwarcia ognia. Gruchnęło na raz: trzy erkamy, osiem peemów, trzy karabiny automatyczne niemieckie i kilka rzuconych przez partyzantów granatów. Lawina ognia w ciągu paru minut położyła większość żandarmów trupem, pozostałych pięciu przy życiu poddało się. Partyzanci narazie nie ponieśli żadnych strat. Szybko poczęli zbierać niemiecką broń i amunicję oraz co lepsze i mniej pokrwawione mundury. Zebranie tej zdobyczy zajęło trochę czasu, trupy żandarmów leżały na drodze i w zbożu.

W pewnym momencie partyzanci zobaczyli, że z przeciwnej strony zbliża się w ich kierunku liczna tyraliera niemiecka z samochodem. Po błyskawicznej naradzie postanowili przyjąć walkę z wrogiem. Zajęli stanowiska w zbożu, znów przy tej samej drodze i skryci czekali aż Niemcy zbliżą się na dogodną odległość. Kilku partyzantów przebrało się w mundury żandarmów. Niemcy zbliżali się szybko, nic nie wiedzieli jaki los spotkał ich kamratów. Gdy zbliżyli się na dogodną odległość, partyzanci znów przywitani ich huraganowym ogniem swej broni. Niemcy pewien czas byli zdezorjentowani i nie strzelali do partyzantów, dopiero gdy padło z nich kilku trupem, ruszyli z furją do ataku, ostro nacierali i w końcu zbliżyli się bardzo blisko do stanowisk partyzanckich. Strzelanie jednym do drugiego odbywało się z odległości zaledwie kilku metrów, wysokie zboże było jedyną osłoną przeciwników. Partyzanci widząc przewagę wroga i kończące się zapasy amunicji i granatów oraz uporczywe nacieranie wroga pomimo ponoszonych przez niego strat, zaczęli się wycofywać. Niemcy jeszcze bardziej nacierali, aż wyparli partyzantów na rozległe błota nad rzeką Nurzec. Partyzanci wycofali się w kierunku lasu Wyliny-Ruś. W pewnym momencie atak niemiecki zatrzymał się w miejscu pobojowiska gdzie leżały trupy żandarmów, widocznie widok pobitych kamratów przeraził nacierających, gdyż zajęli stanowiska i z tych pozycji prowadzili nekający ogień. Partyzanci mieli już trzech zabitych i niesli ze sobą trzech zabitych rannych kolegów w dalszym ciągu niesli zdobyczną broń to im utrudniało walkę i wycofywanie się. W końcu przekroczyli w pław rzekę Nurzec i wpadli do zbawczego lasu. W tym momencie zobaczyli na szosie przebiegającej wzdłuż lasu, kolumnę samochodów z posiłkami dla Niemców, które zatoczyły pierścień, okrążając pole walki. Partyzantów już na polach nie było, odpoczywali w dużym lesie robiąc bilans strat. Zabici zostali podczas tej walki - partyzanci:

"Papiński" ze wsi Racibory, "Zawisza" i "Skarżyński" ze wsi Dąbrowa Wielka. Ranni byli "Oliwa", "Dzik" i "Młotek". Większość partyzantów miała podziurawione mundury i lekkie zadraśnięcia od kul i odłamków granatów. Straty wroga 14-tu zabitych żandarmów i kilku esesmanów poza tym kilkunastu esesmanów zostało rannych. Niemcy swoich zabitych załadowali na samochody i powieźli do Białegostoku, rannych zawieźli do szpitala w Wysokiem Mazowieckiem. Na drugi dzień po bitwie Niemcy w swoim biuletynie informacyjnym dla żandarmerii podali, że na terenie województwa białostockiego grasuje groźna banda w sile około dwustu ludzi, dobrze uzbrojona i wyszkolona.

W parę dni po masakrze mieszkańców Zawad, Łaskowca i unicestwieniu Sikor Tomkowiąt i Krassowa Częstek, gestapo białostockie rozplakatowało we wszystkich miastach i wsiach ogłoszenia w których podano w pełnych grozy słowach te ponure zbrodnie, nazywając ten ponury mord "środkiem zaradczym dla osiągnięcia spokoju w okręgu białostockim". Tak rozpoczął swoje rządy w Bezirk Białystok obersturbaunführer Herbert Zimmerman, szef Gestapo tego okręgu.

Pod koniec lipca 1943 r. spałem w lesie z kolegą Stanisławem Chibowskim. Obok stały nasze narzędzia do podzenia wódki. W piecu pod kotłem żarzyły się węgle niedopalonego drzewa. Tego dnia do późnej nocy pędziliśmy wódkę. Około godz. 24⁰⁰ ciszę nocną przerwała strzelanina z broni ręcznej i maszynowej, wybuchy granatów, dochodzące od strony Jezewa. Nie ulegało wątpliwości, że jest to potyczka. Strzały ucichły po paru minutach i znów nastała cisza, przerywana rechotem żab w pobliskiej parowie. Minęło może dwie godziny, kiedy zaniepokoiły nas szmery i trzask łama-nych patyków w pobliżu szałasów. Wyglądało na to, że zbliża się grupa ludzi. Wskoczyliśmy z szałasów, chwyciliśmy za ukryte karabiny i granaty, zajęliśmy dogodne stanowiska do obrony. Nieznani osobnicy zatrzymali się, widocznie nasłuchiwali. Nagle usłyszałem cichy jęk i wyraźną polską mowę. Nie było wątpliwości, że są to Polacy. Zapytałem "stój, kto idzie?" chwila ciszy i odezwał się głos "kto pyta?". Zagroziłem, że będę strzelać, jeśli nie odpowiedzą. Pojedynczy głos odpowiedział "my Polacy, polscy partyzanci, mamy rannych ze sobą". Pomimo ciemności uważałem po przejściu kilku kroków mężczyznę z wymierzonym w naszą stronę automatem. Zbliżaliśmy się do siebie zachowując ostrożność, wreszcie nieznajomy opuścił lufę automatu i poprosił o pomoc w opatrzaniu rannych. Podał mi rękę przedstawiając się jako kpr. pchor. "Zawisza" z oddziału UBK por. "Konrada" - Konfederacji Narodowej. Ubrany był w polski mundur, czarny beret z orzełkiem, rewolwer "Wis" w kaburze, trzy obronne granaty za pasem, w ręku trzymał automat PPD. Za nim pięciu partyzantów niosło szóstego, który był ranny. Prosił o wodę. Zapaliłem naftową lampę, rannego ułożyliśmy na kocach i kozuchach. Twarz miał zalaną krwią, ot-

nos. Bok miał rozszarpany odłamkiem granatu. Drugi z partyzantów był
lżej ranny, kula karabinowa rozszarpała mu kark. Rany szybko przemyliśmy
wódka, piekło straszliwie biednych chłopców, ale był to jedyny aktu-
alnie dostępny środek przeciw zakażeniu. Stracili masę krwi, zwłasz-
cza ten pierwszy, koledzy po drodze bandażowali rany jak mogli, ale
skutek był mizerny. Po paru minutach ranni byli opatrzeni. Przybysze
pokłękali w naszym szataście i pół głosem odmawiali "Wieczne odpocznie-
nie racz im dać Panie, a światło wiekuiste niech mu świeci na wieki
wieków - amen", modlili się za duszą swego dowódcy por. "Konrada",
który przed dwoma godzinami został zabity.

Oddział UBK por. "Konrada" maszerował z lasu
Jeżewskiego do Stelmachowskiego. W majątku Stelmachowo stacjonował
pluton SS, przybyły z frontu wschodniego na wypoczynek, a jednocześnie
pełniący ochronę dużego folwarku administrowanego przez Niemców.
Esesmani co noc włóczyli się po okolicy i urządzali zasadzki na partyzant-
tów. Przypadek zrzucił, że tego wieczora oddział UBK natknął się na
tą uzbrojoną po zęby watahę. Niemcy podpuścili szpicę oddziału pod same
lufy automatów i erkaemów, otworzyli huraganowy ogień z bardzo bliskiej
odległości. Por. "Konrad" szedł w pierwszej trójce, padł rażony śmier-
telnie od pierwszych serii, nie zdążył wydać żadnych rozkazów. Kilku
bardzo opanowanych partyzantów, zajęło natychmiast stanowiska, otwie-
rając ogień z erkaemu i dwóch automatów, dwóch innych błyskawicznie
odbezpieczyło granaty i rzucili. Esesmani po wybuchu granatów na
chwilę przerwali ogień i chyba dostali pietra, gdyż partyzanci zabrali
rannych i wynieśli zabitego dowódcę. Widząc, że dowódca nie żyje, zab-
rali jego broń i torbę oficerską, a ciało zostawili. Gdy Niemcy ochło-
neli, wszczęli znów kanonadę, ale partyzanci zdążyli już odskoczyć
i dalej ostrzeliwując się wycofali w dwóch grupach. Większość przedar-
ła się do lasu Stelmachowskiego, sześciu z dwoma rannymi natknęło się
na naszą "gorzelnię".

Rano całe watahy gestapo, żandarmerii i esesmanów
zjechały z Białegostoku, przetrząsnęli miejsce potyczki, splądrowali
las Stelmachowski i Jeżewski. Długo oglądali i fotografowali ciało
por. "Konrada", następnie zdjęli i spalili jego mundur, a zwłoki głą-
boko zakopali. Po paru dniach zostały odkopane i złożone do trumny, a
rodzina dyskretnie pochowała swego syna i brata na cmentarzu w Rutkach
Kossakach.

Por. "konrad" pochodził ze wsi Zalesie gm. Rutki Kossaki, nazywał się
Kazimierz Krajewski. Rwał się do walki podobnie jak większość młodych
Polaków. Ukrywał się już za czasów okupacji sowieckiej. Gdy tylko po-
kazany się zbrojne oddziały UBK por. "Szablewskiego" na Białostoczczyz-

nie, porzucił szeregi NOW i wstąpił do nich. Był dzielny i odważnym partyzantem. W miejscu gdzie zginął śmiercią partyzanta, przechodząc widziałem świeże kwiaty. Do dnia dzisiejszego na usypanej mogile w lesie przy szosie biegnącej z Jeżewa do Tykocina stoi brzozy krzyż.

Partyzanci spędzili czas do rana w naszym szalasiu. W dzień zawiadomieniem Józefa Pogorzelskiego i Adolfa Gąssowskiego, którzy sprowadzili lekarza. Lekarz opatrzył rany, dał lekarstwa i udzielił porad, jak leczyć rany dalej. Rany goiły się szybko, koledzy odpoczywali, staraliśmy się o ile to tylko było możliwe, zaopatrzyć ich w żywność, czystą bieliznę i papierosy. Zdażyliśmy się zaprzyjaźnić, najbardziej przypadł mi do serca Zbyszek Błaszczuk, pochodził z Łap, jedyny syn znanej nauczycielki, on był najciężej ranny, martwił się o swój mocno zniekształcony nos. Patrzył w lustro i biadolił: "ach ty mój kulfonie, co z ciebie zrobili te szkopy".

Po kilku dniach odpoczynku i kuracji kapral pchor. "Zawisza" pożegnał nas i odmaszerował z czterema partyzantami na koncentrację oddziałów UBK, która odbyła się za rzeką Narwią w okolicy wsi Zajki. Na koncentrację przybył ze swym świetnie uzbrojonym i wyszkolonym oddziałem wódz KN por. "Szablewski". Podczas narad powzięto decyzję dokonania odwetu na Niemcach za morderstwa dokonane na Białostocczyźnie w ich własnym gnieździe - Prusach Wschodnich.

Wydzielono z koncentracji trzy oddziały, które w sile ponad dwustu partyzantów pomaszerowały w kierunku Prus Wschodnich. Jeden z trzech oddziałów UBK pod dowództwem ppor. "Szczęsnego", 16 sierpnia 1943 r. przekroczył granicę na północ od Myszynca i w rejonie Johannisberga wyrzynał całą wieś niemiecką - Mittelheide. Ppor. "Szczęsny" po akcji odskoczył tylko siedem kilometrów od miejsca wypadku. Z dala od lasu przeczekał obławę w samotnej kolonii chłopca-Mazura pochodzenia polskiego. Po trzech dniach bazowania w chłopskiej zagrodzie, gdy niemieckie obławy wróciły do swych baz z pustymi łapami, spokojnie oddział ppor. "Szczęsnego" przemaszerował znów na Białostocczyznę.

Inne oddziały UBK, które brały odwet na Prusach Wschodnich, dokonały również poważnych akcji: zabito kilka osobistości niemieckich, zarekwirowano kilkadziesiąt sztuk koni i wozów w majątkach niemieckich. Z całym łupem szczęśliwie, bez strat powróciły do swoich baz.

Nie powiodło się UBK pod dow. por. Ryszarda Reiffa "Jacks", oddział ten podczas koncentracji otrzymał zadanie przedostania się przez powiat grajewski aż na Litwę. Po kilku forsownych nocnych marszach oddział w sile około stu partyzantów dotarł do granicy i szczęśliwie przekroczył ją. Na Litwie przeprowadzono wiele udanych akcji na wrogach. Lecz chyba zbyt

Śmiało i długo por "Jacek" upokarzał wrogów na Litwie. Niemcy zdążyli zmobilizować duże siły, oddział UBK znalazł się w krytycznej sytuacji. Tocząc ciągłe walki cofał się do Puszczy Augustowskiej. Tam znów dopadli go Niemcy, walka trwała kilka godzin. Nacharatali nasi chłopcy masę szkopów, ale również wielu zginęło partyzantów. Rozbity oddział UBK małymi grupami przebijając się z okrażeń. Jedną z tych grup pod dowództwem samego "Jacka" unosząc czterech rannych, forsownym marszem dotarła do wsi Grzędy. Wieś leżała w dolinie rzek: Biebrzy, Błk i Jęgrzni, w pobliżu Kanałów Augustowskiego i Woznawiejskiego. Miejsce wymarzone dla partyzantów, dookoła rozciągały się nieprzebyte moczary, bagna, trzęsawiska i lasy. Niemcy prawie nigdy tu nie docierali. Większość mieszkańców wsi Grzędy należała do AK. Oddział "Jacka" spokojnie spędził kilka dni w stogach siana, a potem łącznicy AK przeprowadzili do innej bazy partyzanckiej. Znalazł się i tu szpicel, który doniósł Niemcom o pobycie oddziału partyzanckiego. Przyjechały te same watahy Niemców z Białegostoku, Augustowa i Suwałk. Otoczono wieś, wybito mieszkańców, zabudowania gospodarcze i mieszkalne spalono doszczętnie.

Komendant okręgu białostockiego AK "Mścisław" uznał, iż zbyt wielkie ofiary ponosi polska ludność cywilna w porównaniu do strat wroga, który mści się na niewinnych ludziach. Wobec tego wezwał słownodowodzącego KN - UEK por. "Szablewskiego" i wydał mu rozkaz zaprzestania działań zaczepnych na terenie Białostoczczyzny. Oddziały zbrojne narazie zdemobilizować i zakonspirować, albo przerzucić je na wschodnie okęgi AK.

"Szablewski" rozkaz wykonał, część oddziałów zdemobilizował z innymi pomaszzerował na wschód. Swoją oddział przyboczny w sile około 150 partyzantów poprowadził sam osobiście na Wileńszczyznę i tam pod rozkazami komendanta okręgu wileńskiego AK płk "Wilka" /Krzyżanowskiego/, walczył do czasu akcji "Durza" i wyzwolenia Wilna przez AK. Po czym został aresztowany przez Armię Czerwoną.

Drugi oddział UBK w sile 72 partyzantów dobrze uzbrojonych pod dowództwem ppor. "Szczęsnego" poszedł na okręg nowogródzki i tam podporządkował się ppłk "Prawdziowi" - komendantowi okręgu nowogródzkiego AK.

Kilka oddziałów UBK zostało rozwiązanych. Partyzanci z tych oddziałów przeszli do pracy konspiracyjnej na siatce. Większość wstąpiła w dawne szeregi NOW - AK, nawiązała współpracę z działaczami SN. Na terenie gminy Rutki Kossaki i Zawady cała siatka KN z d-ca batalionu "Jaw" /Wacław Maliszewski/ podporządkowała się NOW - AK.

W gminie Tykocin KN miała też liczna siatka konspiracyjna, która z por. "Tytanem" /Tadeusz Gassowski/, pochodzącym ze wsi

Bagienki, podporządkował się rozkazom NOW - AK.

Zorganizowane oddziały partyzanckie KN - UBK przez Bolesława Piaseckiego - "Szablewskiego", tego chyba jednego z najmłodszych Narodowców - polityków, rekrutowały się przeważnie z członków Stronnictwa Narodowego, elementu na wskroś patriotycznego i bez reszty oddanego ojczyźnie. Sam Piasecki od początku znajdował się w szeregach swoich oddziałów walczących w polu, on głowy nie chował i to czyniło go bliskim wśród jego żołnierzy. Długa i piękna była droga tych oddziałów, bo z Warszawy przez Białostoczczyznę, Nowogródcczyznę do Wilna. Maszerowały w ciągłych walkach i potyczkach. Ich trasy partyzanckie znaczone były mogiłami własnymi i wroga.

Kurhany mogił żołnierzy UBK wchodzących w skład AK można spotkać na Białostoczczyźnie w wielu miejscowościach i okolicznych lasach. We wsi Garbowo Stare, gm. Kobylin znajduje się zbiorowa mogiła oddziału KN-UBK w której spoczywa dwudziestu dwóch młodych Polaków. Koło wsi Pawły w powiecie Bielsk Podlaski, spoczywa prawie cały oddział por. "Radeckiego" /Stanisław Pieciul/. Leżą w tym kurhanie ciała dwudziestu pięciu żołnierzy AK - bohaterów, którzy kazali drogo zapłacić za swoje młode życie. Padło tam około osiemdziesięciu żandarmerów i gestapowców, a około sześćdziesięciu było rannych. Z całego oddziału partyzanckiego UBK uratowało się tylko trzech partyzantów. Walka rozegrała się w dniu 11 czerwca 1943 r.

Poza tym dużo jest mogił rozsianych po lasach, w Puszczech Białowieskiej i Knyszyńskiej oraz Myszynieckiej, Augustowskiej i Grodzieńskiej.

W roku 1943 wiadomości od naszego rządu w Londynie nie były pocieszające. Po opuszczeniu Rosji przez wojsko polskie, dalszy zaciąg do polskiej armii został przez Sowietów wstrzymany. Rosjanie zaczęli tworzyć tak zwany Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Znaleźli się w tym związku ludzie o których nikt i nigdy z nas nie słyszał. Rząd Sowiecki szukał pretekstu do zerwania stosunków z rządem Sikorskiego w Londynie.

Rozgłoszenie niemieckie doniosły 13 kwietnia 1943 r. o odkryciu dokonanym w Katyniu na obszarach rosyjskich zajętych przez wojska niemieckie:

"Na podstawie wskazań okolicznej ludności cywilnej spod Smoleńska, niemieckie władze wojskowe odkryły pod Kozimi Górami /koło Katynia/ masowe groby oficerów polskich...

W odkrytym grobie, o wymiarach 28 x 16 m. leżały zwłoki w dwunastu warstwach twarzami w dół, ręce związane do tyłu, w pełnym umundurowaniu... Na podstawie dochodzeń prowadzonych przez wojskowe władze niemieckie wśród tamtejszej ludności cywilnej, stwierdzono, że oficerowie ci prze-

wiezieni zostali z obozów jeńców i obozów internowanych transportami kolejowymi... Z obdukcji zwłok wynika, że każdy z oficerów został zas-trzelony strzałem rewolwerowym w tył czaszki..."

Wiadomość powyższa zelektryzowała wszystkich Polaków na Białostocczyźnie. W gazetach niemieckich wydawanych w Białymstoku w języku polskim obszernie udokumentowano ten potworny mord, Niemcy umieszczali zdjęcia z ekshumacji zwłok. Wozili do Katynia przedstawicieli inteligencji i duchowieństwa polskiego, celem obejrzenia i przekonania się na miejscu o straszliwym mordzie. W szeregach AK nastąpiło ogromne wrzenie. Wszyscy żołnierze NCW - AK domagali się wyjaśnień, kto tej zbrodni dokonał.

15 kwietnia 1943 r. rząd sowiecki wydał komunikat radiowy:

" w ciągu ubiegłych dwóch, tak trzech dni oszczercy Goebbelsa rozpowszechniali podłe wymysły utrzymując, iż władze sowieckie dokonały masowego rozstrzelania polskich oficerów wiosną 1940 r. w okolicy Smoleńska. Wymyślając tę potworność, szubrawcy niemiecko-faszystowscy nie wahają się przed najbardziej bezwstydnymi i nikczamnymi kłamstwami, starając się pokryć zbrodnie, które jak to obecnie stało się oczywiste, dokonane były przez ich samych. Niemiecko - faszystowskie doniesienia w tej sprawie nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tragicznego losu byłych polskich jeńców wojennych, którzy byli zatrudnieni na robotach budowlanych w roku 1941 w okolicach na zachód od Smoleńska i którzy wraz z wieloma poddanymi sowieckimi, zamieszkałymi w okolicach Smoleńska wpadli w ręce oprawców niemiecko-faszystowskich w lecie 1941 r. po wycofaniu się wojsk sowieckich z okręgu Smoleńska"...

Dwóch niedawnych sprzymierzeńców, którzy chcieli wymazać z map Polskę na wiegda, a naród polski uniczołżić bez reszty, szukali dziś między sobą mordercy. Obrzucając się różnego rodzaju wyzwiskami. Tłumaczenie się sowietów w cytowanym powyżej komunikacie, utwierdziło Polaków w przekonaniu, że tej zbrodni dokonali sowieci. Dlaczego takiej odpowiedzi rząd sowiecki nie udzielił generałom - Sikorskiemu i Andersowi?, gdy konferowali ze Stalinem w Moskwie jesienią 1941 r. Na pytanie wówczas Sikorskiego, gdzie są polscy oficerowie w liczbie około czterech tysięcy - Stalin odpowiedział "to niemożliwe, oni uciekli", Ander zapytał - dokąd mogli uciec? Stalin odpowiedział "no do Mandżurii". Gdyby jeńcy nasi zostali naprawdę zagarnięci przez Niemców latem 1941 r. nie byłoby żadnego powodu do uktywania tego przed Sikorskim i Anderssem.

Rząd polski w Londynie podjął kroki, celem dokładnego zbadania, zwrócił się do Mi. dzynarodowego Czerwonego Krzyża o wysłanie delegacji na miejsce w którym została dokonana zbrodnia.

Rząd sowiecki uznał to za wystarczający powód do zerwania stosunków z Polską. W nocy swej z 25 kwietnia 1943 r., rząd sowiecki oskarżył rząd polski o współ udział z Hitlerem w kampanii antysowieckiej w związku z odnalezieniem zwłok polskich oficerów pod Smoleńskiem.

W niespełna trzy miesiące po smutnych i przygnębiających wiadomościach katyńskich, dowiedzieliśmy się o nowej tragedii: 5 lipca 1943 r. zginął w katastrofie lotniczej nasz Wódz Naczelny gen. Władysław Sikorski.

Ta wiadomością zostaliśmy do głębi poruszeni i przygnębieni. Śmierć tragiczna zabrała nam tego wielkiego Polaka i wodza w najbardziej potrzebnym momencie naszego życia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że żaden z polskich polityków na emigracji nie miał u sojuszników takiego autorytetu jak gen. Sikorski, z którym się liczyły Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, którzy zaciągnęli wobec tego Polaka - polityka swoje zobowiązania dla Polski.

14 lipca 1943 r. powstał nowy rząd polski w Londynie z premierem Stanisławem Mikołajczykiem na czele. Naczelnym wodzem mianowany został gen.br. Kazimierz Sosnkowski.

W grudniu 1943 r. w Teheranie odbyła się konferencja Wielkiej Trójki. Postanowieniem trzech mocarstw sojusznicznych nie były ujawnione. Zaczęły powstawać obawy, że nasi zachodni sprzymierzeńcy czymś tam zahandlowali. Dopiero grubo później dowiedzieliśmy się, że Roosevelt podczas konferencji teherańskiej w przyływie przyjaźni zamieszkał w ambasadzie sowieckiej wraz ze Stalinem i przehandlował zobowiązania powzięte za życia gen. Sikorskiego wobec Polski.

Na froncie wschodnim armia niemiecka przez cały 1943 r. dostawała mocne lanie. Wielkie zwycięstwo Armii Czerwonej pod Stalingradem i Kurskiem stawały się oczywiste, że Niemcy gonią ostatkiem sił.

W Afryce Niemcy dostali też ogromne lanie. Korpus pod dowództwem Rommla w potrzasku opuszczał Afrykę. W październiku 1942 roku rozpoczęta ofensywa przez armię angielską przy dużym udziale wojska polskiego, wyparła Niemców z wielu miejscowości. W maju 1943 r. resztki sławnego korpusu niemieckiego uciekły z Afryki, pozostawiając cały ciężki sprzęt bojowy.

W lipcu 1943 r. wojska amerykańskie i angielskie wylądowały na Sycylii. W połowie sierpnia wojska brytyjskie i amerykańskie wylądowały na kontynencie europejskim we Włoszech. Nastąpiła kapitulacja Włoch, "Oś" rozpadała się z trzaskiem. Ale bestia niemiecka ciągle jeszcze była silna.

Hitler czekał na "cudowną broń", którą groził światu. Terror wroga wzma-

gał się na naszej Ziemi Białostockiej.

Armia Krajowa, a w jej szeregach nasza NOW wzmocniała swe szeregi. Przygotowywaliśmy się coraz lepiej do zbrojnego wystąpienia przeciwko znieprawionemu okupantowi. Karne egzekutywy, które dotychczas działały w małych grupkach zaczęły zwiększać swój stan liczebny. W miarę powiększania się szeregów konspiracyjnych wzrastał terror i przybywało ofiar.

Latem 1943 r. zabity został komendant placówki AK - Kobylin ppor. "Dąb" /Kazimierz Kłoskowski/, rodem ze wsi Garbowo, gm. Kobylin. Na jego miejsce mianowany został "Kabel" /Jan Sikorski/, ze wsi Kapice Lipniki /ten który uciekł z transportu na Sybir/. 19 maja 1943 r. zabita została dzielna łączniczka AK okręgu białostockiego "Jadzia" /Jadwiga Dziekońska/, z zawodu nauczycielka, urodzona we wsi Konarzyce pod Łomżą. Jej miejsce w konspiracji zajęła siostra "Kubusia" "Zosia" /Stefania czartoryjska/.

Pod koniec maja 1943 r. Niemcy otoczyli we wsi Hermany /gm. Tykocin/ członka NOW - Romana Zajkowskiego, który długo bronił się strzelając do żandarmów. Niemcy podpaliли zabudowania, wówczas Zajkowski próbował uciec do pobliskiego lasu. W czasie ucieczki został zastrzelony. Dwóch braci zabitego Niemcy aresztowali w Targoniach i zamordowali w więzieniu łomżyńskim.

Jesienią 1943 r. brat "Kmicica" Mieczysław Babiński, dziewiętnastoletni członek NOW ukrywał się u krewnych we wsi Pławki. Akurat były wykopki ziemniaków, Mieczysław pomagał krewnym na polu obok którego przejeżdżali żandarmi z Rutek. Mietek, gdy ujrzał nadjeżdżające wozy zaczął uciekać. Niemcy zaczęli strzelać, jedna z kul trafiła w pierś i przestrzeliła płuca, rannego dopadli żandarmi, był bez broni, ukląkł i prosił o darowanie życia. Niestety sumienia katów liłości nie znały. Z bliskiej odległości żandarm strzelił z karabinu kłęczącej ofierze w samą skroń, kula przeszła głowę na wylot. Ciało zabitego Niemcy skopali butami. Wsiadli na wozy i odjechali.

Dwa dni później odbył się pogrzeb chłopca w Zawadach. Cała nasza sekcja z Kapic przybyła na pogrzeb kolegi. Podczas nabożeństwa żałobnego przyszedł "Kmicic" w towarzystwie dwóch partyzantów. Ubrani byli w cywilne płaszcze, pod płaszciami mundury, automaty, rewolwery i granaty. Na cmentarzu stał "Kmicic" przy trumnie swego brata blady z zacięniętymi ustami. Kiedy spuszczone trumnę do dołu, w oczach tego twardego człowieka ukazały się łzy. Pod koniec ceremonii pogrzebowej przybiegł członek naszej organizacji z Zawad z wiadomością, że do Zawad przyjechali żandarmi. "Kmicic" spokojnie odciągnął zamek swego automatu, powtórzyli tę czynność przybyli z nim partyzanci, zasalutował zwracając się do wszystkich uczestników pogrzebu. Przeskoczy

parkan okalający cmentarz i poszli przez pole w stronę lasu.

W październiku 1943 r. "Kmicic" wraz z pięcioma partyzantami jechał furmanką w nocy szosą Warszawską. Koło wsi Sikory Piotrkowięta wpadł w zasadzkę zorganizowaną przez żandarmów i Ukraińców z Rutek Kossak. Żandarmi byli dobrze uzbrojeni i poinformowani o mającym nastąpić przejeździe partyzantów, czekali zaczajeni. Kiedy partyzanci nadjechali otworzyli huraganowy ogień. Padł zabity na wozie partyzant "Kazik", miał erkaem sowiecki diachtiarowa, nie zdążył go użyć. "Kmicic" z czterema partyzantami ocaleni po prostu cudem, dzięki ciemnej nocy po zeskokczeniu z wozu do rowu przypadli do ziemi. "Poznania" odbezpieczył granat i rzucił w stronę żandarmów, którzy po wybuchu jak na komendę przerwali ogień. Wówczas partyzanci oderwali się na kilkadziesiąt metrów od szosy. Gdy wataha niemiecko-ukraińska ponownie zaczęła strzelać "Kmicic" ze swoimi partyzantami odpowiedział seriami z broni automatycznej i dalej wycofał się polem w stronę lasu. Pościgu żandarmi nie urządzili, bali się, że partyzanci mogą poprzetrzącać im gnaty, pomimo olbrzymiej przewagi jaką posiadali. Ci pseudo rycerze odważnie gonili i strzelali celnie do bezbronnych, zwłaszcza kobiet i dzieci.

W owym czasie Niemcy nie czuli się u nas bezpiecznie. Wszystkie posterunki żandarmerii wzmocnili Ukraińcami, pod każdym względem gorszymi od Niemców. Ukraińcy znęcali się nad Polakami bez żadnych skrępowań. Niemcy napuszczali ich na ludność polską, mieli w tym swój cel: jeszcze bardziej skłócić dwa narody, niegdyś sprzymierzone i stanowiące razem ogromną siłę, groźną dla Niemiec i Rosji. Rosja sowiecka tak samo jak carska i hitlerowskie Niemcy robiły wszystko i długo jeszcze będą prowadzić krecią robotę, aby powaśnić jeszcze bardziej Ukraińców i Białorusinów z Polakami. Może da Bóg, że kiedyś Ukraińcy i Białorusini zrozumieją, iż niepodległość i samodzielność może im przynieść jedynie polityka wspólnoty z narodem polskim. Tylko poprzez unię te trzy narody mogą w przyszłości stać się potęgą, której będą się bać nasi ościenni zaborcy.

Polacy w historii popełniali nie mało błędów i te błędy zostały z talentem wykorzystane przez Rosję i Niemcy. One mściły teraz na polskiej ludności.

Jesienią 1943 r. Niemcy ponownie założyli posterunki żandarmerii w Zawadach i Kobylinie. Dokonali tym razem dodatkowych zabezpieczeń: założyli kraty i siatki w okna, całość ogrodzili drutem kolczastym. Schrony umocnili grubym murem do wysokości okien. Bramy stale bacznie strzeżono. Załogi posterunków zwiększyli. nigdzie pojedynczy żandarm nie wypuszczał się, jechała zawsze cała wa-

taha. Widać było, że lękają się własnego cienia.

W każdą niedzielę chodziliśmy do kościoła w Zawadach. Do Zawad mieliśmy bliżej niż do Kobylina. Proboszcz kś. Zaręba wygłaszał dwunaczne kazania płomienne, przekonywające i patriotyczne, zachęcał do modlitw w intencji ojczyzny. Na zakończenie nabożeństwa, aż kościół drżał w posadach jak wierni śpiewali: "Boże coś Polskę..." i "Ojczyźnie wolność, racz wrócić, Panie..."

Nasi dawni nauczyciele ci którym zawdzięczaliśmy poznanie piękna ojczystego języka, historii naszego narodu, obecnie gdy okupant zamknął szkoły, prowadzili tajne nauczanie. W każdej wsi i mieście Białostockizny toczył się podziemny nurt tajnego nauczania. Z ogromną żarliwością i narażeniem swego życia, setki nauczycieli walczyło o to, żeby hitlerowski plan "Wschód" nigdy nie został zrealizowany. Jednocześnie większość nauczycieli należało do ruchu podziemnego NOW - AK, jak np. nasz komendant powiatowy NOW por. "Lot" wraz z żoną Różą Czarnohorską poza pracą konspiracyjną uczyli siedemdziesięcioro dzieci we wsi Pszczółczyn. Poza tym Róża Czarnohorska pełniła funkcję konspiracyjnej przewodniczącej w Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury w powiecie Wysokie Mazowieckie.

Mój dawny wychowawca, kierownik szkoły w Jeżewie Nowym Aleksander Grochowski, działacz AK uczył dzieci wraz z żoną Anną we wsi Kowaleszczyzna. Inni moi nauczyciele jak Pawłowski, Jabłońska, Zaręba, pracowali w konspiracji i jednocześnie nauczali. We wsi Broniszewo, gm. Tykocin aktywny członek NOW - AK ps. "Skrzetuski" uczył dzieci, a w organizacji naszej zajmował się wyrabianiem lewych dowodów osobistych. Jego syn zajmował się robieniem fotografii do podrabianych dowodów, oraz sam wspaniale bezbłędnie podpisywał amtskomisarza z Tykocina. Można by wymienić setki wspaniałych ludzi, którzy krzewili słowo polskie wśród młodego pokolenia, które miało wyrosnąć dla wolnej i niepodległej ojczyzny.

W Tykocinie organizacja nasza podstawiała amtskomisarzowi Krogulowi sekretarkę Irenę Załuską ps. "Przepiórka", dobrze władającą językiem niemieckim w mowie i piśmie. Ona wyświadczyła konspiracji ogromne usługi. Zdażło się, że jej szef podpisywał i stemplował swoją pieczęcią podsunięte mu lewe dowody. Wiedzieliśmy o planach Niemców dotyczących poszczególnych osób lub wsi. Większość aresztowań i branie zakładników Gestapo uzgadniało ze swoimi władzami terenowymi.

Komenda okręgu Białostockie, o AK posługiwała się na naszym terenie kilkoma radiostacjami poprzez, które utrzymywała łączność z Komendą Główną AK i rządem w Londynie. Dwie radiostacje były

obsługiwane przez braci "Szarak" i "Wrzosa" /Henryk i Ludwik Iwasifscy/ Ci dwaj bracia byli synami organisty, pochodzili z Kobylina. "Szarak" przed wojną studiował na Politechnice Warszawskiej. "Wrzos" zdążył zrobić maturę. Obaj energiczni i odważni partyzanci, wychowani w duchu patriotycznym. Podczas obsługi radiostacji narodził się na ciągłe niebezpieczeństwo. Niemcy stale deptali po piętach. Podśluch niemiecki ciągle był na ich tropie, wobec niebezpieczeństwa przerzucali radiostacje z jednej wsi do drugiej i w ten sposób wymykali się z łap niemieckich. W lutym 1943 r. podśluch zaprowadził Niemców do wsi Milewo Zabieline. Wieś została otoczona, mieszkańcy Milewa poczęli uciekać. Niemcy zastrzelili w czasie ucieczki Stanisława Zajkowskiego członka NKW-AK. "Wrzos" w ostatniej chwili przerwał nadawanie i zdążył schować radiostację do ula w pasiece Franciszka Milewskiego. Sam wpadł do stodoły i ukrył się w zbożu. Niemcy przez kilka godzin przeprowadzali rewizję we wsi i znaleźli radiostację w ulu. Aresztowali właściciela pasieki i jego czternastoletniego syna Ireneusza oraz szesnastoletnią córkę Irenę, aresztowali również sąsiada Jana Ciborowskiego i jego syna Stanisława.

"Wrzos" /Ludwik Iwasifski/ szczęśliwie przesiedział w słomie. Niemcy myśleli, że radiotelegrafista był zabity Stanisław Zajkowski, który uciekał.

W parę dni później "Wrzos" pracował na innym aparacie nadawczo-odbiorczym we wsi Kobylin Makowo u gospodarza Wnorowskiego. I tu Niemcy znów go dopadli. "Wrzoscie i tym razem dopisało. Była noc, gdy Niemcy otoczyli zabudowania Wnorowskiego, "Wrzos" wraz z synem Wnorowskiego Czesławem prowadził nadawanie na strychu stajni. Niemcy po otoczeniu wpadli do mieszkania i zaczęli przetrząsać dom. Stajnia była kryta słomą. "Wrzos" z Czesławem Wnorowskim wyrwali dwa snopki z polzycia i dziurę wyskoczyli na zandarma, który stał na obstawie. Zandara pod ciężarem spadającego na niego "Wrzosa" wywrócił się po czym zaczął straszliwie krzyczeć. Zanim nadbiegli Niemcy z pomocą i zorientowali się o co chodzi radiotelegrafista wpadli już do lasu, który był blisko za stodołami. Epilogiem tych wydarzeń była egzekucja w więzieniu białostockim: Jana Ciborowskiego i jego syna Stanisława, Franciszka Milewskiego /syna i córkę po paru tygodniach Niemcy zwolnili z więzienia/ i Wnorowskiego ojca Czesława.

"Wrzos" i "Szarak" otrzymali z komendy okręgu trzecią radiostację i pracowali dalej, teraz już pod silną ochroną złożoną z kilkunastu dobrze uzbrojonych partyzantów.

Pomimo okrutnego terroru, którym okupant chciał zdławić zdławić podziemny ruch oporu, AK po scaleniu wszystkich małych organizacji podziemnych pod jedno dowództwo, zataczała coraz szersze kr.

gi, szeregi wzrosły w siłę. Organizowano szkoły: podchorążówki i podoficerskie, kursy dla sanitariuszek i sanitariuszy, punkty łączności i przerzutów, wywiad, propagandę po przez, którą uświadamiano szerokie warstwy społeczeństwa oraz zdobywano zaufanie, magazynowano broń i amunicję oraz inny niezbędny sprzęt wojskowy.

Dowództwo Okręgu Białostockiego najpierw chciało zorganizować i odpowiednio przygotować żołnierzy AK na godzinę "W", która miała wybić w odpowiednim czasie. Uderzyć na wroga całą siłą wówczas gdy będą sprzyjały ku walce otwartej okoliczności operacyjne. W tym kierunku do końca 1943 r. zrobiono ogromnie dużo. Przygotowano kadry oficerskie i podoficerskie. Obsadzono nimi pułki, bataliony, kompanie, plutony i drużyny. Każdy powiat - obwód odtwarzał tradycyjnie dawny pułk piechoty lub kawalerii, każdy żołnierz AK wiedział w jakiej drużynie i plutonie będzie miał zaszczyt walczyć z odwiecznym wrogiem - najeźdźcą Polski.

Obwód wysokie Mazowieckie AK podzielony został na cztery rejony. Rejony podzielone były na placówki, placówki na plutony, plutony na drużyny. Pierwszy rejon - Tykocin, składał się z trzech placówek: Stelmachowo, Kobylin i Kowaleszczyszna. Drugi rejon - Łapy, miał również trzy placówki: Łapy, Poświętne i Sokółki. Trzeci rejon - Wysokie Mazowieckie, zorganizowany w cztery placówki: Wysokie Mazowieckie, Szepietowo, Piekuty i Klukowo. Komendantem obwodu Wysokie Mazowieckie był kpt. "Witold" /Wiktor Leszko/, pierwszym zastępcą komendanta był kpt. "Burza" /Przemysław Hlawaty/, drugim zastępcą komendanta został "Walet" /Józef Tymiański/. Komendantem rejonu pierwszego - Tykocin był kpt. "Gniazdo" /Bronisław Perkowski/, dowódcą placówki Stelmachowo - ppor. "Narew" /Roman Narutowicz/. Dowódcą placówki Kobylin jak już wspominałem był ppor. "Dąb" /Kazimierz Kłoskowski/, a po jego śmierci st. sier. "Kabel" /Jan Sikorski/ mój rodak z Kapic Lipnik. Dowódcą placówki Kowaleszczyszna został ppor. "Dąbek" /Jan Płofski/.

W 1943 r. oddziały partyzanckie AK obwodu Wysokie Mazowieckie dokonały dużo akcji dywersyjnych i sabotażowych na terenie powiatów Wysokie Mazowieckie, Łomża, Zambrów i innych bardziej oddalonych od moich rodzinnych stron. Ten sam oddział, który stoczył bój pod wsie Krassowo Czastki, pod dow. ppor. "Karasia" w kwietniu wkroczył do Sokół i wykonał wyrok śmierci na schutzmanie /Piotr Konopka/, który angażował się nad ludnością polską. Ten sprzedawczyk niety polskiego pochodzenia, dopuścił się morderstwa na dwunastoletniej dziewczynce.

W parę dni później por. "Karas" ze swym oddziałem dokonał wypadu na duży majątek ziemski, administrowany przez Niemców w miejscowości Wyliny Ruś. Rozbrojono kilku Niemców, zdobyto broń i amunicję, zabrano kilkanaście sztuk wieprzy. Zarządcy niemieckiemu wymierzono chłostę za znęcanie się nad polskimi robotnikami rolnymi.

W maju 1943 r. Oddział "Karasia" zastrzelił żandarma z posterunku w Wysokiem Mazowieckiem, reichsdeutscha, byłego obywatela polskiego, który po przyjsciu Niemców stał się gorliwym Niemcem i w sposób sadystyczny postępował z ludnością polską.

26 maja 1943 r. ten sam oddział "Karasia" w sile dwudziestu pięciu żołnierzy AK wkroczył do Dąbrówki Kościelnej, rozbroił dziesięciu żandarmów, rozbił areszt wypuszczając z niego kilku aresztowanych członków AK. Po czym zdemolowali posterunek i gminę. Zniszczono akta.

W czerwcu 1943 r. partyzanci AK zlikwidowali groźnego szpicla Kaliszczuka we wsi Pszczołczyn oraz trzech schutzmannów jednego w Sokołach, drugiego w Łapach i trzeciego w Czyżewie. Poza tym zastrzelili leśniczego Niemca Fitza, który zamordował niewinnego Polaka.

Dokonano napadu na Amtskomisarjat w Kuleszach, rozbrojono komisarza, zabrano broń, zniszczono całą dokumentację.

We wrześniu 1943 r. dzielny oddział "Karasia" rozbroił posterunek żandarmerii w Waniewie. Żandarmi stawiali opór, wywiązała się walka podczas której zabitych zostało sześciu żandarmów, trzech poddało się. Partyzanci zdobyli trzy automaty, dziesięć karabinów, skrzynkę granatów i dużo amunicji. W drodze powrotnej maszerując szosą, oddział zatrzymał i zniszczył trzy samochody ciężarowe i jeden osobowy.

W listopadzie 1943 r. wzmocniony oddział por. "Karasia" uderzył na posterunek żandarmerii w Czyżewie. Podczas walki partyzanci zabili dwóch żandarmów, reszta poddała się. Rozbito areszt w którym Niemcy trzymali aresztowanych kilkunastu Polaków w tym kilku członków AK. Partyzanci zdobyli kilkanaście sztuk broni, dużo granatów i amunicji.

W parę dni po akcji w Czyżewie, zlikwidowano pięciu schutzmannów w Nurze, Bogutaach i Klukowie. Byli to sprzedawcykowie, którzy pomimo kilkakrotnych ostrzeżeń, dopuszczali się morderstw na ludności polskiej. W końcu AK wydała na nich wyrok śmierci.

W roku 1943 komendant okręgu białostockiego AK "Mściszaw" nie tylko w obwodzie wysokie Mazowieckie, wydał rozkaz podległym oddziałom partyzanckim dokonywania akcji odwetowych na Niemcach.

Inne obwody rozpoczęły lokalne akcje bojowe. Główny nacisk "Mścisław" kładł na odbijanie aresztowanych członków AK z aresztów i więzień niemieckich. Akcje takie w większości były udane, przynosiły one ogromny autorytet dla AK, podtrzymywały na duchu i tych straceńców, w których nie udało się ocalić. Więźniowie - zakładnicy oczekujący w kazamatkach więziennych na śmierć, do ostatniej chwili swego życia mieli nadzieję na uwolnienie.

Obwód AK - Zambrów był dobrze zorganizowanym i sprężystym. Komendantem obwodu był mjr "Kruk" /Ferdynand Tokarzewski/. Pierwszym zastępcą komendanta był kpt. "Brzoza" /Władysław Podsiad/, drugim - kapt. "Olszyna" /Franciszek Grosfeld/.

W 1943 r. Na terenie obwodu zambrrowskiego działało pięć małych oddziałów partyzanckich pod dowództwem "Ewerysta", "Leśnego", "Lwa", "Benedykta" i "Czarnego".

Powyższe oddziały dokonały kilku akcji bojowych:

W styczniu 1943 r. partyzanci pod dow. "Leśnego" urządzili zasadzkę na żandarmów niemieckich buszujących w lasach Czerwonego Boru. Wataha żandarmów dostała tęgie lanie, podczas walki zabitych zostało sześciu szkopów, reszta w popłochu uciekła. Partyzanci zdobyli kilka automatów i karabinów nie ponosząc żadnych strat.

W marcu 1943 r. oddział "Leśnego" w dzień jarmarczny rozbroił posterunek żandarmerii bez boju w Zambrowie. Zabrał broń i amunicję oraz wprowadzono z posterunku schutzmana - Zielińskiego, którego zastrzelono w lesie za znęcanie się nad ludnością.

W kwietniu 1943 r. tenże sam oddział w sile dwudziestu partyzantów zaatakował posterunek żandarmerii w Puchałach. Wywiązała się walka, żandarmi byli czujni i nie dopuścili partyzantów do wdarcia się z nieznacka na posterunek. Po zauważeniu zbliżających się Akowców otworzyli huraganowy ogień. Akowcom nie chodziło o rozbrojenie posterunku - mieli rozkaz odbić aresztowanych kilkunastu ludzi, których żandarmi aresztowali i mieli odwieźć do więzienia w Łonży. Podczas walki areszt został rozbity, więźniów wypuszczono. Oddział wycofał się bez strat, natomiast trzech żandarmów podczas walki zostało rannych.

W sierpniu 1943 r. "Leśny" ze swym oddziałem urządził zasadzkę na szosie pod wsią Wiśniewo na żandarmów konwojujących transport kontygentów ściągniętych z okolicznych wsi. Żandarmi nie dali się zaskoczyć, wywiązała się walka, podczas której jeden żandarm został zabity, dwóch ciężko rannych. Partyzanci wycofali się mając jednego rannego.

Patrol "Lwa" w sierpniu 1943 r. dostał rozkaz wykonania wyroku śmierci na komisarza niemieckiego w Jasienicy. "Lew"

urządził zasadzkę na szosie Jasienica - Andrzejewo. Komisarz jechał autem w asyście trzech żandarmów. Samochód został ostrzelany, zabito jednego żandarma i dwóch zraniono, komisarz ocalał, udało się uniknąć podłemu mordercy.

We wrześniu 1943 r. Niemcy wpadli przy pomocy stacji radiolokacyjnej na radiostację obwodu Zambrowskiego AK akurat w czasie pracy. Niemcy śmiało zaatakowali, bo nie przypuszczali, że akowska radiostacja ma tego dnia silną ochronę w postaci oddziału "Leśnego". Wywiązała się ostra walka, Niemcy w pośrochu rzucili swój sprzęt i uciekli unosząc dwóch swoich rannych.

W parę dni po tym oddział "Lwa" urządził zasadzkę na powracających z pacyfikacji żandarmów koło wsi Ruskołki. Zabito dwóch żandarmów, reszta uciekła. Następnego dnia oddziały "Lwa" i "Leśnego" połączyły się i większą siłą uderzyły na posterunek żandarmerii w Zarębach Kościelnych. Załoga niemiecka była silna na tym posterunku i czujna nie udało się partyzantom wdrzeć do środka. Po gęstej wymianie ognia i obrzuceniu posterunku granatami, partyzanci wycofali się bez strat. Dwóch żandarmów zostało rannych. Rezultat napadu był dobry, bo przez dłuższy czas żandarmi nie opuszczali swego posterunku.

W październiku 1943 r. połączone te dwa oddziały akowskie urządziły zasadzkę na powracającą watahę żandarmów pod wsią Srebrny Borek. Żandarmów było dużo, jechali dobrze ubezpieczeni zachowując wszelkie środki ostrożności. Zasadzka została zauważona wcześniej, tak że żandarmi nie pozwolili się zaskoczyć. Wywiązała się walka podczas której trzech Niemców zostało zabitych i kilku rannych. Partyzanci też mieli jednego ciężko rannego i dwóch lżej rannych. Partyzanci wycofali się bez specjalnego nacisku żandarmów w kierunku większych lasów.

Obwód AK Łomża - jeden z największych obwodów w okręgu, bardzo dobrze zorganizowany i dosyć dogodny dla działań partyzanckich. Lasy Czerwonego Boru, bagna nad rzekami: Narwi, Biebrzy, i Pisy, tworzyły idealne warunki dla baz partyzanckich i konspiracji. Ludność całego obwodu na wskroś polska o dużych tradycjach narodowych. Przed wojną największe wpływy posiadało w powiecie łomżyńskim Stronnictwo Narodowe. W czasie wojny działalność konspiracyjną rozpoczęto zaraz po wkroczeniu okupantów.

W okolicach Kolna pierwsza organizacja konspiracyjno-niepodległościowa została założona 13 października 1939 r. ~~zakończona~~ przez działacza Stronnictwa Narodowego i instruktora młodzieży katolickiej. Innymi pionierami konspiracji byli żołnierze dywersji poza-rontowej: por. Franciszek Skowronek ps. "Jackowski", ppor. Stanisław Cieślowski ps. "Lipiec",

ppor. Stanisław Koniuszy ps. "Stanisław" oraz wielu innych.

Po scaleniu wszystkich podziemnych organizacji w AK powiat łomżyński wchodził w skład trzeciego Inspektoratu. Inspektorem był mjr. "Bruzda" /Jan Tabortowski/. Wspaniały oficer wojska polskiego odważny, dzielny, dobry organizator i konspirator, wielki patriota - Polak. Przez długie lata był głośnym partyzantem na Białostocczyźnie. Losy wojny i położenie geograficzne i polityczne Polski zrzuciły tak, iż zginął jako przedostatni partyzant na Ziemi Białostockiej dopiero w 1954 r. Na ten temat będę jeszcze pisał w następnych rozdziałach moich wspomnień.

Obwód łomżyński w 1943 r. podzielony był na pięć rejonów, a rejony na dwadzieścia placówek.

Komendantem obwodu był kpt. "Lipiec" /Stanisław Cieślewski/ po jego śmierci w 1944 r. mianowany został na komendanta obwodu kpt. "Lot" /Andrzej Bicniek/. Dowódcą Komendy Dywersji "Kedywu" od 1942 r. był młody partyzant, były student prawa "Wiki", który od listopada 1942 r. do września 1943 r. wraz ze swoim oddziałem dokonał kilku udanych akcji na Niemczech: w październiku 1942 r. oddział partyzancki "Wiki" rozbił w Wiznie areszt posterunku żandarmerii z którego uwolnił pięciu aresztowanych członków AK, w grudniu 1942 r. Niemcy aresztowali inspektora "Bruzdę", komendanta Obwodu łomżyńskiego "Lipca" i trzech członków sztabu obwodu. Oddział "Wiki" urządził zasadzkę na szosie pod komżą, celem zasadzki było zapanie oficerów niemieckich jako zakładników za których ewentualnie chciano by zapłacić wypuszczenia aresztowanych oficerów AK. Zasadzka udała się tylko częściowo. Zabito oficera gestapo, który nie chciał oddać się żywcem w ręce partyzantów.

Aresztowani Akowcy siedzieli w więzieniu łomżyńskim. Wśród straży więziennej organizacja miała dwóch starszych dozorców ojca i córkę o nazwisku Górsacy. Górsacy oddawali ogromne przysługi dla AK. Informowali o przebiegu śledztwa, przynosili grypsy od więźniów i odwrotnie dostarczali z wolności więźniom różne wiadomości. Po aresztowaniu sztabu łomżyńskiego obwodu, Komendant okręgu białostockiego AK "Mścisław" przywiązywał wielką troskę o los aresztowanych. Początkowo planował odbicie aresztowanych siłą, lecz obawiał się, iż dojdzie do bitwy, która pociągnie za sobą z pewnością straty i później odwet niemiecki na niewinnej ludności polskiej.

Drugi wariant^{nad} którym zastanawiał się "Mścisław" to uwolnienie więźniów przez zorganizowanie ucieczki z więzienia przy pomocy strażników czojga Górskich. Przyjęto drugi wariant i w tym kierunku organizacja rozpoczęła czynić szyckie przygotowania. Dostarczono do więzienia aresztowanym członkom sztabu rewolwery i granaty, na podstawie dostarczonych przez Górskich odcisków kluczy od cel, kowal Kujalowicz zrobił klucze, które

za pośrednictwem więźniów wychodzących na roboty przeniesiono do więzienia aresztowanym. Przy pomocy grypsów ustalono termin ucieczki z więzienia. Czas naglił, akcją trzeba było przyspieszyć, wywiad organizacyjny doniósł, iż 12 stycznia 1943 r. przyjechali do Gestapo w Łomży specjaliści od morderstw z Białegostoku, gestapowcy ubrani w czarne mundury. W książce ewidencji więziennej wyłapali nazwiska więźniów politycznych wśród których znaleźli się wszyscy członkowie sztabu obwodu łomżyńskiego z inspektorem "Bruzdą" na czele.

Chociaż ucieczką nie była jeszcze dopięta na ostatni guzik, w nocy z 12 na 13 stycznia zmobilizowano członków AK z terenu Łomży i pobliskich wsi, którzy uzbrojeni czekali w pobliżu murów więziennych w pogotowiu na wypadek gdyby ucieczka nie powiodła się wówczas zamierzano uderzyć siłą.

Noc była ciemna, zadymka śnieżna sprzyjała akcji uwolnienia aresztowanych. Akcję rozpoczęto od celi inspektora "Bruzdy". On pierwszy wyszedł z celi na korytarz z pistoletem w rękę i pośpiesznie otwierał wytrycami cele "Lipca" i innych kolegów członków AK. Gdy wszyscy znaleźli się na korytarzu wówczas pojedynczo opuszczano ponury gmach więzienny i kierowano się do drabiny po której wdrapywano się na okalający mur i skakano na zewnątrz. Skok nie powiódł się "Lipcowi", złamał nogę. Na szczęście w pobliżu były przygotowane furmanki, którymi odwieziono uciekinierów na bezpieczne meliny. Wspaniała akcja, powiodła się bez rozlewu krwi i strat. Niemcy na drugi dzień wściekali się ze złości. Odwetu żadnego jak narazie nie zastosowali.

W kwietniu 1943 r. mjr "Bruzda" zmobilizował pluton członków AK, żołnierzy z siatki dobrze uzbroił w kilka erkaenów, automaty i karabiny oraz w dużą ilość granatów. Pod swoim dowództwem uderzył z plutonem na posterunek żandarmerii w Bronowie. Napad udał się, zaskoczenie było całkowite, Niemcy poddali się bez boju. Zdobyto kilka automatów i karabinów, trzy rewolwery, granaty i kilkaset sztuk amunicji.

W kilka dni po napadzie na żandarmów w Bronowie, oddział Kedywu z obwodu Wysokie Mazowieckie pod dowództwem "Karasia" rozbił posterunek żandarmerii w Wiźnie. I tu żandarmi zostali zaskoczeni i poddali się bez walki. Rozbrojono amtskomisarza w jego rezydencji, partyzanci wymierzili mu lanie za znęcanie się nad Polakami. Niemców po rozbrojeniu zamknięto w ich własnym areszcie, a przez dwa dni partyzanci spokojnie "urzędowali" w Wiźnie.

We wrześniu 1943 r. oddział Kedywu pod dowództwem "Wiki" uderzył w placówkę niemiecką ochrony leśnej w majątku Pniów. Obsada niemiecka była silna i dobrze uzbrojona, zaskoczyła się nie dała. Wywiązała się walka. Partyzanci nie bacząc na silny ogień

wroga, mocno zaatakowali. Budynek w którym byli Niemcy został podpalony i spłonął. Niemcy pod silną osłoną swego ognia wycofali się z płonącego budynku w las, po czym udało się im uciec unosząc sześciu rannych. Partyzanci ponieśli duże straty, zabity został dowódca oddziału "Wiki", ranni "Lew", "Siekiera" i "Pług".

Po śmierci "Wiki" dowódcą oddziału Kedyw w obwodzie łomżyńskim mianowany został tymczasowo "Lew" /Jan Tutas/, rodem ze wsi Janowo koło Łomży. Był to bardzo energiczny i dzielny partyzant. Przed wojną do 1939 r. znany był w całej okolicy jako rozrabiaka i udziałowiec wszystkich awantur i bijatyk za co znalazł się na ławie oskarżonych i do wojny siedział w więzieniu. Do 1942 r. pracował spokojnie w swoim gospodarstwie rolnym. W kwietniu 1942 r. Niemcy urządzili łapankę młodzieży na roboty do Prus Wschodnich, złapali syna "Lwa", młodego chłopca, którego wraz z innymi złapanymi osadzili narazie w areszcie przy posterunku żandarmerii w Małym Płocku. "Lew" po nadejściu nocy zmobilizował do siebie swego szwagra i brata, wydobyli z ukrycia broń i we trzech rozbroili wartowników pilnującego aresztu. Zatrzymanych chłopców uwolnili. Od tej pory "Lew" stał się partyzantem nie należącym narazie do żadnej organizacji podziemnej. Ukrywając się przed Niemcami zorganizował oddziałek partyzancki złożony z sześciu ludzi, krewnych "Lwa". Bojówka złożona z rodziny "Lwa" poczęła energicznie działać na własną rękę i mocno dawać się we znaki Niemcom. "Lew" urządzał wypadki na teren Prus Wschodnich, strzelał do Niemców, zabierał mienie i uchodził bezkarnie w swoje strony. Niemcy byli bardzo zaniepokojeni i bezradni wobec tej grupy. Żadne obławy i zasadzki nie udawały się, "Lew" z każdej opresji wymykał się bez strat. Teren w okolicy Małego Płocka był zorganizowany przeważnie przez NSZ. Dowództwo NSZ próbowało podporządkować "Lwa" organizacji. Cwszem kilkakrotnie podporządkował się, ale dalej działał na własną rękę. Kiedy zagrożono mu sądem, wówczas nawiązał współpracę z PZP, a później z AK. Teraz po śmierci "Wiki", gdy dał mu narazie dowództwo nad oddziałem Kedywu, znów począł robić akcje na własną rękę. Na wstępie dopadł przedwojennego przodownika straży więziennej w Łomży - Kurpielewskiego, który zalaż za ^{mu} paznokcie, gdy odbywał odsiadkę przed wojną. Narazie Kurpielewskiemu sprawił tęgie łanie. Zatrzymał samochody niemieckie na szosie z których zarekwirował różne towary zabierając większość sobie. Dowództwo AK uznało te akcje za napady bandyckie, zagrożono "Lwowi" sądem, na dowódcę Kedywu mianowano "Pax" /Moczarski/, rodem ze wsi Bronowo. "Lew" podrażniony tym rozkazem, ambicja jego została urażona, postanowił wystąpić z Kedywu i wyłamać się spod rozkazów AK. Zabiera z oddziału swoich siedmiu ludzi i najlepszą broń i ponownie prowadzi działalność partyzancką na własną rękę.

Niemcy poprzez swój wywiad szybko dowiedzieli się iż "Lew" jest skłócony z AK. Komendant żandarmerii w Małym Płocku wytrawny gestapowiec szuka z "Lwem" kontaktu. Jeździ do wsi Kozłówka gdzie uprzednio mieszkał "Lew" i jego partyzanci "Siekiera", "Pług" i inni członkowie jego grupy. W podstępny sposób pozwala mieszkańcom wsi na wszystko czego nie wolno robić innym wsion, dobrze zna język polski, więc dyskutuje z ludźmi o których wie, że powtórzą rozmowy "Lwowi". Podstępnie szuka kontaktu z "Lwem". W końcu "Lew" się łamie i dochodzi do spotkania pomiędzy komendantem żandarmerii i "Lwem". Rozmowa odbywa się w nocy. Niemiec zapewnia "Lwa", że o ile się ujawni i zaprzestanie wrogiej działalności, daje słowo, że Niemcy darują i przebaczą wszystko. Gestapowiec chce aby "Lew" dokonał ujawnienia publicznie podczas zebrania sołtysów w amtskomisariacie. "Lew" choć odważny, ale prosty chłop bez wykształcenia, za ledwie potrafi się podpisać, zaczyna coraz bardziej się łamać i wierzyć kłamstwom niemieckim. Zniechęcony groźbami członków AK zaczyna się po swojemu zastanawiać - co dalej robić? Jego żona i dzieci są w rozsypce, ukrywają się, gospodarstwo obrabiają sąsiedzi, Niemcy grożą, że o ile nie porzuci lasu, zniszczą gospodarstwo, jedyny jego warsztat pracy w którym choć prymitywnie ale jakoś gospodarzył. W tej sytuacji "Lew" naradził się z żoną i w końcu postanawiają, że narazie na próbę sprowadzi się do opuszczonego gospodarstwa żona z dwójkiem nieletnich dzieci. Niemcy natychmiast zatrzymali żonę i dzieci i kazali jej pisać list za listem do męża, ażeby się zgłosił i ujawnił. Oczywiście żonę i dzieci traktowali dobrze, nawet udzielili zapomogę pieniężną i coś tam z odzieży podarowali. W marcu 1944 r. "Lew" wziął pistolet i kilka granatów w kieszenie i zgłosił się do amtskomisariatu na zebranie sołtysów. Wychodząc mówił do kolegów, że zgłosi się po to tylko aby wyrwać żonę i dzieci.

Po wejściu do amtskomisariatu został silnie przywitany przez Niemców i komendanta żandarmerii i amtskomisarza. Posadzono go za stołem, z jednej strony usiadł komendant z drugiej amtskomisarz, a w tym błyskawicznie otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju z którego ukryty gestapowiec wystrzelił z automatu długą serię kul w "Lwa". Ten silny i dobrze zbudowany chłop śmiertelnie ranny, zdążył wyrwać z za pasa swego "Visa" i zastrzelił komendanta żandarmerii oraz ciężko ranił amtskomisarza, sam upadł i zaraz zmarł. Jego żonę i dzieci tego samego dnia Niemcy w bestjałski sposób zamordowali.

Nowy dowódca Kedywu "Pax" został zabity w potyczce z żandarmerią w listopadzie 1943 r. Na jego miejsce mianowano Jana Węgrowskiego ps."Drab", awansowany do stopnia chorążego.

W grudniu 1943 r. przywędrował do wsi ślubny jeńiec so-

wiecki Piotr Dubownik, uciekinier z obozu jenieckiego w Prusach. Szukał kontaktu z partyzantką i tu został skontaktowany z miejscową siatką AK. Dubownik poinformował członków organizacji, iż wie o miejscu w Czerwonym Borze gdzie w czerwcu 1941 r. żołnierze Armii Czerwonej zakopali trzy karabiny automatyczne "samozariadki", osiem KEK i dwa rewolwery-nagany oraz większą ilość amunicji.

Członkowie AK uzgodnili iż pojedą z Dubowikiem i odnajdą broń. W tym celu organizacja wydelegowała czterech członków: Franciszka Żebrowskiego, Władysława Janickiego /"Cygan"/, Stanisława Ciupę /"Młot"/ i Piotra Głowackiego /"Wicher"/. Broń odkopano, była w bardzo dobry sposób zakonserwowana i nadawała się do użytku. Wracając spowrotem, Rosjanin ogromnie chciał wypróbować "samozaradki". Jadąc lasem zauważyli nisko lecący niemiecki samolot, Dubownik pierwszy zeskoczył z wozu i wycelował za nim całą czwórka oddała po kilka strzałów do samolotu. Samolot zapalił się i runął na dom zabijając dwoje dzieci i zranił właścicielkę domu ob. Skarżyńską. W ten sposób partyzanci zestrzelili niemiecki samolot bombowca dwu motorowy z dwu osobową załogą, która zginęła na miejscu. Jeniec sowiecki sprowokował strzelanie do samolotu, która okazała się skuteczniejszą od artylerii. Dubownik przez parę tygodni przebywał wśród później dołączył do partyzantki sowieckiej. Przez cały czas pieczołowicie obchodził się ze swoją "samozaradką" dziesięcio strzałową, starannie ją czyścił i konserwował.

Obwód Łonżyński i Zambrowski AK - sąsiednie Obwoody macierzystego Obwođu Wysokie Mazowieckie znane były mi z racji sąsiedztwa i niedalekich odległości od mojej rodzinnej wsi - Kapice. Do Zambrowa od Kapic jest 28 km, do Łonży 34 km i do Wysokiego Mazowiecka 30 km. Później gdy byłem sciągany, często przebywałem w okolicy Zambrowa, Łonży, Wizny, Kolna i Stawisk. Miałem w tych okolicach dużo kolegów i znajomych. Powyższe wydarzenia znam z relacji i opowiadań naocznych świadków i uczestników tych zdarzeń. W następnych rozdziałach moich wspomnień będę jeszcze pisał o dalszych działaniach Polskiej Podziemnej na tych terenach.

Pod koniec października 1943 r. gestapo aresztowało w Białymstoku przy ul. Sosnowej 68 trzech oficerów sztabu okręgowego i łączniczkę AK: Szefa Sztabu Okręgu "Bacę" /ppłk Stefan Fijałkowski/, Szefa Oddziału III "Juhasa" /ppłk Marian Switalski/, Szefa saperów "Piłę" /mjr. Stanisław Jacyna/ i łączniczkę "Kazia". Gestapowcy wiedzieli że wśród aresztowanych jest członek organizacji "Piła", natomiast o pozostałych narazie nic nie wiedzieli kim są ci ludzie. "Piła" był śledzony od dłuższego czasu przez agenta gestapo Kohna, który kryjącym go wieczorem szedł za "Piłę" i sprowadził gestapo do domu do którego wszedł "Piła".

Aresztowanych osadzono w Gestapo, zaczęły się przesłuchania. Zrobił się ruch w okręgu, sam "Mściśław" natychmiast zajął się tą sprawą. Sprawa nie cierpiała zwłoki, i a moment mógł któryś z aresztowanych w czasie tur załamać się i wówczas Gestapo dowie się, iż grube ryby wpadły w ich sieci. Szukanie sposobu uwolnienia aresztowanych, a to nie było takie łatwe. W końcu zdecydowano poświęcić ^{jednego} z lepszych agentów AK pracujących w Gestapo jako wtyczka organizacji. Taką wtyczką był "Trzynastka"/Zbigniew Redzko/. Elegancki, przystojny i inteligentny, odważny do przesady, oddany bez reszty swej ojczyźnie.

Trzynastka dobrze znał język niemiecki. Pracował na polecenie PK w Gestapo już rok, oddawał ogromne przysługi organizacji. Teraz zaszcza nagła potrzeba i trzeba było stracić tego utalentowanego pracownika wywiadu.

"Trzynastka" miał dostęp do aresztowanych, dostał rozkaz ułatwienia im ucieczki. Akurat tej nocy jako gestapowiec miał służbę w areszcie Gestapo. Po północy gdy skończyły się przesłuchania i gestapowcy poszli spać, "Trzynastka" dyskretnie powiadomił aresztowanych, aby byli gotowi do ucieczki. Za parę minut otworzył pojedynczą celę i wyprowadził z niej "Bacę", którego przekazał za brzoję czekającym przewodnikom i tak po kolei wyprowadził trzech oficerów po czym wziął łączniczkę "Kazię" z którą wyszedł na koniec. Pech chciał, że przewodnicy z uwolnionymi oficerami już odeszli różnymi, tylko sobie znanymi przejściami do punktu kontaktowego przy szosie Zwierzynieckiej do członka organizacji Henryka Kuleszy.

"Trzynastka" nie znał tego punktu więc postanowił udać się z łączniczką "Kazię" do innego miejsca. Przechodząc przez rzeczkę Białką na ul. Warszawskiej natknęli się na posterunek niemiecki przy cysternach z benzyną, obok poczty. Posterunek zatrzymał ich, "Trzynastka" tłumaczył Niemcowi, że jest gestapowcem i wraca ze swoją dziewczyną, ale Niemiec uparł się doprowadzić zatrzymanych do wartowni. Wówczas "Trzynastka" wypalił z "em-pi", który zabrał z Gestapo wartownikowi w rękę. Po czym biegiem wpadł na ul. Warszawską 39 do mieszkania łączniczki Heleny Kondratowicz.

Tu przesiedzieli cały dzień, obserwując gestapowców i żandarmów jak biegali z psem i przeszukiwali teren. Pies widocznie był słabym tropicielem bo zmylił trop i poprowadził w innym kierunku szkopów. W nocy "Trzynastka" udał się na inną kwaterę przy ul. Wersalskiej, a na następną noc drogą przerzutów przybył do mojej rodzinnej wsi Kąpiec.

Od tej pory stał się jednym z dzielniejszych partyzantów K. Często przebywał w mojej kryjówce w której sypiałem i przebywałem od dłuższego czasu. Później ożenił się z moją koleżanką, a szwagierką "Kubusia", dzielną łączniczką AK "Plewką" / Anna Czajkowska/.

W parę tygodni po tych wydarzeniach "Trzynastka" rozpoznał agenta Gestapo por. wojska polskiego, członka AK Stanisława Maciorkowskiego ps. "Miles", rodem ze wsi Sikory Piotrkowięta, syna zamożnego rolnika. Nikt nie przypuszczał z nas, że ten oficer jest agentem Gestapo. Po dłuższej obserwacji, AK wydała wyrok śmierci na Maciorkowskiego, który wykonał "Trzynastka". Długo leżał pochowany pod dużą sosną w lesie. Dopiero po wojnie rodzice przenieśli jego szczątki na cmentarz w Kobylinie. Jego zdrada była ogromnym zaskoczeniem dla wielu ludzi, a wykonanie wyroku było czymś szokującym, po prostu członkowie KCW nie czuli wierzyć, że ten znany oficer, zawsze elegancki, przystojny, inteligentny i pochodzący z dobrej rodziny, mógł pójść na współpracę z okupantem niemieckim. Zastanawiano się czy przypadkiem dawny PZP nie wykonał wyroku zbyt pochopnie, a nawet dopatrywano się osobistych porachunków. "Trzynastka" kilkakrotnie opowiadał nam z detalami o wykonanym wyroku śmierci na Maciorkowskim. Dużo słyszałem na ten temat od "Kubusia", który znał dokładnie sprawę Maciorkowskiego. Dziś nie ulega wątpliwości, iż był on konfidentem Gestapo. W jakich okolicznościach został zwербowany nie wiadomo. Jest jedno pewne, iż zrobił to nie z przekonania, ani z sympatii do hitlerowców.

Minęło lato 1943 r. Ponura okupacja niemiecka przyniosła Białostoczczyźnie morze łez po utracie najlepszych synów i córek. Ogromny terrorem dawał się we znaki coraz bardziej. Nikt z nas nie był pewien dnia ani godziny. Żyliśmy pod ciągłym strachem, przygotowani na najgorsze. Każdy z członków podziemnych organizacji miał się na baczności. Niektórzy bardziej ostrożni zaczęli robić sobie kryjówki w budynkach gospodarczych, w lasach i różnych miejscach mało dostępnych dla wroga.

Zrobiłem i ja z Józefem Zalewskim i Stanisławem Chibowskim dobrze zamaskowany szałas w lesie olszynowym - Chrapach. Nieopodal mieliśmy urządzone naszą bibliotekę w której podzieliśmy wódkę.

Przez całe lato dwa razy w tygodniu odbywaliśmy ćwiczenia wojskowe, praktyczne i też teoretyczne. Przerabialiśmy materiały z zakresu szkoły podoficerskiej. Instruktorami naszymi byli: w dalszym ciągu ppor. "Kłos" // Adam Kotowski/, ppor. "Sterna" / Bolesław Skaradziński/, sierż. "Kmicic" / Ignacy Babiński/, często przyjeżdżał por. "Lot" / Władysław Czarnohorski/. W listopadzie 1943 r. otrzymałem awans na starszego strzelca. W dalszym ciągu pełniłem funkcję łącznika, przewoziłem różne rozkazy i meldunki oraz różny sprzęt konspiracyjny. Kilkanaście razy brałem udział w eskortach ważniejszych osobistości z organizacji K-KW. Stałem się aktywnym członkiem naszej naszej organizacji, nie było dla mnie rozkazów, których bym nie był w stanie wykonać. Byłem karnym i zdyscyplinowanym żołnierzem armii podziemnej. Byłem wścibskim i jednocześnie ostrożnym. Pomysł

moje, młodego jeszcze żołnierza, często były stawiane za wzór innym. Przez mój zapał i gorliwość zdarzały się sytuacje, że byłem bliiski wpadki. Latem 1943 r. przywoziłem swoim wozem i koniami z Pszczółczyna od "Lota" maszynę do pisania, plik gazetek "Wiśka" i "Polak" oraz różny sprzęt fotograficzny w tym całe abecadło dużych liter tekturowych potrzebnych do robienia lewych dowodów /Niemcy wydając nowe dowody osobiste na zajęciach umieszczali nad głową litery i cyfry/ całość miałem dostarczyć do Józefa Kroplewnickiego w Jeżewie Starym, członka naszej organizacji, który prowadził własną restaurację w Jeżewie przy skrzyżowaniu szos. Uważałem, że najlepiej tego przerzutu dokonać w dzień. Ubrany byłem po robooczemu. Z Pszczółczyna do Jeżewa przyjechałem szczęśliwie, wjechałem na podwórko i z Kroplewnickim zładowaliśmy całość do chlewka. Gdy tylko zaczęliśmy przykryć derką i przyrzucić słomę na podwórko zajechał samochód osobowy, a z niego wylazło dwóch opasłych oficerów gestapo z Białegostoku. Okazało się, że są to niby znajomi Kroplewnickiego, którzy od czasu do czasu jeżdżą do karczmy popić. Cbaj mieli u boku rewolwery w kaburach, a na ramieniu automaty, jeden miał PPD sowiecki z okrągłym bembnem, a drugi niemiecki szmajser. Przywitali się z Kroplewnickim i badawczo pytają kto ja jestem, Kroplewnicka odpowiedział, że kuzyn z Kapic. Gestapowcy każą mi razem iść do karczmy. Idziemy, siadamy do stołu. Kroplewnicka szybko stawia na stół wódkę i zakąskę. Gestapowcy nalewają mi pełną szklanke i Kroplewnickiemu też, piją z nami i niezłe rozmawiają po plsku. Rozmawiam z nimi jakby nigdy nic, udaję, że niczego się nie boję. Ten który uzbrojony jest w sowiecki automat zaczyna nam demonstrować PPD, wyjmując bembn, objaśnia, iż wchodzi tam 71 szt. naboł, po wyjeciu bębna daje mi automat do ręki. Ja biorę go i przesuwam obok języka spustowego zasuwkę i mówię t.j. ogień seryjny, a to pojedynczy. Szakopy wlepili we mnie ślepią i od razu pytają skąd ja się znam na tej broni i choć wypilem już ze trzy szkiany wódki i mam lekki szum w głowie zaczynam intensywnie myśleć i bez pardonu odpowiadam, że byli na naszych terenach Rosjanie i ich armia była uzbrojona w takie automaty, oni będąc na kwaterach w mojej wsi często nam objaśniali działanie tych automatów. Gestapowcy chyba uwierzyli w to na poczekaniu wypowiedziane kłamstwo, dalej zaczęli niby żartem pytać mnie czy przypadkiem nie mam gdzieś schowanego takiego automatu. Kroplewnicki przy tych rozmowach robił się raz blady to czerwony. Ja ani chwili się nie bałem, cały czas pijąc z nimi myślałem tylko o jednym, żeby w pewnym momencie zdążyć wyrwać z za paska u spodniczoją parabelum i celnie wypaść w łeb jednemu i drugiemu. Najgorszym problemem był sarocód, którego wówczas nie udało prowadzić. Po około dwu godzinnej pijatyce zacząłem udawać pijanego i niby dostawać torsii. Gestapowcy uczynili

ze mnie ubaw w końcu zataczając się pozępnąłem przygodnych towarzyszy
powiedzeniem aufwiderzejn i odjechałem swoją furmanką do domu.

Ogromnie żałowałem okazji jaka mi się przydarzyła do umier-
cenia połych dwóch wrogów. Po spotkaniu się za parę dni, Kropiewnicki
mówił do mnie, że cały czas się bał, iż ja zastrzelę tych dwóch Niemców
i za to mogła zginąć cała wieś. Trudno rozsądek musiał wziąć górę,
zmuszony byłem zrezygnować z nadarzającej się okazji.

W październiku 1943 r. dostałem rozkaz od ppor. "Sępa"
/Adolf Gąssowski/ wziąć krótką broń i dwa granaty i po południu sta-
wić się w umówionym miejscu. Była to niedziela, po przyjściu z kościoła
udałem się na umówione miejsce. "Sęp" czekał na mnie na kolonii u Zajkow-
skiego. Ruszyliśmy przez las - Bórek Milewski do szosy Warszawskiej,
chcieliśmy przejść szosą i dalej dojść do wsi Kobylin Cieszyński. Wycho-
dząc na szosę zorientowaliśmy się, że jest spokój i cisza, słońce miało
się już ku zachodowi. "Sęp" zaproponował aby krótki odcinek przejść szosą
do polnej dróżki, którą dalej pójdziemy. Gdy tylko wyszliśmy na szosę
z za górki wyleciał osobowy samochód. "Sęp" pierwszy go zauważył i bez
słowa zaczął uciekać przez pole do lasu, ja gdy się obejrzałem zobaczy-
łem samochód nie dalej jak 200 m za moimi plecami. Złapałem z kieszeni
obronny granat sowiecki i szybko wyprostowałem końcówki zawleczone, tak
że w każdej chwili po naciśnięciu dźwigni zawleczkę mogłem wyszarpnąć.
W samochodzie jechało trzech wojskowych niemieckich, napewno dokładnie
widzieli "Sępa" uciekającego, ja szedłem wolno, serce ogromnie mocno mi
biło i krew zaczynała pulsować w żyłach. Kierowca samochodu i jego pasa-
żerowie przejeżdżając obok mnie widocznie mieli większego stracha aniżeli
li ja bo samochód zwiększył szybkość, fuknął i petem powietrze obok mnie
i pognął dalej. Ja spokojnie zacząłem końcówki zawleczone u granatu
i po dojeździe do dróżki podszedłem nią do "Sępa", który siedział już w
krzakach i czekał na mnie.

Później zastanawiałem się jakie było lepsze wyjście? czy uciekać za "Se-
pen", Niemcy mogliby się zatrzymać i zastrzelić nas obu na polu, czy
pozostać na szosie, a gdyby samochód się zatrzymał, zucić przygotowany
granat.

Po tej niefortunnej ucieczce "Sępa" było trochę głupio i swój błąd
próbował naprawić krzykiem na mnie, dlaczego nie uciekałem razem z nim.
Odpowiedziałem, że zabić mogli tylko mnie, on przez ten czas zdażyłby
uciec.

Spokojnie doszliśmy do wsi Kobylin Cieszyński, tam u Kobylińskiego Witka
członka naszej organizacji czekały na nas dwie niewiasty z Białegostoku,
które wieczorem odprowadziliśmy do wsi Pszczoleczyn do mieszkania "Lota".

Były to organizatorki sekcji kobiecej NOW. Do późnej nocy siedzieliśmy i naradzaliśmy się w różnych sprawach konspiracyjnych. Nad ranem ułożyliśmy się wszyscy do spania w jednej izbie, bo tylko takowa Czarnohorscy posiadali w Pszczółczynie.

Zbliżała się zima, przez cały listopad spałem w lesie, od pierwszych dni utrzymywał się kilkustopniowy mróz.

Pewnego dnia wczesnym rankiem wyjechałem z szafasu, otrzepałem siano, którym było wynioszone posłanie i w tym momencie usłyszałem warkot samochodów dochodzący od strony Kapic. Szybko zrobiłem alarm. Tej nocy spałszy we czterech: Józef Zalewski, Stanisław Chibowski i mój brat Piotr. Na wszelki wypadek szybko postanowiłem przygotować karabiny i granaty, które leżały nieopodal ukryte w schowku. Wielkiśmy kłopoty z Józefem Zalewskim, był to człowiek w wieku lat około czterdziestu pięciu, członek NOW, ale strasznie bojący się broni i Niemców. Ciągłe robił nam awantury gdy trzymaliśmy broń przy sobie. Uważał, że gdy Niemcy złapią nas w lesie bez broni to darują życie, natomiast z bronią to już nie unikniemy śmierci. Tłumaczyłem mu, że my nie mamy zamiaru umierać śmiercią Żydów tykocińskich, których przygnali Niemcy nad dół, a ci szli jak zwierzęta ze spuszczoneymi głowami, że lepiej jest umierać z bronią w ręku i w walce podczas której można nie jednego wroga zabić. Zalewski tym razem mniej wykrzykiwał jak zwykle. Pierwszy pobiegł na skraj lasu, aby obserwować co się dzieje w Kapicach, my z bronią podeszliśmy za nim i zauważyliśmy, że wieś naszą jest otoczona przez Niemców.

Jeden samochód ciężarowy skierował się na kolonie do Kroplewnickich. Zacząłem się niepokoić o Gienka, naszego sekcijnego, tyle razy prosiłem go, aby nie spał w domu, proponowałem mu noclegi w naszej leśnej kryjówce. Odmawiał uparcie, tłumaczył się swoją intuicją. Zawiodła go straszliwie, jak się wkrótce okazało Niemcy aresztowali: Józefa Pogorzelskiego jego żonę Fernę, przedstawiciela Komendy Okręgu NOW - AK, który tej nocy spał u Pogorzelskich, Władysława Babickiego /sołtysa naszej wsi/, Eugeniusza Kroplewnickiego /naszego sekcijnego/ jego dwóch braci Piotra i Kazimierza. W Jeżewie Starym zostali aresztowani: Józef Kroplewnicki i Wincentyga Wołosiewicz, a w Zawadach: Bronisław Kotowski, Roman Kotowski i Józef Wądołowski. Bronisław i Roman to ojciec i brat ppor. "Kłosa" /Adama Kotowskiego/. "Kłosa" cudem ocalał, w ostatniej chwili udało mu się wyskoczyć przez okno i ukryć w pasiece między ulami.

Wszyscy aresztowani za wyjątkiem Piotra i Kazimierza Kroplewnickich /braci Eugeniusza/ byli członkami NOW - AK.

Te aresztowania wzmożyły czujność w naszych szeregach. Nie ulegało wątpliwości, że był wśród naszej organizacji szpicel. Następnego dnia przyjechał por. "Lot", Niemcy byli tej nocy także w jego mieszkaniu w Pszczółczynie. Oboje z żoną tej nocy nie spali w domu.

"Lot" kategorycznie zakazał nam sypiania w domu natomiast w dzień mieć się na baczności. Punkty kontaktowe i przerzutowe zostały natychmiast zmienione, wyznaczono dodatkowe warty we wsiach. Rozpoczęły się poszukiwania szpicla, już po kilku dniach uwiecznione powodzeniem. Zdrajcą okazał się Jerzy z Jeżewa Starego, krewny Wojciecha Krzeczковского i p. Szeraszewskiej właścicielki browaru w Jeżewie. Ten łobuz niedawno wkraść się w nasze szeregi i denuncjował tych, których zdążył poznać. Po aresztowaniach wyjechał, ale wkrótce wrócił i szukał kontaktu z "Lotem". Niemcy koniecznie chcieli złapać "Lota". "Lot" wiedząc o co chodzi, dyskretnie dał szpiclowi wiadomość o sobie i podał miejsce spotkania obstawione przez partyzantów. Szpicel wpadł w sidła i został obezwładniony. W obliczu przedstawionych faktów przyznał się do winy. Wyrok na nim wykonał sam "Lot".

Oczekiwaliśmy dalszych wypadków, świadomi grożącego nam niebezpieczeństwa. Aresztowani koledzy mogli nie wytrzymać tortur. Po paru tygodniach niepewności wywiad nasz doniósł, że aresztowani nikogo nie wydali, zostali już przewiezieni z Gestapo do więzienia białostockiego. Teraz rodzyńcy mogli podawać im paczki. Nadzieja na ich powrót nie trwała długo.

W dniu 8 grudnia 1943 r. i 11 stycznia 1944 r. Niemcy wywieźli z więzienia białostockiego do lasu Grabówka za Białystok i wymordowali 277 więźniów politycznych, wśród których byli koledzy z Kapic, Zawad i Jeżewa.

W dwa tygodnie po aresztowaniu Eugeniusza Kropiewnickiego, przyjechał komendant "Lot", otrzymałem awans na kaprala i nominację na sekcyjnego. Byłem już dobrze przeszkolonym partyzantem, a odwagi mi nie brakowało. Teraz zawsze chodziłem z parabelum w kieszeni lub za paskiem. Celny miałem rewolwer, który zdobyłem drogą zamiany. Ojciec mój miał ładny, sześcioprowadkowy rewolwer amerykański, przywieziony przed wojną przez jego wujka Marcela Grodzkiego. Gdy ja wstąpiłem do organizacji i ojciec dowiedział się o tym, wówczas podarował mi ten rewolwer wraz ze stoma sztukami amunicji. Na początku 1943 r. w egzekutywie pod dowództwem "Kmicica" chodził partyzant z Łomży ppor. "Marek"/Jerzy Majewski, dziś znany adwokat warszawski/. "Marek" posiadał ładnego "waltera" niemieckiego, ale trudno było o amunicję do niego, cały zapas jaki posiadał to dwa magazynki, amunicja kal. 7,65. "Marek" zaproponował zamianę, zgodziłem się bo podobał mi się jego "walterek". Parę razy wystrzeliłem dla próby i na wiwat i pozostało tylko kilka sztuk amunicji. Zobaczyłem mego "walterka" "Wrzos"/Ludwik Iwasifski/, bardzo u niego również podobał mój rewolwer, więc zaproponował mi zamianę na "parabelum" nie miał, duży rewolwer, do którego łatwiej było zdobyć amunicję. Transakcja

szybko została zawarta..Od tej pory miałem ten rewolwer i z nim się nie rozstawałem. Był celny i nie zacinał się.

Wpadek i wstęp w miarę upływu czasu było coraz mniej więcej. Przykrych niepowodzeń doznała grupa "Kubusia"/Stanisława Czartoryskiego "Kubus" pracował jako kierownik mleczarni w Jezewie Starym. Zatrudnionymi tam były także łączniczki PZP-AK siostra "Kubusia"- "Zosia" /Stefania Czartoryska/ i Helena Dziekońska, siostra Jadzi zaordnowanej przez Niemców. Wiktor Ostasiewicz rodem z Białegostoku, prawosławny, pochodzenia białoruskiego, ale czuł się na wskroś Polakiem. Od 1939 r. należał do konspiracji, był w ZwZ później w PZP, w 1943 r. pracował jako szofer w centrali mleczarskiej w Białymstoku. Przyjeżdżał po masło i śmietanę do mleczarni w Jezewie Starym dwa razy w tygodniu. Ten wspaniały i odważny konspirator, zabierał i przewoził do Białegostoku różne materiały konspiracyjne, przekazywane mu przez "Kubusia". Niemcy wpadli na trop konspiracyjnej łączności i zrobili zasadzkę na samochód powracający z Jezewa. Na moście nad Narwią aresztowali Ostasiewicza, któremu udało się jakimś cudem wyrwać z łap oprawców i skoczyć do rzeki. Niemcy nie strzelali, chcieli wziąć go żywcem, biegli łądem. Narew w tym miejscu ma białe i porośnięte xszuwarami brzegi. W takich zarosłach schował się Ostasiewicz wychyliwszy z wody tylko nos i usta zdołał przeczekać poszukiwania. Prześladowcy zmordowani i zniechęceni bezowocnym poszukiwaniem utęsknieni w błocie i wodzie mieli już odejść, byli pewni, że Ostasiewicz utonął, ale w pobliżu pasł krowy pastuch, kazali jemu szukać zaległego złodzieja i ten nieszczęsny wyrostek gorliwie szukał aż znalazł. Skopanego i zbitego okropnie Ostasiewicza skuli w kajdany i napół żywego zawieźli do Gestapo w Białymstoku. Przez dwa tygodnie torturowany w śledztwie nie wydał nikogo. Przesłał gryps w którym zapewnił, żeby wszyscy spali spokojnie. Dnia 16 lipca 1943 r. wyprowadzono więźniów na dziedziniec więzienny. więźniów wśród których był również Ostasiewicz ładowano do samochodów specjalnych "Kruk". Gdy przyszła kolej na Ostasiewicza, rzucił się on na Niemca i powalił go, drugi Niemiec zastrzelił tego odważnego żołnierza AK. Do lasu koło Nowosiółek zawieziono wraz z więźniami martwe ciało Ostasiewicza. Pośmiertnie Komenda Okręgu AK Ostasiewicza odznaczyła Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Po wpadce Ostasiewicza, Gestapo wpadło na trop "Kubusia", oprawcy zrozumieli, że w mleczarni jest ktoś z kim Ostasiewicz współpracował. Przyjechali do Kapic i otoczyli dom teścia "Kubusia" w którym nikogo z rodziny nie zastali. "Kubus" z żoną ps. "Marta" i dziećmi zdążył wcześniej uciec. Został przeniesiony rozkazem Komendy Okręgu AK do Komendy Obszar gdzie otrzymał funkcję szefa łączności konspiracyjnej V-a. Od tej pory "Kubus" do końca okupacji niemieckiej nie wyszedł z ukrycia pozostając nadal czynnym konspiratorem.

W konspiracji był dobrym organizatorem, odważnym i zrównoważonym. Nigdy "Kubusia" nie widziałem zamroczonego alkoholem. Ludzie w tym czasie rozpijali się, jedni robili to z rozpaczy inni z głupoty. Niemcy celowo patrzyli przez palce na producentów białego, wiedzieli, że alkohol jest jednym z ważniejszych sposobów zdegenerowania zdrowych Polaków. Przez wódkę nastąpiła nie jedna wyspa, różnice zdań i nieporozumienia.

Mieliśmy wspólne dowództwo AK. Dawny PZP i NOW, ale współpraca w dalszym ciągu kulała, a cierpiała na tym wspólna sprawa. W dołach podział na PZP, sanację i NOW, Narodowców pozostał. Zdarzały się bardzo przykre nieporozumienia, zilustrować to może wypadek, jaki zdarzył się wiosną 1944 r. : "Kmicic" na czele swego patrolu spotkał na drodze, wieczorem nieznanego osobnika. Napotkany na wezwanie "Kmicica" nie podniósł rąk do góry, za co został powalony w błoto i o mało nie otrzymał kuli w głowę, bo sięgnął po rewolwer. Okazało się że był to także partyzant, oficer dawnego PZP. Sprawa nabrała rozgłosu, PZP chciał zlikwidować "Kmicica", dopiero po długich wyjaśnieniach sprawę zatuszowano.

Kilkakrotnie rozmawiałem na te tematy z "Kubusiem", "Trzynastką" i innymi. "Kubuś" bolał nad tymi nieporozumieniami, ale był bezsilny na te ideologiczne zaangażowania. Ja starałem się żyć w zgodzie z kolegami którzy ręką przeszli z NOW do PZP i innymi. Pewnego razu przyszedł do mnie "Kabel" /Jan Sikorski/, dowódca placówki AK wobylin z prośbą wypożyczenia broni. Wypożyczyłem dwa karabiny, pistolet i granaty, kilkakrotnie już wypożyczałem broń Tadeuszowi Brzozowskiemu i Wacławowi Górskiemu, dawałem im do czytania "Walkę" i "Polaka", oni mi dawali Biuletyn informacyjny. Grupy partyzantów PZP kwaterowały na kwaterach wskazanych przeze mnie. Członkowie PZP "spaleni" nocowali w mojej kryjówce. "Sęp" /Adolf Gąssowski/ również xx współpracował ściśle z PZP. Nasz komendant "Lot" po scaleniu nakazywał ściłą współpracę i łączność między obiema organizacjami.

Jak już pisałem w okolicy gmin: Tykocina, Kobylina, Zawad, Rutek Kossak, i Sokół działały od początku okupacji niemieckiej głównie dwie organizacje podziemne NOW i PZP. Wiosną 1943 r. powstały oddziały Konfederacji Narodowej UBK, które po dokonaniu całego szeregu akcji bojowych, podporządkowały się rozkazom AK. W okolicy Wysokiego Mazowiecka, Czyżewa, Zambrowa i Łomży, działała dość silna organizacja wojskowa rekrutująca się głównie z dawnych członków Stronnictwa Narodowego - NSZ /Narodowe Siły Zbrojne/, wiem, że na terenie powiatu Wysokie Mazowieckiego było zorganizowane pięć kompanii ze wspomnianych szeregów. Na terenie powiatu zambrowskiego i łomżyńskiego organizacja NSZ była jeszcze bardziej silna.

Prezesem Stronnictwa Narodowego na Okręg Białostocki był ps. "Horodko", człowiek ogromnie energiczny i dzielny. Widywałem go często w moich rodzinnych Kąpicach u Józefa Pogorzelskiego prezesa Stronnictwa Narodowego na Powiat Wysokie Mazowieckie. Przyjeżdżał zawsze furą zaprzężoną w siwego konia i pozorując handlarza skórami z krów i koni. Na tego rodzaju handel miał wyrobione zezwolenie u Niemców i czuł się swobodnie wożąc na swym wozie kilkanaście skór. "Horodko" wraz z komendantem Okręgu Białostockiego NOW "Bogdanem" i innymi działaczami usilnie chcieli najpierw scalić NSZ z NOW w jedną organizację i razem wejść w szeregi AK. NSZ, których komendantem był na terenie pow. Wysokie Mazowieckie pułk ps. "Kiliński", a na terenie Zambrowa ppłk Władysław Zwański ps. "Iskra" oraz na terenie pow. łomżyńskiego znani działacze przedwojenni SN, bracia: kpt. Bolesław Kozłowski ps. "Grot" - absolwent Akademii Nauk Politycznych w Wilnie i mjr Antoni Kozłowski ps. "Biały" oraz kpt. Kozłowski ps. "Przemysław", "Lech". Czwarty z braci Kozłowskich wraz z ojcem na początku okupacji zostali aresztowani i osadzeni w obozie Căwincia, gdzie zostali zamordowani.

W szeregach NSZ-tu było wielu wybitnych Polaków z terenu całej Białostocyzny. Byli to ludzie o dużych tradycjach narodowych i oni chętnie pakowali z działaczami - kolegami z NOW, a ponieważ NOW podporządkowała się już w owym czasie AK w której szeregach dużo było dawnych działaczy i sympatyków sanacji, wobec tego nie chcieli współpracować z ludźmi, jak mówili, "którzy zaprzepędzili niepodległość Polski, za rządów który powstał haniebnny odcz w Berezie Kartuskiej" oraz nigdy nie chcieli przebaczyć pilsudczykowi zamachu majowego w 1926 r. i późniejszej dyktatury. Poza tym polityką NSZ-tu było organizowanie najbardziej patriotycznego ^{elementu} (spośród Polaków, zerwie i szkolic szeregów do ostatecznej rozgrywki, która miała nastąpić po całkowitym wykrwawieniu się naszych ościennych wrogów i nie dać się narzucić hegemonii temu, który zdoła wyjść zwycięsko z wojny.

Pomimo tych założeń zbrojne oddziały NSZ-tu walczyły skutecznie z okupantem niemieckim na terenie Białostocyzny. Cinieli w walkach, więzieniach i obozach. Kurhany mogli żołnierzy NSZ-tu rozsiadane są po całej Ziemi Białostockiej, krew ich lała się obficie tak samo jak wszystkich żołnierzy z AK. Dokonywali często wspaniałych akcji, które świadczą o ich patriotyzmie i nieugiętej woli do walki ze znieprawdzonego okupantem. Znałem niektóre akcje żołnierzy NSZ-tu, a o kilku chciałbym wspomnieć.

Wiosną 1944 r. oddział NSZ-tu pod dowództwem kpt. "Grot"/Bolesława Kozłowskiego/ i jego brata mgra "Białego" urzędnił z zadaniem...

koło Stawisk we wsi Lachowo na samochód osobowy w którym jechał mjr lotnictwa niemieckiego Guteajt, pupil samego Hitlera i oficer wermachtu, porucznik oraz Niemiec cywil, dziedzic majątku Lachowo Robert Piwko wraz z żoną Emną Piwko. Zasadzka powiodła się. Niemcy poddali się bez przelewu krwi. Partyzanci rozbrojonych Niemców przewieźli do swojej bazy wypadowej, która zorganizowana była na kolonii przy lesie pod Stawiskami. Tu urządzono areszt w piwnicy gospodarza w którym zamknięto Niemców. Następnie kpt. "Grot" i mjr "Biały" na podstawie przesłuchań dokonali dokładnego rozpoznania kogo są zatrzymani oficerowie niemieccy. Gdy się okazało, iż mjr lotnictwa niemieckiego jest wpływową osobistością wówczas kpt. "Grot" i mjr "Biały" postanowili wykorzystać okazję. Zatrzymanych Niemców postanowiono nakłonić do napisania listu do samego Hitlera za pośrednictwem Gestapo w Łomży. Oficerowie niemieccy napisali podyktowany im list, do którego dołączone zostały warunki d-ców oddziału partyzanckiego - żądających od Gestapo uwolnienia około 500 więźniów przebywających w więzieniu łomżyńskim. W liście ostrzeżono Gestapo i żandarmerię, że podczas trwania pertraktacji, zabrania się Niemcom jakichkolwiek pacyfikacji i aresztowań oraz wyjazdów w teren Gestapo, żandarmerii lub wojska. Pojawienie się Niemców w terenie będzie uważane przez partyzantów za zerwanie rozmów. Zakładnicy zostaną natychmiast rozstrzelani.

Wśród Niemców - zakładników siedział razem w piwnicy ich szofer z pochodzenia Polak. Kpt. "Grot" i mjr "Biały" dysponowali podczas zasadzki niewielkim oddziałem partyzanckim liczącym 21 ludzi, uzbrojonych w dwa pistolety ekraany, kilka automatów i zwykłe polskie i rosyjskie karabiny. Teraz ściągnęli ze swojej siatki kilkunastu członków i poczęli pozorować wobec niemieckich zakładników duży oddział partyzancki. Przy samej piwnicy dokonywano upozorowanych masztr i raportów. Co pewien czas z dużym łoskotem zatrzymywał się ten sam oddziałek i meldował o przybyciu takiego to i takiego plutonu lub kompanii o stanie osobowym zmyślnym. Wśród Niemców dziedzic Piwko i jego żona znali język polski. Wieczorami pilnie siedzieli przy drzwiach piwnicy i nasłuchiwali co się dzieje na podwórku i od razu na gorąco informowali o wszystkim swoich towarzyszy w piwnicy. Rano brano szofera na przesłuchanie i on opowiadał jakiego stracha mają Niemcy i co mówią.

W między czasie partyzanci z NSZ-tu złapali notorycznego złodzieja, który z bronią w ręku dokonywał napadów na niewinnych. Złodziej-bandyta dostał tego dnia łanie po czym wsadzono go do aresztu w piwnicy wraz z zakładnikami. Siedział dębe, następnie dostał wyrok śmierci, który został wykonany na oczach Niemców.

Po tygodniu pertraktacji Gestapo łomżyńskie na rozkaz z Berlina wypuściło na wolność 500 Polaków. Partyzanci wyprowadzili Niemców z piwnicy

zawiązali im oczy, wsadzili do ich samochodu i odwieźli do majątku Piwków w Lachowie. Tam odwiązano im oczy, zwrócono rzeczy osobiste za wyjątkiem broni. Kpt. "Grot" wygłosił patriotyczną mowę, nawiązując do humanitarnego obchodzenia się z nimi przez jego podwładnych partyzantów podczas przebywania w Polskiej niewoli przy czym nadmienił, że zbliża się dzień gdy Niemcy przegrają wojnę i wówczas otrzymają należną im zapłatę od Polaków za mordy i rzezie okrutne, za więzienia, obozy i tortury. Radził im, aby po powrocie do swoich starali się wpłynąć na niemieckich katów, którzy niezadają sprawy z jak wielkim ogniem igrają, którym jest Polska Podziemna i cały naród polski.

Niemcy odchodząc uroczyście przyzekali iż zrobią wszystko co w ich mocy aby zaprzestać temu złu, które dotychczas popełnili. Dziedzic Piwko przysięgał i Bożył się, że już nigdy nie podniesie ręki ani głosu na żadnego polskiego robotnika, przyznawał, że był niedobry i czasami bił Polaków kijem lub pytą.

W kilka dni po tych wydarzeniach w gazecie niemieckiej wydawanej w języku polskim w Łomży ukazwał się artykuł, w którym Niemcy pisali, że w okolicznych lasach polskich istnieje prawdziwa partyzantka polska, która działa na rozkaz swego emigracyjnego rządu.

Nawoływali partyzantów w swoim artykule do ujawniania się i nie przeszkadzania Niemcom w ich trudnej wojnie z bolszewizmem, przy czym obiecywali gwałtowności dla tych którzy zaprzestaną wroglej działalności.

Akcja powyższa stała się głośną na terenie całej Białostocczyzny. Niektórzy starali się pomniejszyć jej znaczenie z uwagi, że dokonali tego żołnierze z NSZ-tu.

Po wojnie rzecz miała i ma się w podobny sposób w żadnej książce napisanej przez ówczesnych pisarzy i wydanej nie wspomina się o ekscjach żołnierzy z NSZ-tu. Wypisuje się natomiast różnego rodzaju zmyślane paszkwile o rzekomej współpracy z okupantem tych dzielnych żołnierzy.

Komendant AK Okręgu Białystok ppłk "Mieczysław" usilnie chciał tych dzielnych partyzantów wcielić do AK. Kilkakrotnie konferował z braćmi Kozłowskimi, podczas spotkań chcąc ich przekonać o celowości wspólnej walki pod wspólnymi rozkazami, mówił iż sam jest z zapatrywanym narodowcem - sympatykiem Stronnictwa Narodowego. Niestety NSZ dalej prowadziły walkę z okupantem w odosobnieniu.

Wiosną 1943 r. oddział NSZ-tu pod dowództwem mjr "Białego" urządził zasadzkę we wsi Rydzyn na żandarmów, którzy eskortowali 30 osób aresztowanych do więzienia w Łomży. W zasadzce brało udział 16 partyzantów, żandarmów eskortujących było 10. Po krótkiej walce żandarmi poddali się.

Aresztowani Polacy zostali uwolnieni i otoczeni opieką, wśród uwolnionych było 27 mężczyzn i 3 kobiety. Żandarai po rozbrojeniu otrzymali upomnienie w postaci chłosty za brutalne obchodzenie się z aresztowanymi oraz przestrozę na przyszłość, że o ile to łanie nie przemówiło im do rozsądku, następnym razem dostaną kulę w łeb. Żandarmi potulnie powlekli się na swój posterunek i przez długi czas zachowywali się przyzwoicie wobec miejscowej ludności.

Z powodu powyższej akcji Niemcy nie zastosowali żadnych represji.

Po śmierci ojca "Białego", który wraz ze swym oddziałem zginął podczas walki na Czerwonym Borze, o czym piszę dalej, kapt. "Grot" zebrał kilkunasto osobowy oddziałek z którym zamierzał dokonać kilku akcji dywersyjnych. W tym celu zakwaterował z pięcioma partyzantami z NSZ-tu koło Kolna na kolonii u gospodarza Antoniego Gromadzkiego. Tu miała nastąpić koncentracja oddziału. Znalazł się szpicel, który doniósł Niemcom. Pięćdziesięciu gestapowców i smanów otoczyło zabudowania chłopskie. "Grot" widząc beznadziejną sytuację postanowił przyjąć walkę z myślą, że o ile ma zginąć ze swoją garstką żołnierzy to przynajmniej szkopy muszą drogo zapłacić za ich życie.

Wywiązała się walka, żołnierze NSZ-tu pruli po Niemcach z dwóch automatów, erkaemu i dwóch karabinów. Tyraliera niemiecka zaczęła się cofać i rwać, wówczas kpt. "Grot" ze swą garstką uderzył brawurowo w cofajacych się i przerwał kordon. Czterech partyzantów z kpt. "Grottem" wyrwało się cało, jeden został zabity i jeden ranny, którego nie było sposobu wynieść i uratować. Dobili go oprawcy dopiero na drugi dzień, po wielkich torturach podczas których chcieli coś z niego wydobyć.

Oto tak ginęli ci rzekomi współpracownicy niemieccy, których się opluwa i nazywa "spod znaku NSZ - bandami". Żydowskie, sjonistyczne metody, które zaraz po wojnie opanowały w Polsce wszystkie środki masowego przekazu i cały aparat bezpieczeństwa, w pierwszej kolejności chcieli zniszczyć najbardziej patriotyczny element polski skupiony w NSZ i to się im udało. Wybiegam tu zbyt daleko naprzód o czym w następnych rozdziałach będę obszernie relacjonował.

Wiosna 1944 r., zbliżał się front wschodni, dwie organizacje wojskowe na naszych terenach NOW i PZP scalone w jedną Armię Krajową, szykowały się do długo oczekiwanego momentu akcji "Burza". Pomimo ran zadanych przez okupanta AK na Białostocczyźnie stanowiła potężną siłę wojskową. Żołnierze byli przeszkoleni, niezłe uzbrojeni i wielu było już zaprawionych w bojach partyzanckich. Hitler groził nową bronią której próby Niemcy rozpoczęli na naszych terenach.

Na początku kwietnia 1944 r. byłem we śniegu w Kapicach. Stałem właśnie

przy oknie na piętrze i w pewnym momencie zobaczyłem lecący samolot chodu dość nisko. Nad Kapicami dziwny samolot zniżył lot jeszcze bardziej i rozerwał się w powietrzu. Eksplozja była silna, wiele szyb nie utrzymało się w oknach. Na szczęście ofiar w ludziach nie było, chociaż wybuch nastąpił w środku wsi. Uszkodzone zostały tylko chlewki Wądołowskiego. Na przestrzeni kilkuset metrów leżały różne części poszarpane żelaza. Natychmiast udałem się ze Stanisławem Chibowskim na miejsce wybuchu i szybko zaczęliśmy zbierać różne części domniemanego samolotu. Już dużo wcześniej nasze dowództwo wydało rozkaz na taki wypadek zbierać co się da. Zebraliśmy kupę różnych przedmiotów min. dwie butle tlenowe prawie całą tablicę z przyrządami kontrolno-pomiarowymi i kupę różnych blach. Całość szybko ukryliśmy. W parę godzin później przyjechali Niemcy dwoma samochodami i wyzbietali wszystko czego my nie zdążyliśmy ukryć. Teraz wiedzieliśmy, że nie był to samolot, ale nowa tajemnicza broń niemiecka. Ukryte części zostały spakowane i zabrane do Warszawy przez specjalistów z AK.

Podobne wypadki zdarzały się w tym czasie na terenie Białostoczczyzny. Taki pocisk - samolot spadł nad Bugiem, zarył się w błotnistą łąkę i nie eksplodował. AK-owcy szybko odnaleźli to miejsce, a ponieważ nie udało się odrazu wyciągnąć olbrzymiej bryły, zamaskowali go tak skutecznie, że Niemcy w końcu dali spokój poszukiwaniom. Wtedy przyjechali specjaliści z Komendy Głównej AK, pocisk odkopali, rozmontowali, dokładnie opisali, to czego nie dało się zabrać sfotografowali. Najważniejsze części i opis zapracował specjalny samolot przysłany z Anglii. Prawdopodobnie znalezione przedmioty przeze mnie pojechały też tym samolotem. W rozkazie komendanta powiatu "kota" dostaliśmy pochwałę za zebranie powyższych części.

Od stycznia do maja 1944 r. byłem sekcyjnym na siatce naszej organizacji. 3-go maja 1944 r. poszedłem na ochotnika do oddziału partyzanckiego, organizowanego na rozkaz Komendy powiatu NOW-AK. Oddział nasz liczył w tym czasie trzydziestu partyzantów, rekrutujących się wyłącznie z członków NOW-AK. Dowódcą mianowany został st. sierżant "Kmicic" /Ignacy Babiński/, zastępcą był ppor. "Kłos" /Adam Kotowski/, szefem sier. "Kuna" /Józef Sikorski/. Uzbrojenie to trzy polskie erkaeny, kilka automatów rosyjskich PPD i dziesięć ciostrzałowych samozariadek, karabiny polskie i sowieckie, kilkanaście rewolwerów różnego pochodzenia, duża ilość granatów obronnych i zaczepnych oraz dostateczna ilość amunicji.

Na wstępie zlikwidowaliśmy kilku szpicli niemieckich. Niemcy wypuścili w okolice Sokół trzech przeszkolonych agentów. Wywiad nasz doniósł, że włóczą się powoli jako szmuglerzy. "Kmicic" nie chcąc robić dużego rozgłosu przy likwidacji tych opryszków, po stwierdzeniu iż przyszli do wsi

C. d.
odpęd
(po bombie)

Jamiołki, postanowił udać się do nich we dwóch. Przebrał się po cywilnemu "Kmicic" i "Kuna" wzięli ze sobą tylko krótką broń i granaty. W Jamiołkach spotkali się z agentami, "Kmicic" swym doncównym głosem wezwał "ręce do góry", szpicle rozsypali się i zaczęli uciekać każdy w swoją stronę. Posypały się strzały z pistoletów, jeden z agentów padł trupem na drodze, pozostałych dwóch uciekało, kule rewolwerowe nie mogły już ich dosięgnąć. Za jednym pognął "Kmicic" za drugim "Kuna". Szpicel ścigany przez "Kmicica" wyjął rewolwer i zaczął strzelać. "Kmicic" choć biegł bardzo szybko, lecz gdy kule zaczęły mu bzykać koło głowy zwolnił musiał uzupełnić amunicję w magazynkach, w tym czasie ranny szpicel ostrzeliwując się uciekł do lasu. "Kuna" pognął swego w pole. Odległość między nimi powiększała się, szpicel był szybszy. Gospodarz z Jamiołek orał kofmi na polu, "Kuna" dopadł do koni, szybko wyprzągił konia i pognął konno. Agent widząc zbliżającego się "Kunę" na koniu zaczął strzelać z nagona. Kuna został lekko ranny w bok, ale nie zrażony tym dopadł agenta i pierwszy zdążył w tym pojedynku wpakować mu kulę w łeb ze swego parabelum. Ten który zdążył uciec przed "Kmicicem" zaalarmował żandarmerię w Sokołach. Przyjechali całą wataha i zabrali ~~dwóch~~ dwa trupy, którym nie udało się wykonać zadania.

W parę dni po tym wydarzeniu dostałem rozkaz pojechania z wydzielonym oddziałem patrolem na wykonanie szczególnie nieprzyjemnego wyroku. Akcja ta do dziś utrzymała mi się w pamięci, jako jedna z najgorszych w całej mojej działalności partyzanckiej. Było to wykonanie wyroku śmierci na konfidentce żandarmerii. Młoda dziewczyna dała się namówić do współpracy z wrogiem. Dzięki jej donosowi zginął nasz kolega "Kazik" ze wsi Wnory Stare podczas urządzanej ~~razem~~ przez żandarmów zasadzki na patrol "Kmicica". Jechaliśmy nas pięciu w niedzielne popołudnie, wyruszyliśmy do wsi Szlasy koło Hutek Kossak. Na skraju wsi oczekiwało na nas dwóch przewodników, którzy znali skazaną i jej miejsce zamieszkania. Byli to Łukasz Pogorzelski miejscowy dowódca plutonu NOW i jego podwładny Czesław Gosk. Była już szarówka, zapadał wieczór, dzień był upalny, dookoła zieleń, rozwinięte drzewa, kwitnące sady, łąki złociły się od kwiecia, wokół czuło się woń kwiatów i żywicy, lasy rozbrzmiewały śpiewem ptaków, a na polach i łąkach koniki polne i żaby w strumykach swym bzykaniem i rechotem uspakajały nasze młode, ale już mocno rozstrojone nerwy żołnierskie. Był to już czwarty rok ponurej okupacji. Zbliżało się lato, którego z tak wielkim utęsknieniem wyglądaliśmy, lato, które spodziewaliśmy się, że przyniesie nam upragnioną wolność, koniec tej niepewności o jutro i oto za chwilę jeszcze jedna ofiara ~~okrutnej~~ bezlitosnej wojny podzieli los wielu ludzi zbłąkanych i otumanionych.

Do mieszkania konfidentki żandarmerii weszło trzech: kpr. "Poznaniak", "Grom" i "Kurzawa", dwóch nas zostało na obstawie. Po chwili "Poznaniak" i "Kurzawa" prowadzili dziewczynę lat około 25. Księżyc świecił jasno dokładnie ją widziałem, przystojna, wysoka dziewczyna o niebieskich oczach i długich, jasnych włosach. Ciężko mi było iść za nimi, wiedziałem co się za chwilę stanie, że nie ma dla niej ratunku. "Poznaniak" przeprowadził jeszcze ostatnie śledztwo, kłamał, że o ile się przyzna do winy, będzie mogła wstąpić do naszego oddziału i zrehabilitować się. Nie mogłem słuchać tych bredni, żal mi było tej dziewczyny. Była sierotą, wychowana matki, ojciec jej to nieciekawy pijaczyna, niechlubnie zginie i nikt nawet nie będzie jej żałował. Twarde są prawa wojny, nie ma tu miejsca dla miłostki, tym bardziej dla zdrajców własnego narodu. Dziewczyna szamotała się, chce całować partyzantów po rękach, ale oni trzymają ją mocno. Długa droga przez wieś kończy się wreszcie pod krzyżem za wsią. "Poznaniak" robi to zbyt ceremonialnie, każe skazanej uklęknąć, czyta jej wyrok, poleca dziewczynie modlić się, ta chwieje się na kolanach i w tym momencie "Poznaniak" strzela ze swego nagana w skroń, drugi strzela do leżącej już w czoło. Strumień krwi bije na wysokość metra. Coś okropnego widziałem po raz pierwszy w życiu.

Wróciliśmy do oddziału późno w nocy. Długo czułem do "Poznaniaka" nieuzasadniony żal. Mógł to samo zrobić w mieszkaniu dziewczyny, rozkaz nie mówił gdzie wyrok miał być wykonany. To był jego pomysł, aby defilować ze skazaną przez całą wieś.

Następnej nocy komendant oddziału "Knicic" poinformował nas że w nocy mamy dokonać napadu na majątek ziemski pod administracją niemiecką we wsi Bobki koło Tykocina. Trzeba było przedsięwziąć wszelkie kroki ostrożności w celu udaremnienia lub choćby opóźnienia interwencji żandarmerii i Ukraińców z Tykocina. Tykocin odległy zaledwie o trzy kilometry a posterunek liczny i silny: 18-tu Niemców i 40-tu Ukraińców. Podeszli po cichu pod sam majątek, przecięliśmy przewody telefoniczne, ubezpieczyliśmy drogę dojazdową i dopiero wtedy biegiem ruszyliśmy do pałacu, gdzie mieszkał administrator z rodziną. Zaskoczenie powiodło się, Niemci poddał się bez jednego strzału. Zdobyliśmy dwa rewolwery, karabin, kilka granatów i ponad 200 szt. amunicji. Z gospodarstwa zarekwiroaliśmy 18 szt. koni, 6 wozów z uprzężą, 10 szt. ładnych krów /bydła było dużo więcej, ale nie mieliśmy jak brać/ zastrzeliliśmy 15 szt. świń i załadowaliśmy je na wozy. Kilku ludzi z siatki zajęło się krowami wcześniej i odeszło ze zdobyczą w umówionym kierunku. Oddział ruszył inną drogą dla zmylenia śladów. Nad ranem dotarliśmy na umówione kwatery na kolonję koło wsi Sierki przy lesie Stelmachowskim, tylko 5 km. od Tykocina. Rano wieprze zostały opalone, poćwiartowane, większą część pojechała do masarza. Na obiad kucharz przyrządził wspaniały gulasz, który z apetytem zjadaliśmy.

Okolo obojdu przybylo do naszego oddzialu dwosc znanych czlony konspiracyjnych: por. "Jurand" i st. sierz. "Trzask" / Stefan Penczewski/, ten ostatni rodem ze wsi w okolicy, znany i ceniony muzykacz i w. dzielnym partyzant, autor kilku pioserek partyzanckich. Por. "Jurand", wspomino mi, ze byl rodzonym bratem naszego komendanta okręgu "Bohdana". Obecność tych dwóch ludzi dodawała nam animuszu, służyła żołnierzom Polski Bódz. emnej. Przychodziła chęć do walki, starcia się w boju ze znieprawdym wrogiem.

Nad wieczorem wartownicy zaalarmowali "Kmicica", że gościami od strony Tykocina jadą wozy wyładowane Niemcami. Natychmiast zarządzono alarm bojowy, po słuchcie każdy z nas stał w pełnym rynsztunku z bronią gotową do walki. "Kmicic" wydał rozkaz: "gościami za mną marsz!" odmaszerowaliśmy krzakami kilkaset metrów w stronę gościciwa i rozwinięci w tyraliere zajęliśmy stanowiska bojowe. "Kmicic" z ppor. "Kłosem" szybkim krokiem przebiegli wzdłuż tyraliere, poprawili niektóre stanowiska, głównie erkaemistów. Jak na dłoni widzieliśmy nadjeżdżających z lasu na 28-u furmankach szwabów. Na każdej siedziało ich czterech lub pięciu, zatem trzykrotna przewaga. "Kmicic" jednak nie miał jeszcze rozkazów rozpoczęcia działań zaczepnych, nie nadzień jeszcze s s operacyjnej, aby po tak długich i krwawych przygotowaniach K mogła bić okupantów. Wszelkie przydarzy się ku temu okazje. Nasz komendant postanowił przepuścić watahę wrogów bezkarnie. Rozkazał strzelać dopiero gdy zboczą w naszym kierunku. Kiedy Niemcy wjechali na odcinek drogi prowadzący przez las zaczęli robić okropny harmider, było ich słychać w promieniu kilku kilometrów, widocznie chcieli uniknąć spotkania z nami. Z krzykiem i hałasem minęli nas i pojechali w kierunku wsi Opuchowo. Niechętnie opuściliśmy stanowiska i odeszliśmy dalej w las. Było już ciemno, kiedy usłyszeliśmy znajome hałasy, to Niemcy wracali do Tykocina. Znieśliśmy się, że już złapani partyzantów.

Pod koniec maja 1944 r. oddział nasz powiększył się do sześćdziesięciu partyzantów. Zbliżała się akcja "Burza" i godzina "W" zbrojne wystąpienia na terenie całej Białostoczczyzny. W tym celu był rozkaz zgromadzić większe zapasy żywności, której było pod dostatkiem w dworach i majątkach należących do Niemców.

Jak narazie oddział nasz żywił się tym co zdobyliśmy w majątku Dobki i zbiórką od rolników. Rolnicy ofiarnie nas wspomagali chlebem, ziemniakami i jarzynami. Kwaterowaliśmy przeważnie w lasach, na bagnach i tylko czasami na jakiejś kolonii przy lesie gdy padał deszcz. Do lasu przywoziliśmy kilkanaście snopków słomy, wypożyczonej od zaufanego gospodarza, słomę rozposcieraliśmy w gestych krzakach. Prawie każdy z nas miał koc, którym się okrywał i spał. kuchnia naszą to trzy białe 40-to litrowe, które zawieszano na żelaznym drążku między dwoma sosnami, pod nimi

1107-

palono ogień i gotowano kawę, zupę i gulasz. Miski, łyżki i noże mieliśmy na wozie gospodarczym. Dwa wozy parokonne zawsze jeździły za nami. Kwatery "Kmicic" zmieniał prawie każdej nocy, choć trzy, cztery kilometry przechodziliśmy z lasu do lasu. Po każdej akcji robiliśmy dalsze rady i kwaterowaliśmy w większych lasach.

30 maja 1944 r. uderzyliśmy na dwór Krzyżewo. Administratora Niemca rozbiliśmy bez walki, zdobyliśmy karabin i rewolwer, trochę amunicji. Zabraliśmy wszystką garderobę Niemca, kilkanaście sztuk tuczników 14 szt. koni, 7 szt. wozów, trzy wozy załadowaliśmy zbożem. Z tym żupem odskoczyliśmy do lasu pod wsią Borki. Całą zdobycz przekazaliśmy naszym władzom organizacyjnym, z tego część rozdzielono między sieroty po poległych członkach naszej organizacji, resztę zmagazynowano na godzinę "W". Ten wypadek na Krzyżewo był wstępem do większej akcji jaką zaplanował "Kmicic".

Jedną noc o tej samej porze mieliśmy dokonać napadu na bówar, mleczarnię i dwór w Jeżewie Starym oraz na dwór w Stelmachowie, jeden z większych majątków w okolicy, chroniony przez piętnastu wojskowych niemieckich. Chcąc tego dokonać "Kmicic" zwrócił się do "Lota" o wzmocnienie oddziału rezerwy, tzw. "siatką". Dokoptowano czterdziestu członków ~~NOO~~ AK. Oddział urósł do przeszło stu partyzantów.

Główne siły przydzielono z dwoma erkaemami do ataku na dwór stelmachowski, gdzie przewidywano starcie z ochroną. Znalazłem się w tej grupie.

6 czerwca 1944 r. oddział zakwaterował w lesie Kapickim, blisko kolonii Stelmachowskich. Wincenty Pogorzelski z najbliższej kolonii dostarczał nam do lasu wodę, ziemniaki i jarzyny. Był to mój serdeczny kolega, członek naszej organizacji, śmiały i odważny, zawsze był w dobrym humorze. Miał trzech braci i cztery siostry. Dom rodziny Pogorzelskich był schronem i przystanią dla wielu ludzi z szeregów Polski Walczącej. Obojętnie, czy byli to członkowie PZP, NOW czy KN. ~~W latach następnym walk stanię się i moja bezpieczną kwaterą, której nadamy kryptonim "Warszawa".~~

Tego dnia przed akcją na Stelmachów, Wicek po zaopatrzeniu oddziału w produkty żywnościowe, udał się do Stelmachowa celem przeprowadzenia dokładnego wywiadu.

Po zrelacjonowaniu "Kmicicowi" co słyszał i widział, otrzymał rozkaz wieczorem podprowadzić oddział znanymi jemu ścieżkami pod pałac w którym kwaterują Niemcy. Wicek znał dokładnie wszystkie obejścia.

Zrobiła się szarówka, trzy pododdziały ruszyły z lasu Kapickiego z "Kmicicem" na czele. Rozpoczęcie akcji ustalono na godzinę 22-gą, zakończenie planowano o 23³⁰. Sygnałem pomyślnym zakończenia każdej z akcji, miał być zielona rakietą, niepowodzenie oznacza kolor czerwony.

Dowódcą naszego pododdziału w akcji na Stelmachów był por. "Kłos", jego

zastępcą "Kuna". Znalazłem się w wydzielonej drużynie szturmowej, jako zastępca dowódcy drużyny "Kuny". Zadaniem naszej drużyny było podczołgać się pod sam pałac, wpaść do środka wszystkimi drzwiami i oknami, rozbroić załogę unieszkodliwiwszy uprzednio wartownika. O oznaczonej godzinie byliśmy w parku okalającym pałac. Wicek podprowadził nas wspinając się pod wartownika, dalej cołnął się i poprowadził dwóch partyzantów celem przecięcia przewodów telefonicznych. Skradaliśmy się do wartownika i pałacu. Trzeba przyznać, że robiliśmy to bezszelustnie, chociaż byliśmy w pełnym rynsztunku bojowym. Już po chwili trzymaliśmy trzęsącego się ze strachu wartownika za gardło. Otwartymi przez nas drzwiami i oknami wpadali następni partyzanci do środka. Nasz szef "Kuna" donośnym głosem krzychał "handehoh - ręce do góry". Budynek został opanowany błyskawicznie. Niemcy stali po kątach z podniesionymi rękami. Szybko wzięto broń, amunicję, mundury, buty i bieliznę. Inni koledzy zaprzęgali konie dworskie do wozów, ładowali na nie postrzelaną trzodę i inne zdobycz. Kapral "Poznaniak" rozmawiał po francusku z żoną administratora, Francuzką z pochodzenia, która zdążyła już ochłonąć z pierwszego strachu. Kiedy wszystko było gotowe ppor. "Kłos" wystrzelił zieloną rakietę, po chwili nad Jezewem ukazała się taka sama. Jechaliśmy przez las Stelmachowski, potem polnymi drogami do Opuchowa, gdzie mieliśmy się spotkać z pododdziałami wracającymi z Jezewa. Odpoczynek był krótki bo zaraz nadjechali nasi i już byliśmy w komplecie. Szpica naprzód! za nią kilkanaście wyładowanych wozów.

Nad ranem byliśmy w lesie pod wsią Konopki. Dwa wozy zostały tu szybko rozładowane i pojechały po skłomę. Nie od razu mogliśmy pozwolić sobie na odpoczynek, do nas należało opalenie ubitych świń. Zdobycz była ogromna. Ze Stelmachowa wzięliśmy 29 szt. koni, 14 wozów, 47 szt. trzody, kilkadziesiąt par butów, mundurów, płaszczy, dużo innej odzieży i bielizny, 15 karabinów, ponad dwa tysiące szt. amunicji karabinowej, trzy rewolwery i około 100 szt. amunicji, skrzynkę granatów.

W Jezewie zarekwirowano 400 kg masła, 1000 litrów śmietany, 2000 litrów piwa w beczkach, 17 szt. koni, 8 wozów, 16 tuczników, karabin, 2 rewolwery, kilkadziesiąt szt. amunicji i 9000 marek. Poza tym w Stelmachowie wzięliśmy ponad 100 kg suchej kiełbasy, którą "Emicic" kazał rozdać na śniadanie. Nasza rola skończyła się, kiedy wieczorem przekazaliśmy całą zdobycz czynnikom gospodarczym naszej organizacji, której szefem gospodarczym naszego powiatu był ppor. "Sęp" /Adolf Gąssowski/.

Zaalarmowani Niemcy w Białymstoku zjechali całym tabunem, krążyli szosami od Stelmachowa do Jezewa i Tykocina, ale podcigi nie podjęli, bał się zadaleko zapuszczać w lasy. Krążyła pogłoska o ogromnej sile oddziału, który dokonał tej akcji, miał on liczyć kilkaset partyzantów, znaleźli

się ludzie, którzy widzieli armaty i taczanki z cekaernami. Sami Niemcy opowiadali, że byli w oddziale Francuzi, Anglicy, Rosjanie i Polacy, rozmawiali różnymi językami.

Szosa Białystrak - Warszawa w czerwcu 1944 r. zapełniła się uciekającymi przed frontem Niemcami, Ukraińcami i Własowcami. Wsie zaroiły się wojskiem różnych narodowości współpracującymi z Niemcami, nawet nam partyzantom zaczynało się robić ciasno w lasach. Wraz z formacjami wojskowymi ciągnęły wozy z kobietami i dziećmi z różnym sprzętem. Żołdactwo uzbrojone zaczęło zabierać i rabować gospodarzom konie, wozy, świnie, bydło, drób i co się da, min. i mój ojciec stracił ładnego kasztana. Rabunkowi nierzadko towarzyszyły mordy. Nasz komendant "Kmicic" postanowił dać hołocie nauczkę. W tym celu przemaszerowaliśmy na kwaterę do lasu nad rzeczką Śliną, położonym między wsiami Kruszewo i Kobylin Cieszymy. Las olszynowy był gęsty, więc cały oddział mógł się dobrze zamaskować i przeczekać cały dzień do nocy. Wieczorem mieliśmy podejść pod szosę do której nie więcej było jak 600 - 700 metrów od naszej kwatery. "Kmicic" planował rozbić kilka samochodów z Niemcami i rozbroić parę wozów z Ukraińcami. Do rana przespaliśmy się spokojnie i dalej leżeliśmy w krzakach ukryci, obserwując ruch na szosie. Około godz. 14-tej zaczął nam dokuczać głód, choć na wozie mieliśmy po każdym zapas mięsa i słoniny, to kucharze nie mogli rozniecić ognia z powodu bliskiej odległości wroga. Wysłano po chleb i mleko, poszli "Kuna" i "Poznaniak" do wsi Kobylin Kruszewo. Zdażyli tylko zabrać przygotowany prowiant i wyjść z nim na drogę, kiedy nadjeżdżający samochód zatrzymał się i wyskoczyło z niego dwóch umundurowanych Ukraińców z karabinami. Zatrzymali "Kunę" i "Poznaniaka" zadając typowe dla tej sytuacji pytanie. "Kuna" słynący z zimnej krwi spokojnie tłumaczył po niemiecku, co niesie w bańce i workach. Ukraińcy opuścili karabiny i zażądali dokumentów, wówczas nasi jak na komendę wyciągnęli zza pasów rewolwery i w oka mgnieniu mieli na muszkach Ukraińców, którzy z przerażenia podnieśli ręce. Szofer w samochodzie widząc co się dzieje, nacisnął gaz i uciekł w kierunku zatłoczonej wojskiem i hołotą szosy. Nasi przyprowadzili do oddziału rozbrojonych Ukraińców. Znaleźliśmy się w przykłej sytuacji, lasek był, łatwy do otoczenia, od większego lasu dzieliło nas parę kilometrów prawie odkrytego terenu. Nie ulegało wątpliwości, że zaalarmowani prz szofera Niemcy dokonają obławy. "Kmicic" natychmiast zarządził alarm jowy i w pierwszej kolejności wysłał wóz załadowany prowiantem i amunicyją przez wieś Kobylin Cieszymy do lasu Pogorzałkowskiego, dwóch partyzantów pojechało na wozie. Galopem przemknęli się przez gościniec prowadzący od szosy Warszawskiej do Kobylina. Dalej cały nasz oddział rozwinięty w tyralierę w niesamowity upał szybko posuwał się w kierunku Pogorzałkowskiego. Po przejściu gościnca zobaczyliśmy podążący samochód

ciężarowy od szosy pełnej Niemców. Widząc naszą tyralierę samochód zatrzymał się w znacznej odległości. Wiedzieliśmy, że nas obserwują, widocznie przerazili się widokiem polskiego wojska, /byliśmy wszyscy w mundurach/ Kiedy zaczęliśmy się szybko oddalać, Niemcy szybko otworzyli ogień. Na szczęście wycofywaliśmy się polami porośniętymi wysokim już zbożem, niżsi koledzy kryli się w nim całkowicie, wokół mojej ciągle wysuniętej głowy bezustannie bzykały kule /byłem najwyższy w oddziale/. W pewnym momencie od wsi Kobylin Cieszymy, połączyła nas droga, nadjechał drugi samochód z którego na nasz widok zaczęły wyskakiwać postacie w niemieckich mundurach, narazie nie strzelali, widocznie brak im było rozeznania w sytuacji. Zdażyliśmy dopaść kępy lasu, która dała nam chwilową osłonę, ale wkrótce drzewa się skończyły, a od zbawczego lasu dzieliło nas jeszcze około kilometry drogi. Prowadziliśmy jeszcze dwóch Ukraińców /"Kmicic" liczył na dezorjzację Niemców, gdy zobaczą swoich wśród nas/ ci opóźniali teraz wycofywanie się z niebezpiecznego położenia, coraz częściej musieliśmy ich popędzać. Kiedy zaczęli odmawiać posłuszeństwa, d-ca dał znak, padły dwa strzały z pistoletów i dwa trupy zostały w zbożu. Miejscowi gospodarze kosząc żyto odnaleźli ciała w stanie kompletnego rozkładu, pogrzebali kopiąc pod nimi doły. Teraz kule sypały się z trzech stron w naszym kierunku. Jeden z samochodów próbował zagrozić nam drogę do lasu. "Kmicic" cały czas kierował tyralierą, gestykulując rękoma. Teraz donośnym głosem wydał rozkaz: stój!, w samochód zajęczaj ogień! Z sześćdziesięciu różnych luf gruchnęła salwa jedna, druga, erkaemy nasze zajęzgotowały długimi seriami, samochód stanął jak wryty. Niemcy i Ukraińcy z ogromnym poświęceniem wyskakiwali z niego, kryjąc się w bruzdach i zbożu. Dopadliśmy do naszej zielonej twierdzy u kresu wyczerpania. Nigdy w życiu nie byłem tak spocony jak wówczas. Jakimś cudem wycofaliśmy się wszyscy i nikt nawet nie był ranny. Na skraju lasu "Kmicic" rozkazał zająć stanowiska i otworzyć ogień z erkaemów i karabinów, ale odległość była dość duża, przerwaliśmy ogień, szkoda było amunicji. Niemcy nie następowali na las, zrezygnowali z pogoni. Mieli trzech zabitych i sześciu rannych.

"Kmicic" nie pozwolił nam długo odpocząć w lesie, liczył się z możliwością otoczenia niezbyt dużego lasu /ok. 1000 ha/, rozkazał maszerować dalej. Dzięki temu przed wieczorem znaleźliśmy się przy szosie biegnącej z Sokół do Jeżewa. Chcieliśmy przejść odcinek drogi wzdłuż szosy i w tym momencie od strony Sokół nadjechał ciężarowy samochód. Natychmiast zajęliśmy stanowiska bojowe na rowach szosy, na krzyk "halt" samochód stanął. Samochodem jechało trzech żołnierzy niemieckich, wzięli trzy konie, oddali karabiny, byli to rezerwiści, płakali ze strachu i prosili o darowanie życia. "Kmicic" wytłumaczył im, że polska partyzantka to nie Wehrmacht, ss czy Gestapo, my niewinnych ludzi nie mordujemy, ale narazie

muszą pozostać z nami, za co pół żartem przepraszał. Niemcy jednak nie pozbyli się niepewności i strachu. Samochód z kołmi i Niemcami odprowadziliśmy w las. Znalazł się sposób na sprowadzenie koni z samochodu, wjechałiśmy w dość duży dół, podsypaliśmy ziemi i klapa oparła się o ziemię, konie po takiej rampie spokojnie zeszły do lasu. Ciężarówkę zamaskowaliśmy i pozostawiliśmy.

"Kmicic" popędzał, chciał szybko ośkoczyć jak najdalej z oddziałem. Marszerowaliśmy przez lasy i laski, koło wsi Kropiewnica, Franki, aż późno w nocy doszliśmy okropnie zmęczeni i straszliwie głodni do wsi Kobylin Makowo. W grupach po sześciu zakwaterowaliśmy u gospodarzy. Gospodarze czym mogli, tym nas nakarmili. Najważniejszy teraz stał się sen. Obolał nogi, ramię odparzone przez chlebak pełen amunicji i granatów, mundur wilgotny od potu, buty porwane, spodnie sukienne galife w obcisłych nogawkach pełno było insektów, które gryzły ciało do ran. Spodni nigdy się nie zdejmowało, partyzant zawsze śpi w spodniach, mówili dowódcy.

Jednego razu zdjąłem spodnie w gęstych krzakach i chciałem wybić wszy, akurat zarządzono alarm bojowy no i o meły włos nie stanąłem na zbiórce bez spodni.

O północy zbiórka i znów odmarsz w nieznane. Po przejściu kilku kilometrów oddział zatrzymał się. Jeńców zwolniono, dano im wskazówki jak dojść do szosy Warszawskiej, gdzie spotkają swoich. Niemcy niedowierzając odeszli we wskazanym kierunku, żegnając nas słowami "z Bogiem" i machając czapkami. Nad eanem dobrnęliśmy do lasu koło Pażoch, tu była wyznaczona kwatera. Popadaliśmy na mech pod krzakami, trzech stanęło na warcie. Po chwili rozległo się jedno wielkie chrapanie.

Nazajutrz przyjechał goniec od komendanta powiatu por. "Lota", przywiózł rozkaz Komendy Okręgu "Sarna" do "Kmicica". Rozkaz wzywał oddziały AK-NOW do natychmiastowego stawienia się na koncentrację w Czerwonym Borze.

Niemcy aresztowali w okolicach Zambrowa i Łomży ponad 150 osób, przeważnie członków PZP-AK i osadzili tych ludzi w więzieniu Łomżyńskim.

Komendant Okręgu AK "Mścisław" wydał rozkaz wszystkim podległym oddziałom AK-NOW na terenie obwodów Łomża i Wysokie Mazowieckie, skoncentrować się i uderzyć na więzienie celem odbicia aresztowanych.

"Kmicic" natychmiast wydał rozkazy przygotowawcze: przywieziono z magazynów kilka skrzyni amunicji do polskich i sowieckich karabinów, każdy z nas otrzymał po 50 szt. dodatkowej amunicji, każdemu przydzielono po 3 granaty obronne, przywieziono zapasy żywności: kiełbas, słoniny i mięsa, wszystko z przeprowadzonych rekwizycji w dworcach niemieckich.

Wieczorem 25 czerwca 1944 r. ruszyliśmy w kierunku Czerwonego Boru.

W lasach Pniewskich mieliśmy się połączyć ze szkołą podoficerską i podchorążówką AK-NOW pod dowództwem por. "Wiesława" i "Zagłoby".

Nad ranem znaleźliśmy się w okolicy Szumowa za Zambrowem. Tu dogonił nas kurjer znów od komendanta por. "Lota" z rozkazem natychmiastowego zawrócenia z powrotem na swój teren. Przyczyną odwołania pierwotnego rozkazu była klęska skoncentrowanych już oddziałów w Czerwonym Borze.

Na koncentrację przybyły oddziały leśne z inspektoratów: Łomża, Zambro Wysokie Mazowieckie, przyłączył się do akcji operujący w okolicy Czerwonego Boru oddział NSZ pod dowództwem mjr "Białego" /Kozłowskiego/. Dowództwo nad całością objął inspektor mjr "Jacek", który dowodził w porozumieniu z inspektorem łomżyńskim mjr "Bruzda". Cobydwaj byli członkami dawnego PZP. Pomiedzy członkami PZP i NCW, pomimo, iż jedni i drudzy weszli w skład Armii Krajowej w dalszym ciągu panowały antagonizmy nie mówiąc już o NSZ, które nie podporządkowały się rozkazom AK. Przykre to były fakty, ale prawdziwe, które bardzo zaważyły na planowaniu akcji w Czerwonym Borze. Mjr "Jacek" poza tym popełnił kary godne będąc gdyż po dokonaniu częściowej koncentracji rozpoczął pertraktacje z Niemcami, grożąc Niemcom, że o ile nie rozpuszczą aresztowanych, uderzy się i rozbije więzienie. Niemcy szybko ściągnęli posiłki, rozesłali swoich szpicli, którzy wskazali miejsce koncentracji i uderzyli pierwsi. W koncentracji wzięło udział około 400 byłych członków PZP i około 150 z NCW oraz 30 partyzantów z NSZ. Pierwsze uderzenie Niemców przyjęły na siebie oddziały AK-NCW, którymi dowodził "Wiesław". Gdy oddziały AK-NCW związały się walką z ogromnymi siłami wroga wówczas mjr "Jacek" rozkazał głównym siłom oddziałów AK odwrót i przebiecie się przez pierścień obławy niemieckiej. Dzięki związaniu głównych sił niemieckich w walce z oddziałami "Wiesława" mjr "Jacek" przebił się wraz z głównymi siłami przez pierścień tyraliery niemieckiej, ponosząc małe straty i wycofał się na wieś Olszewo. Następnie pomaszerował do miejscowości Grabocz, gdzie swoje zgrupowanie rozwiązał. Na placu boju pozostały niedobitki zgrupowania AK-NCW, którym podał z pomocą oddział mjr "Białego" z NSZ. Żołnierze AK rekrutujący się z członków Stronnictwa Narodowego bili się z determinacją do upadłego, zginęło ich około pięćdziesięciu, poległ d-ca AK-NCW "Wiesław", poległ d-ca NSZ mjr "Biały", większość żołnierzy była ranna. Po boju w Czerwonym Borze powstał znów wielki niesmak w szeregach AK-NCW. Pytano, dlaczego w większości wyginęli żołnierze NCW? Jakim prawem mjr "Jacek" wycofał się z boju z największą ilością żołnierzy i najlepszym uzbrojeniem? Z przykrością trzeba stwierdzić, że prawdopodobnie przyczyną tego była trwająca w dalszym ciągu rywalizacja polityczna. W krwawym boju zginęli partyzanci z AK-NCW - Narodowcy. Silny oddział AK dawnego PZP zw. sanacja wycofał się prawie bez boju. Jedni i drudzy mieli tego samego wroga - Niemców, w których niewole popadła ukochana przez wszystkich Polaków

Ojczyzna. Daleko było jeszcze do wolności i samodzielnosci, ale niektórym wyżej postawionym w konspiracji ludziom znane już były pewne fakty. Inspektorowie okręgowi AK wiedzieli, że zgodnie z zawartym porozumieniem rządu i stronnictw politycznych na całej Białostocczyźnie władzę administracyjną i polityczną wó. tzw. klucza partyjnego została przeznaczona Stronnictwu Narodowemu. I ten przedwczesny fakt psuł krew niektórym mniej wyrobionym politycznie ludziom.

Boj w Czerwonym Borze nie był odosobnionym wypadkiem, ale niech on i jemu podobne pozostaną na przyszłość przestroga dla potomni. Niech Polacy nie zapominają, że są synami jednej Ojczyzny i o ile chcą istnieć i trwać jako wolny naród, muszą, zwłaszcza w niebezpieczeństwie zaniechać podziałów politycznych.

C.d. odp. -> Po boju w Czerwonym Borze d-cy powiatowi AK-PZP chcieli pociągnąć "Kmicic" do odpowiedzialności za niewykonanie rozkazu i nie przybycie na czas na koncentrację. "Kmicic" miał dość wystarczające alibi, a od tch. rzostwa był daleki, które próbowano mu zarzucić. Gdy otrzymał rozkaz od por. "Lota" w ciągu jednej nocy dokonał rajdu około 50 km od Pałoch pod Szumowo. Wycofał się na rozkaz swego przełożonego, bo było już po wszystkim. Niemcy zdążyli już dokonać masakry, dzięki nieudolnemu dowódczeniu przez inspektora mgra "Jacka". Mało brakowało, a prawdopodobnie bylibyśmy podzielili los naszych kolegów z AK-NOW pod dowództwem "Wiesława" i NSZ pod dowództwem mgra "Białego".

Straty ogólne wśród wszystkich oddziałów partyzanckich podczas akcji w Czerwonym Borze obliczono na 69 zabitych w tym jedna kobieta - łączniczka i drugie tyle rannych. Stracono 2 ckm, 4 rkm, i dwa wozy z amunicją i granatami. Straty Niemców wg nie sprawdzonych dokładnych danych wynosiły około 150 zabitych i 200 rannych. Niemcy swoich zabitych załadowali na samochody i powieźli. Partyzantów pochowano na cmentarzu w Andrzejewie.

Według nie sprawdzonych danych Niemcy na oblężeniu w Czerwonym Borze skoncentrowali około pięć tysięcy różnych swoich formacji, w tym mieli samochody pancerne, moździerze i działka, poza tym samoloty obserwacyjne do nrywały lotów zwiadowczych.

Po bitwie w Czerwonym Borze Niemcy wzmożli terror. Rozpoczęli masowe aresztowania. W Rutkach Kossakach i w Zawadach aresztowali 35-ciu członków AK. W Zawadach 25 czerwca 1944 r. aresztowali mego dobrego kolegi Tadeusza Rutkowskiego i jego brata Franciszka, aresztowali "Lwa"/Kostkę sekretarza gminy, chcieli aresztować nauczyciela z Zawad Kiełczewskiego Józefa ps. "Józef" i Tadeusza Wiśniewskiego ps. "Teka", ci dwaj mieli się na ostrożności i już od dłuższego czasu w domu nie nocowali. Józef Wiśniewski był przed wojennym przodownikiem policji był aktywnym członkiem AK, chodził w niedużym oddziale partyzanckim pod dowództwem "Znicza"

Wszyscy byliśmy gotowi wspólnymi siłami bić znieprawidzonego wroga. Znów się zatarły różnice polityczne, tak jak to miało miejsce we wrześniu 1939 r.

Niestety, było za późno, dopiero teraz nasi wodzowie zaczęli się otrząsać z letargu w jaki zapadli.

c.d. dypod → 5 Okręgi wschodnie AK zajęte przez wojska sowieckie przestały istnieć. Oddziały AK, które stanęły do wspólnej walki przy wyzwoleniu obszarów wschodnich, Armia Czerwona rozbroiła i internowała do obozów i więzień. Wiadomości powyższe dotarły do naszego oddziału kwaterującego w lesie obok kol. Stelmachowo. "Kmicic" starał się nie wtajemniczać poszczególnych żołnierzy w tego rodzaju tajemnice. Sam zawsze pełen entuzjazmu i chęci do dalszej walki, stał się posępny i widać było jego przygnębienie. Podczas luźnych rozmów z nami zawsze optymistycznych nagle stał się pesymistą. Jeszcze przed paru tygodniami mówił nam, że jesteśmy o krok od wolności i niepodległości, dziś prorokował drugą i trudną walkę partyzancką jaka nas jeszcze czeka, a nawet nadmieniał o całkowitej zagładzie. Już wiedzieliśmy wszyscy, co się dzieje na wschodzie z naszymi kolegami, nie mniej liczyliśmy jeszcze na jakieś wyjście z tej nieciekwej sytuacji. Z lasu Stelmachowskiego wieczorem oddział nasz ubezpieczony w szpicę przednią i boczne ruszył. Maszerowaliśmy przez leśne dróżki i polne miedze omijając wsie i główne drogi, które już były zapchane różnego rodzaju formacjami przyfrontowymi i szarańcza złożona z Ukraińców, Białorusinów i Własowców. Doszliśmy do szosy Warszawskiej lasem obok wsi Kołaczki i tu po dłuższym oczekiwaniu, aż przejadą całe kolumny samochodów i konnych wozów, około północy przemknęliśmy się polem między wsią Kapusty i Krzewo do lasów Garbowskich. Przemaszerowaliśmy tu obok wspólnej mogiły oddziału Uderzeniowych Batalionów Kadrowych o którym pisałem. W środku lasu założyliśmy kwaterę. Trzech stanęło na warcie, chłopcy popadali gdzie który stał, po chwili rozlegało się jedno wielkie chrapanie. Ocknąłem się około dziewiątej, słońce już mocno przygrzewało, kucharze krzatali się przy śniadaniu. Przyjechał por. "Sterna" z nowinami, był on ostatnio komendantem powiatu na Bielsk Podlaski. Wracał z odprawy, która odbyła się we wsi Kobylin Kruszewo u naszego członka kol. "Bema" /Józefa Mościckiego/. Na odprawie było wiele osobistości z "Bogdanem" komendantem Okręgu Białostockiego NOW-AK na czele.

Podczas odprawy "Sterna" mówił, iż por. "Sęp" /Adolfa Gassowskiego/ mianowany adiutantem delegata rządu na woj. białostockie. ["Grzymała"] Józefa Przybyszewskiego. Por. "Sęp" pomimo zatłoczonych szos i dróg przez Niemców, jeszcze tego samego dnia wsiadł na rower i przeciskając się między Niemcami pojechał do Białegostoku na spotkanie z "Grzymałą". Jak się później dowiedziałem por. "Sęp" szczęśliwie dojechał do Białegostoku, nawiązał kontakt z "Grzymałą" i po kilkunastu dniach urzędowania

jako adiutant otrzymał rozkaz od "Grzymały" udania się z ważnymi mekdukami do Komendy Głównej i Delegatury Rządu w Warszawie. Por. "Sęp" nie zawa-
hał się w wykonaniu i tego trudnego rozkazu. Na parę dni przed wkroczeniem
Armii Czerwonej do Białegostoku tym samym rowerem wyruszył prawie przez
front z Białegostoku do Warszawy. Szczęśliwie dojechał na przedmieście Pra-
gi. Do Warszawy nie dostał się z powodu wybuchu powstania. Po przyjeździe
sowieców na Pragę przedostał się do Kopic i tu o mały włos nie wpadł w ręce
NKWD, gdyż dom ojca jego każdego dnia nieomal otaczany był i plądrowany
przez nkawudziistów poszukujących Adolfa. "Grzymała" jeszcze podczas swego
urzędowania dał wniosek na odznaczenie por. "Sępa" Krzyżem Walecznych za
wykonanie nader trudnego rozkazu.

Wybiegiem w tym miejscu nieco naprzód.

Dzień spędziliśmy w lasach Garbowskich, który był pełny różnych przygód.
Dookoła wszystkie wsie były już zapchane różnymi formacjami niemieckimi
przyfrontowymi. Niemcy zaczęli zapuszczać się i do lasów. Około południa
dwóch żołnierzy niemieckich wjechało furmanką do lasu Garbowskiego. Nasze
straże z daleka zauważyły nadjeżdżających. "Kmicic" z kilkoma partyzantami
zaleciał drogę jadącym Niemcom. Bez strzału rozbili intruzów. Okazało się,
iż byli to maruderzy, którzy pracowali w piekarniach wypiekających chleb
na front. Wypuścili się na handel w poszukiwaniu bimbrow. Ogromnie byli wys-
traszeni, obaj po czterdziestce. Płakali tłumacząc się iż w domach mają
żony i dzieci. "Kmicic" kazał przetrzymać ich do wieczóra i późno w nocy
zwolnił z aresztu, zatrzymując dwa karabiny, konia i wóz oraz dobre dwie
pary butów wymienili koledzy na swoje porwane. Niemcy odchodząc złożyli
uroczystą przysięgę, że nikomu nie powiedzą ze swoich przełożonych ani sło-
wa gdzie ich rozbili. Zaszła wobec tego konieczność zmiany kwatery.
"Kmicic" przeprowadził cały nasz oddział kilka kilometrów i zakwaterował
z drugiej strony w tym samym lesie.

Rano do naszego oddziału przybył por. "Lot" dawny komendant NOW powiatu Wy-
soko Mazowieckiego. Por. "Lot" dokonał przeglądu oddziału po czym po nara-
dzie z "Kmicicem", por. "Kłosem", por. "Marcinem" i por. "Sterną" wygłosił do
nas wszystkich mowę w której m.in. podziękował nam za naszą patriotyczną
postawę, za nasze trudy i znoje żołnierskie w kilkuletniej walce z okupan-
tem Polski w konspiracji. Czajnił nam, iż w obecnej sytuacji politycznej
w jakiej znalazła się Polska, wobec groźnych wiadomości napływających ze
wschodnich okręgów AK, gdzie sowieci rozbijają oddziały AK, aresztują i wy-
wożą jej członków do więzień i obozów w Rosji, akcja "Burza" na naszym te-
renie będzie zahamowana. ~~Do zgrupowań, które miały powstać na Czerwonym
Bórze: 18 Dywizja Piechoty i 29 Dywizja Piechoty jak również inne duże jed-
nostki taktyczne w skład których miał wejść nasz oddział, nie dojdzie.~~
Dalej mówił, iż w dalszym ciągu pozostaniemy w konspiracji do czasu wyjaś-
nienia tych przykrych wypadków, które napływają ze Wschodu.

Następnie rozkazał zdemobilizować nasz oddział, po czym podszedł do każdego z nas i serdecznie pożegnał się. Więcej już tego dzielnego oficera i komendanta nie widziałem. Po wkroczeniu Sowietów na nasze tereny został aresztowany wraz z żoną Różą Czarnohorską przez NKWD i wywiezieni do Rosji. Po 15 latach wrócili z łagrów sowieckich do Polski. Słyszałem, że żyją gdzieś na Ziemiach Odzyskanych.

"Kmicic" postanowił na własną ryzyko zatrzymać przy sobie kilkunastu partyzantów. W tym celu zwrócił się do nas z zapytaniem, kto chce na ochotnika pozostać razem z nim? Zgłosiła się większość z której wybrał ośmiu partyzantów z najlepszą bronią i chyba najdzielniejszych. Ja nie zgłosiłem się do tej dalszej tułaczki, byłem młodym dwudziesto letnim żołnierzem. Rygor w oddziale, ciągłe marsze, napięcie nerwowe w czasie akcji i po akcjach oraz niedostatek i ciągłe chodzenie ze śmiercią pod ręką, chciałem choć parę dni wypocząć gdzieś w kniejach zaszyty. "Kmicic" sam zaproponował mi, abym szedł z nim. Straszyl, że wodosobnieniu łatwiej zginąć, a z nim mam szansę przeżycia. Zapytałem, gdzie chce z tą garstką maszerować, odpowiedział, że zaplanował iść za rzekę Narew w bardzo białostockie tereny niedostępne dla wrogów, w okolice lasów Szelańskich i wsi Zojki, Kiernusy i Łazy. Gdy zrezygnowałem z jego propozycji, widziałem, że był bardzo zdenerwowany, a na osobności nawymyślał mi nawet bardzo brzydko.

Umówiliśmy się z por. "Kłosem", że bierzemy do siebie "Poznaniaka" /Jana Ferkowskiego/ i "Groma" /Stanisława Chibowskiego/ i nocą w czwórce będziemy się przedzierać do moich rodzinnych Kopic. Gdy zrobiło się już dobrze ciemno, pożegnaliśmy kolegów, którzy również zbierali się w grupki i wyruszali z bronią i w pełnym umundurowaniu w strony swoich rodzinnych wsi. Przykro było opuszczać rozpadające się szeregi tego wspaniałego oddziału w którym żyliśmy się jak jedna wielka rodzina, oddziału, który dokonał kilkunastu akcji dywersyjnych na Niemczech, któremu dopisywało szczęście, chyba duża w tym zasługa dzielnego komendanta "Kmicica" który był uroczonym partyzantem, wspaniałym znał teren i ludzi oraz taktykę wojny partyzanckiej. Uczył nas, że walka partyzancka polega na tym aby wroga "kąsać" zawsze zniemacka tam gdzie on się najmniej tego spodziewa. Nigdy nie nawiązywać walki z wrogiem, który jest w danym miejscu silniejszy, unikać otwartych walk zwłaszcza w dzień, bo zawsze wrogom przybędzie na czas pomoc. Nie wstydzić się tego, że po uderzeniu i zadaniu nieprzyjacielowi strat, trzeba uciec i zatrzeć po sobie ślady. Dowodem tego, że "Kmicic" był wspaniałym partyzantem są fakty. Przez cały czas okupacji zawsze był w terenie z bronią w ręku i zawsze dowodził ludźmi, których nie wytracił. Z jego podwładnych zginęło kilku partyzantów, podczas gdy inni potracili całe oddziały i sami poginali.

4
Lucjan Orłowski:

-17-

sto udało mi się choć potrzymać karabin, a kilka razy pan Mikołajczyk podczas ćwiczeń strzelania zawołał mnie, kazał dać mi karabin i po krótkim objaśnieniu jak się należy obchodzić z karabinem i jak należy celować do tarczy, pozwolił mi strzelać. O dziwo pierwszy raz w życiu wpa-
liłem do tarczy z karabinem i popadłem prawie w dziesiątkę, drugi strzał w to samo miejsce, trzeci ciut niżej. Pan Mikołajczyk był zaskoczony moim strzelaniem, pochwalił mnie i pozwolił przycodzić na strzelnicę. Innym razem strzelałem z KBK-su co było łatwiejsze więc waliłem bez pudła.

Odkąd
W latach 1936 - 1939 w naszej kobylińskiej parafii i okolicy rozwinął się ruch narodowy - Stronnictwo Narodowe. Kaplice podzieliły się na dwa przeciwstawne obozy polityczne. Większość mieszkańców należała do Stronnictwa Narodowego, kilku do BBWR /Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem/, tych ostatnich nazywano sanacją. Członkami Stronnictwa Narodowego z Kapicy byli mój ojciec i stryj, Czesław Kropiewnicki, Stanisław Kropiewnicki, Czesław Zalewski, Józef Zalewski, Eugeniusz Zalewski, Wacław Ożarowski, Jan Chibowski, Jan Grodzki, Jakub Truskolawski, Edmund Targoński, Franciszek Kapica, Aleksander Kapica, Władysław Babiński jego syn Stanisław i córki Jadwiga i Helena, Józef Cassowski jego synowie Adolf i Piotr oraz córka Aniela, Józef Kapica, Michał Roszkowski, Aleksander Zdrojewski, Julian Milewski, Stanisław Szafrankowski, Mieczysław Szafrankowski, Michał Szafrankowski, Sylwester Szafrankowski, Kazimierz Szafrankowski, Czesław Szafrankowski, Walenty Masłowski, Czesław Puchalski, Józef Zalewski i jego córki Fema i Kunegunda, Jan Nieciecki, Stanisław Nieciecki, Mieczysław Nieciecki, Dominik Sikorski i Józef Zajkowski.

Komendantem SN na gminie Kobylin był Dominik Sikorski, jego zastępcą Józef Kapica. Szybki rozwój SN na terenie całej Białostoczczyzny należy przypisać bardzo radykalnym hasłom, bojkotowi Żydów, dobrym organizatorom. W naszych stronach pionierami SN byli Józef Pogorzelski ze wsi Bianki gm. Sokółki, ożeniony w Kapicach Jasiowizna z córką Józefa Zalewskiego - Femą, Tadeusz Kupliński ze wsi Sierki gm. Tykocin, Tyborowski z Tykocina, Adolf Cassowski z Kapicy oraz Włodzimierz Zdrodowski ze wsi Kobylin Cieszyński. Sąsiedni powiat Łomża od dawna słynął z częstego przebywania tam Wodza Naczelnego SN Romana Dmowskiego, który zmarł w 1938 roku w Brodzowie pod Łomżą w majątku swoich krewnych. Śmierć Romana Dmowskiego tego wielkiego Polaka i polityka okryła nasze strony podobną żałobą jak śmierć Piłsudskiego. Członkowie SN z Kapicy uczestniczyli w pogrzebie swego wodza w Brodzowie i w Warszawie na cmentarzu Brodnowskim.

Z Kapicy Adolf Cassowski będąc absolwentem gimnazjum w Sejnach, wystąpił podczas wyborów do sejmiku w 1931 r. zbyt ostro przeciw głosowaniu na kandydatów BBWR, wspólnie z Włodzimierzem Zdrodowskim, za co w rok po wyborach zostali aresztowani i skazani. Do wybuchu wojny tj do

września 1939 r. siedzieli obaj w więzieniu. Gąssowski przed aresztowaniem wstąpił do seminarium duchownego w Wilnie, czym uczynił zadość woli swoich rodziców od początku widzących w nim księdza. Marzenia Gąssowskich nie ziściły się, gdyż policja odnalazła młodego Narodowca i zdjęła z niego sutannę.

Działalność SN w tym czasie przybierała żywiołowy charakter na obszarze całej Białostoczczyzny. Zebrania, zjazdy, wiece, patriotyczne hasła "Polska dla Polaków", "Precz z żydo-komuną", "Niech żyje wielka Polska". Mieczyk Chrobrego, znak przynależności do SN widziało się w klapie marynarki prawie każdego mężczyzny, noszono także wiele kobiet. Galowym strojem organizacji była bluza koloru jasnoszarego, pas oficerski z koalicijką i czarny beret. Na powitanie mówiono "czołem" i unoszono prawą dłoń w górę. Wielkim świętem był dzień 15 sierpnia, rocznica "Cudu nad Wisłą". Rokrocznie w dniu tym odbywały się zjazdy i wiece połączone z nabożeństwami i pochodami.

W 1938 r. ^{ok.} odbył się zjazd członków SN w Białymstoku. Byłem wówczas dużym już chłopcem, miałem czternaście lat, byłem szczupły, ale wysoki. Udało mi się rodziców uprosić, aby pozwolili mi pojechać wraz z moim stryjem i Kopicakami na ten zjazd do Białegostoku. Jechało z Kopic dwudziestu pięciu narodowców, pięcioma wozami parokonnymi, ubrani galowo w bluzy, berety i pasy, ja też ubrałem się w taki sam strój, który pożyczyłem od Czesława Kropiewnickiego. Z innych wsi dołączyło do nas kilkanaście furmanek. Jechaliśmy z proporcem parafii kobylińskiej, który został ufundowany ze składek członków SN naszej parafii i przed rokiem wyświęcony w Kobylinie. Podczas wyświęcania odbyła się wielka manifestacja, połączona z wiecem przy udziale kilkuset narodowców i okolicznych księży. Do noszenia proporca wybrany został Piotr Gąssowski - brat Adolfa, który w tym czasie został powołany do czynnej służby wojskowej do Wilna. Proporzec nosić przypadło w zastępstwie Ignacemu Babińskiemu ze wsi Plebanki. Był to ogromnie energiczny i oddany członek SN w parafii zawadzkiej. Teraz on na czele kolumny wozów jechał ze sztandarem na zjazd. Wyjechaliśmy 14 sierpnia przed wieczorem, do Białegostoku od Kopic było 31 km., więc zarządzone nocleg we wsi Złotoryja. Wieś duża, większość mieszkańców członkowie SN, przyjęli nas gościnnie. Spanie odbyło się w stodołach na sianie. Rano 15 sierpnia dołączyło do kolumny jeszcze kilkanaście wozów z okolicznych wsi oraz grupa cyklistów i kilkudziesięciu konnych ułanów. Ze Złotoryji ruszyliśmy około godz. 8⁰⁰, kawaleria na czele za nią cykliści, a następnie kolumna wozów. Do Białegostoku /około 13 km/ szybko przyjechaliśmy. Całość zatrzymała się na szosie Żółtkowskiej. Na kilku dużych dziedzińcach fabrycznych pozostawiono wozy, konie i rowery. Uformowaliśmy się w czwórki, rozwinięto proporce i transparenty.

Dominik Sikorski objął komendę nad całością po czym podał rozkaz naprzód marsz i pochód ruszył w kierunku dworca kolejowego, dalej ulicą w kierunku Placu Wyzwolenia. Tam był punkt główny - zborny. Maszerując przez Białystok śpiewaliśmy pieśni:

To nic, że kraty, więzienne mury,
Że nas przygniata sanacji dłoń
My z naszą wiarą rozpędzimy chmury,
A z niej wykujem silną broń.

I przyjdzie dla nas szczęśliwa dola
Zawita dla nas jaśniejszy dzień
Z więzień wyjdziemy na nasze pola
Sanacja zniknie jakby cień.

Z mieczem Chrobrego ruszmy na wroga
W pył skruszymy więzienne kraty i mury
W walce nam nigdy ustać nie wolno
Aż wielką Polskę ujrzymy znów.

Druga pieśń którą narodowcy śpiewali:

Tam na Polesiu wśród bagien bezdennych
Gdzie tylko ponury wiatr wiał
Zagnał serc dużo promiennych
Bez duszy okrutny zły kat.

Za to, że kraj swój tak szczerze kochali
A Żydów chcieli wygnać precz
Miłość Ojczyźnie w ofierze składali
Twardo trzymali swój miecz.

Lecz nie załamał ich trud i niedole.

A tylko wyrobił w nich hart
Śmiało stawiajmy wrogom swe czoła
Hasło nas niesie hen w świat.

Precz z naszej Polski żydowska zaraza
Precz złe przekupstwa i brud
Nas nie zastraszą Kartuską Berezą
Pracą nad siły i trud.

Hymn SN

Złoty słońca blask dokoła
Biały Orzeł wzlata w zwyż
W górę wzniesiony dumne czoła
Patrzmy w polski znak i krzyż.

Polsce niesiem odrodzenie
Depczem podłość, fałsz i brud

W nas mocarnej wiosny tchnienie
W nas jest przyszłość z nami Bóg.

Idziem, idziem w wir powodzi
 Niechaj przemoc wroga drży
 Już zwycięstwa dzień nadchodzi
 Wielkiej Polski moc to my.

~~Znałem cały szereg innych piosenek śpiewanych przez narodowców, ale niestety po tylu latach uleciały mi z pamięci.~~ Dominik Sikorski wznosił hasła: Precz z żydo - komuną! Precz z sanacją! Śmierć zdrajcom ojczyzny!. Cały pochód jednym głosem huczał - precz, niech żyje wielka Polaka!. Policja granatowa, przy każdej czwórce policjant, pasek pod brodą, maszerowała obok nas cały czas aż do Placu Wyzwolenia. Białystok wówczas był miastem zażydżonym, 70% mieszkańców stanowili Żydzi, którzy tego dnia pochowali się po różnych zakamarkach, wyglądali z balkonów i okien. Widzieliśmy, że policja granatowa goniła tego dnia Żydów z chodników i ulic, widocznie bała się aby nie spowodowali jakiejś draki.

Na Placu Wyzwolenia czekały ogromne masy członków SN w galowych strojach i po cywilnemu z mieczykami Chrobrego u klap marynarek. Tu rozpoczął się wiec. Pierwszy przemawiał jakiś pułkownik rezerwy w mundurze. Po nim cywil, mówiono, że z Warszawy delegat SN, mówił tak wspaniale, tak donośnie i przekonywująco. Poraz pierwszy w życiu widziałem człowieka o tak wielkim talencie mówcy. Na zakończenie wiecu długo przemawiał ksiądz. Następnie ustawiono nas wszystkich w czwórki i ogromny pochód ruszył ulicami w stronę kościoła Św. Rocha. O dziwo, znów cały pochód prowadził Dominik Sikorski, za nim w pierwszej czwórce niósł rozwinięty proporzec naszej parafii Ignacy Babiński. Kapicaki maszerowali na czele pochodu, ja szedłem w trzeciej czwórce od przodu. Słyszałem odgłosy Białostoczaków z chodników, jak mówili: "patrzcie, patrzcie jacy młodzi chłopcy maszerują na czele pochodu..." ~~Obok mnie maszerował mój kolega z Kapic Mieczysław Zalewski, który starszy odemnie był tylko o dwa lata.~~ Maszerując znów wznoszono te same okrzyki i hasła. Tak doszliśmy na miejsce do kościoła Św. Rocha. Tu uczestniczyliśmy w uroczystym nabożeństwie celebrowanym przez znanego wówczas Narodowca ks. Kanonika Abramowicza - proboszcza parafii Św. Rocna.

Pod wieczór wróciliśmy do miejsca postoju naszych wozów. Tu przydarzył się incydent z policją. Mieliśmy całe pliki różnych ulotek, które rozdawaliśmy na lewo i prawo ludności. Jak się okazało jedna z tych ulotek nie miała wydrukowanego miejsca swego pochodzenia tj. podanej drukarni w której była drukowana. Porucznik policji w asyście kilkunastu policjantów zaczął robić dochodzenie i chciał zarekwirować pozostałe jeszcze ulotki. Zaczęła się dość ostra wymiana zdań między policją a narodowcami, poczym Ignacy Babiński wyskoczył do owego porucznika i dość ostro go zaatakował, zapytał czy po oddaniu owych ulotek za cywilę nie zechce on aby mu oddać proporzec, który trzymał w rękach. Porucznik zmieszał się

a po chwili odpowiedział, iż porozzecz jest legalny, a ulotki nielegalne i on je skonfiskuje. Ignacy na to nazwał go żydowskim Wojtkiem. Porucznik poczuł się tym obrażony i chciał teraz aresztować Ignacego Babińskiego. Zrobił się ogromny szum, ktoś krzyknął - aresztują, za chwilę zaczęli przybywać narodowcy z innych podwórek z kamieniami, cegłami i kłonicami w rękach. Policjanci pobledli, wpadł komisarz policji, natychmiast zabrał porucznika i jego obstawę. Nawet przeprosił za zaieszanie. Ignacy Babiński szybko się przebrał w cywilne ubranie, ponieważ zachodziła obawa, że policja może gdzieś w powrotnej drodze, gdy będzie nas mniejsza siła przestąpić i aresztować Ignacego.

Około godziny siedemnastej nasza grupa na wozach i rowerach wyjechała z Białegostoku do Kapic. Koło wsi Rzędziany nadjechały od strony Białegostoku trzy samochody ciężarowe pełne policji. Minęły nas bez zatrzymywania się i pojechały dalej.

Przypominam sobie, była to chyba wiosna 1937 roku rząd sanacyjny zawiesił działalność SN na naszym terenie. Rozpoczęły się aresztowania działaczy SN na Białostoczczyźnie. Wówczas został aresztowany ~~Józef Pogorzelski i jego brat Jan Pogorzelski, Tadeusz Kupliński ze wsi Sierki i Tyborowski z Tykocina.~~ Dominik Sikorski nie dał się ująć, uciekł i przez pewien czas ukrywał się. Aresztowanych narodowców osadzono w Berezie Kartuskiej. W kwietniu tegoż roku, policja granatowa z powiatu Wysokie Mazowieckie przyjechała do Kobylina zabrać porozzecz SN. Ówczesny ksiądz Czarnowski, oświadczył policji, iż porozzecz nie wyda "że ma polecenie wydawać tylko tej ręce, która go tu w kościele parafialnym położyła". Jednak policja kategorycznie żądała wydania, wówczas ksiądz pocicnu wysłał gońca do Kapic, aby zawiadomił Dominika Sikorskiego. Ten pomimo, iż się ukrywał to postanowił interweniować siłą. Natychmiast rozesłał gońców do sąsiednich wsi. W niespełna dwie godziny, a już ze wsi Opuchowa, Plebanki, Zawady, narodowcy jechali na koniach i rowerach do Kapic. Tu Sikorski na swojej pięknej klaczy w stroju galowym stał na czele trzydziestu kawalerzystów i z niecierpliwością czekał na posiłki z innych wsi. Za chwilę ujrzelśmy tumany kurzu na drodze wiodącej od Zawad do Kapic. To Ignacy Babiński galopował na czele znów około trzydziestki kawalerzystów. Całość galopem ruszyła drogą z Kapic do Kobylina. W Cieszymach dołączyła jeszcze kilkunastu jeźdźców. Po paru minutach około setka narodowców galopem jechała przez Kobylin - Latki, Pieniążki, aż wpadła na rynek pod kościół i posterunek policji. Policja ogromnie przestraszyła się poczym zabarykadowali wejście na posterunek. Dominik Sikorski podjechał na swojej klaczy pod okno posterunku. Wywołał do okna miejscowego komendanta i zakomunikował mu, że porozzecz zostaje zabity

z kościoła przez tych, którzy go tu złożyli i narazie będzie przebywał wśród tych, którzy go ufundowali i którym służy za symbol ich walki. To było nieprawdą, gdyż proporzec pozostał nadal w kościele. Po czym narodowcy wznieśli kilka okrzyków na cześć Polski i spokojnie odjechali do swoich domów. Ja jako młody chłopiec, chciałem wówczas też pojechać na koniu do Kobylina bronić proporca. Stryj mój pojechał na klaczy i zabrał siodło, w stajni pozostał drugi koń, ale nie było siodła ani strzemion, więc gdy się rozpoczął ten ruch, szybko złapałem koc, nałożyłem go na grzbiet wałacha, zamiast popręgu przywiązałem ten koc mocno linką żurzebną z drugiej takiej samej zrobiłem strzemiona, kantar na łeb, uzda w rękę i zanim rodzice zorientowali się ja już byłem. Ponieważ byłem spóźniony parę minut, szykowaniem tej uprzęży, więc chcąc dopędzić oddział wypuściłem się na przełaj przez pola i las. W lesie przylałem wałachowi parę różeg, a ten szatan zamiast przyspieszyć to zaczął ogromnie stawać dęba, później łeb pochylił do przodu i począł zadem wierzcąc w górę, do tego stopnia, aż mnie zrzucił w błoto. Sam gdy się uwolnił odemnie pogalopował do domu aż się za nim zakurzyło. Wyprawa mi się nie powiodła. Narodowcy wrócili z Kobylina, akcja można powiedzieć udała się. Policja była przekonana, że proporzec zabrano z kościoła i gdzieś go ukryto.

Za parę dni podobna rzecz miała miejsce w Tykocinie, policja również i tu chciała zabrać proporzec oraz aresztować księdza gdy nie chciał go wydać. Ksiądz był umówiony z narodowcami z Tykocina i okolicznych wiosek, że na wypadek czegoś takiego będą biły wszystkie dzwony w kościele. Gdy policja zjawiła się po proporzec, tykocińskie dzwony zaczęły bić na alarm. Po godzinie takiego alarmu z Tykocina i ze wszystkich stron biegli i nadjeżdżali narodowcy. Rozpoczął się wiec na rynku tykocińskim. Proporca i tu nie oddano policji. Dominik Sikorski nadal ukrywał się przed policją. Jednej niedzieli, gdy się troszkę uspokoiło poszedł do kościoła w Zawadach. W Zawadach posterunku policji nie było, ale ktoś doniósł do Rutek - Kossak o tym, że Sikorski jest w kościele. Przyjechało z Rutek trzech policjantów i złapali Sikorskiego gdy wyszedł z kościoła. Dominik Sikorski był silnym i sprytnym mężczyzną, na rynku zaczęło się ciąganie i przepychanie. Policjanci podarli na nim garnitur, a ten poprzewracał ich i sam uciekł. Za kilka dni dopadli Sikorskiego w jego domu i tu powtórzyło się to samo. Powyrzucał policjantów z mieszkania, po czym wyskoczył przez okno i uciekł do lasu. W następną niedzielę przyszedł do kościoła w Zawadach Ignacy Babifski w towarzystwie kilkunastu narodowców ubranych w strój galowy. Ignacy Babifski też w tym czasie był prześladowany przez policję i ukrywał się. Wójtem w gminie zawadzkiej był wówczas Piotr Targoński, poseł na sejm PR, człowiek pro sanacyjny. Narodowców nie nawidził, a z

Babińskim miał ciągły zatarg, Ignacy często mu wytykał różne machlojki, niedociągnięcia itp. Targoński chciał koniecznie pozbyć się swego przeciwnika politycznego. W ową niedzielę trafiła się Targońskiemu okazja. Gdy zobaczył Babińskiego szybko zatelefonował na policję w Rutkach. Policja nauczona już niepowodzeniem jakie ją spotkało z Dominikiem Sikorskim, wezwała pomoc z Łomży. Podczas nabożeństwa na którym był Babiński w kościele, do Zawad przyjechały dwa samochody policji z Łomży, obstawili kościół, lecz do kościoła nie wchodzili. Tego nbe wolno było im czynić. Tej niedzieli wyjątkowo dużo było ludzi w kościele i narodowców. Po nabożeństwie, wierni wyszli z kościoła na przyległy rynek i jak zwykle zaczęły się spotkania i rozmowy. Zauważono patrole policji, kręcące się wokół parkanu okalającego kościół. Babiński był już ostrzeżony i poza obręb kościoła nie wyszedł. Stał tuż za bramą wejściową na cmentarz z kilkoma kolegami i bacznie obserwował gliny, którzy znów zauważyli go, lecz nie mieli odwagi brać go z terenu kościoła. Wreszcie podszedł ówczesny komendant posterunku w Rutkach pan Chowański do bramy i zaczął wołać Babińskiego bliżej do siebie, ten odsunął się parę kroków pod kościół i zapytał Chowańskiego czego chce od niego. Rozpoczęła się dość ostra wymiana zdań. Po czym Babiński zaproponował Chowańskiemu "aby przyszedł do kościoła i pomodlił się, to może Duch Święty raczy w niego wstąpić, a wówczas przestanie ścigać Polaków." Cała gromada ludzi stała na rynku i wsłuchiwała się tej rozmowie. Teraz powstał ogólny głośny śmiech. Chowański zabrał myszkujejących policjantów i udał się z nimi do gminy. Babiński natychmiast wyszedł na rynek i wzniosł swoim donośnym głosem okrzyk na cześć Polski "Niech żyje wielka Polska Narodowa"! Cały tłum jakby wielkim głosem wzniosł okrzyk niech żyje!, niech żyje!. Z gmachu gminy wypadła gromada policji, wszyscy z bronią gotową do strzału z Chowańskim i porucznikiem z Łomży na czele, policja przybiegła pod kościół. Tłum ludzi stał na swoich miejscach, tylko Ignacy Babiński cofnął się na teren kościelny, rozpiął płaszcz i odsłonił pierś przybraną w bluzę, pas i koalicijkę i tak stał. Policja kazała rozejść się stojącym na rynku. Parę starszych kobiet odeszło, natomiast mężczyźni stali i nie ruszyli się ani o krok. Przez tłum przebiegł szmer, narodowcy zaczęli się rozglądać po terenie i zbierać kamienie i cegły. Oficer policji zauważył, za chwilę może tu być bardzo gorąco, że jego policjanci w sile około czterdziestki mogą zostać rozbrojeni na oczekaniu, a przy okazji oberwać po głowach. W porę dał rozkaz i wycofał swoich podwładnych. Babiński okrężną drogą przez Kapice wycofał się do swojej kryjówki

~~W tym samym czasie podobne wydarzenie miało miejsce w Sokołach. Tam również policja chciała aresztować narodowca Zagórskiego. W obronie którego stanęła ludność i koledzy. Poszły w ruch kamienie, cegły i kłonicie. Zagórski uciekając przed policją skierował się do kościoła,~~

w latach 1935 - 1939 spowódował ucieczkę Żydów ze wsi i mniejszych miasteczek do większych miast. Podczas dni targowych w różnych miasteczkach takich jak Tykocin, Sokoły, Rutki, Knyszyn, Jedwabne, Chorosze i inne, narodowcy wystawiali swoje warty przy sklepach żydowskich i nie wpuszczali Polaków do tych sklepów. Polacy zakładali swoje sklepy, piwiarnie, restauracje, które coraz lepiej prosperowały. Stragany żydowskie na odпустach, targach i jarmarkach wywracano. Często zdarzały się wypadki wybijania w sklepach żydowskich okien wystawowych. Handlarzy żydowskich, którzy jeździli po wsiach i skupywali bydło, konie, drób, a nawet szmaciarzy przepędzano. Tym bojkotem przeważnie zajmowali się młodzi chłopcy. Gdy Żyd przyjechał do wsi to już mieliśmy pełne ręce roboty, kamienie, cegły i kije szły w ruch. Zdarzało się, że goniliśmy aż do następnej wsi, tam znów inni przepędzali.

Mijały lata, przyszedł rok 1939, kończyłem szkołę podstawową w Jeżewie. Na dalszą naukę nie zanosilo się, rodzice szykowali mnie na gospodarza. To tylko tak się mówiło, bo na dalsze kształcenie pieniędzy nie było. Nauka w gimnazjum drogo kosztowała. Najbliższe gimnazja były w Łomży, Wysokim Mazowieckim, Białymstoku i Sejnach. Chcąc oddać syna do dalszego kształcenia, trzeba było płacić za szkołę i utrzymanie około sześćdziesiąt zł., a metr żyta wówczas kosztował 12 zł, metr pszenicy-16 zł, krowa-150 zł, koń 200 - 300 zł, kilogram żywca-1zł, jajko-5 groszy, kura-1zł. Buty kosztowały 12-15 zł, ubranie 50 do 100 zł, czapka -2zł, koszula 4-5 zł, pudełko zapalek-8 gr, kilogram cukru-1 zł, soli-32 gr, 1 l nafty-40 gr. Rodzice ze swego 13 hektarowego gospodarstwa uzyskiwali rocznie około 100 metrów zboża, mogli wyhodować do sprzedania jednego konia, jedną krowę, dwa wieprze po 150 kg, 50 szt kur i to byłowszystko. Z tego tege trzeba było utrzymać sześć osobową rodzinę. Z Kapic niektórzy bardziej zamożni gospodarze, kosztem wyrzeczenia się całej rodziny kształcili swoje dzieci w gimnazjach. Adolf Cassowski, Wacław Kossakowski, Jan Milewski i Lucyna Czajkowska pokończyli matury. Stanisław Szafrankowski, Mieczysław Szafrankowski, Stanisław Sikorski, Paweł Sikorski, Eugeniusz Kropiewnicki, Irena Górska uczyli się w różnych gimnazjach i niektórzy ukończyli, niektórym wojna przerwała naukę. Ogromnie mało młodzieży uczyło się rzemiosła. Wszyscy szewcy, krawcy, kowale itp, przeważnie byli pochodzenia żydowskiego. Synowie szlachty uważali, że zawód szewca lub krawca jest poniżający. Dopiero jak rozpoczął się bojkot Żydów, zaczęto myśleć o rzemiosle i handlu. Do tej pory trzymano się zasad, że "szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Moje dłaotyddo wstąpienia w szeregi strzelca, który w dalszym ciągu działał na terenie Jeżewa spaliły na panewce. Między organizatorami "Strzelca" a narodowcami wywiązały się antagonizmy. Jedni drugich ostro